



SUPEŁKI I KRZYŻYKI

Ian Rankin

Ian Rankin

Supelki i Krzyżyki

Przełożył: Lech Z. Żołędziowski

*Dla Mirandy,
bez której niczego nie warto byłoby kończyć*

PROLOG

Dziewczynka krzyknęła tylko raz, tylko jeden jedyny raz.

Ale już nawet to oznaczało pewną wpadkę. Przez coś takiego wszystko mogłoby się skończyć, nim na dobre się zaczęło. Wścibscy sąsiedzi mogliby wezwać policję. Nie, absolutnie nie wolno do czegoś takiego dopuszczać. Następnym razem trzeba będzie mocniej zacisnąć knebel, troszkę mocniej, troszkę szczelniej.

Potem sięgnął do szuflady i wyjął kłębek sznurka. Ostroymi nożyczkami do paznokci, jakie można znaleźć u wszystkich dziewczyn, odciął kawałek około piętnastu centymetrów, potem kłębek i nożyczki schował do szuflady. Na zewnątrz zawarczał silnik samochodu, podszedł więc do okna, potrącając po drodze stertę książek na podłodze. Samochód odjechał, uśmiechnął się więc do siebie. Zawiązał na sznurku węzełek niespecjalnie wymyślny, zwykły prosty supełek. Na komódce leżała już przygotowana koperta.

Był 28 kwietnia i oczywiście lało. Woda pryskała z trawy na nogi Johna Rebusa idącego do grobu ojca, który zmarł dokładnie pięć lat temu. Położył na błyszczącej od deszczu marmurowej płycie wiązanekę w kolorach żółci i czerwieni, w kolorach pamięci. Na chwilę znieruchomiał, myśląc, co mógłby powiedzieć, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Był z niego w porządku ojciec, i tyle. Stary też by zresztą nie chciał, żeby niepotrzebnie tracił słowa. Stał więc w milczeniu z rękami założonymi do tyłu na znak szacunku i słuchał krakania wron na murze cmentarnym, aż woda sącząca mu się do butów przypominała, że pod bramą cmentarza czeka na niego ciepły, suchy samochód.

Jechał powoli, myśląc z nienawiścią, że oto znów znalazł się w Fife przywodzącym na myśl stare czasy, które jednak dla niego nigdy nie były „starymi dobrymi czasami”. Tu, gdzie w ruinach opuszczonych domów snuły się upiory przeszłości i gdzie co wieczór w kilku zapyziałych sklepikach podjeżdżały w górę żaluzje, te same żaluzje, które wandalom służyły do malowania bohomasów. Jakże nienawidził tego wszystkiego, tej nijakości całego otoczenia. Wionęło stąd tym, co zawsze: brakiem inicjatywy, nudą, zmarnowanym życiem.

Do miejsca, gdzie jego brat Michael wciąż jeszcze mieszkał, miał do przejechania około ośmiu mil w kierunku morza. Dojeżdżając do szarego skalistego wybrzeża, stwierdził, że deszcz zelżał, jednak spod kół wciąż tryskały bryzgi wody, stojącej w tysiącach szpar i zagłębieniach na drodze. Dlaczego oni tu nigdy nie naprawiają dróg, pomyślał, jak w Edynburgu, gdzie grzebią bez przerwy i co jest jeszcze gorsze? A przede wszystkim, po co mu był ten szaleńczy wyjazd taki kawał drogi do Fife tylko dlatego, że jest piąta rocznica śmierci starego? Spróbował myśleć o czymś innym i stwierdził, że zaczyna fantazjować na temat swego następnego papierosa.

Poprzez padający deszcz, który teraz przeszedł już tylko w mżawkę, Rebus dostrzegł dziewczynkę, mniej więcej w wieku jego córki, idącą po trawiastym poboczu drogi. Zwolnił, minawszy ją, i przyjrzał się jej w lusterku, po czym zatrzymał samochód. Gestem ręki przywołał ją do siebie.

W chłodnym, bezwietrznym powietrzu słyszał jej przyspieszony oddech, a proste ciemne włosy kosmykami zlepiionymi przez deszcz przylegały do jej czoła. Patrzyła na niego nieufnie.

– Dokąd się wybierasz, kochanie?

– Kirkcaldy.

– Podwieźć cię?

Potrząsnęła głową, a krople wilgoci prysnęły z jej wijących się długich włosów.

– Mama mówi, że nie wolno jeździć z obcymi.

– No cóż – powiedział Rebus, uśmiechając się. – Twoja mama wie, co mówi. Mam córkę w twoim wieku i tak samo ją ostrzegam. Ale pada, a ja jestem policjantem, więc możesz mi zaufać. Wiesz, że masz jeszcze kawał drogi.

Rozejrzała się po pustej drodze, potem znów przecząco potrząsnęła głową.

– Okej – odparł Rebus. – Ale uważaj na siebie. Twoja mama na pewno ma rację.

Zakręcił szybę i ruszył, widząc w lusterku, jak za nim patrzy. Rozsądne dziecko. To pocieszające, że wciąż są rodzice, którym zostało jeszcze poczucie odpowiedzialności. Gdybyż to samo dało się powiedzieć o jego byłej żonie. To, jak wychowuje ich córkę, jest straszne. Zresztą Michael też zostawiał swojej córce zbyt wiele swobody. I czyja to wina?

Brat Rebusa mieszkał w pięknym domu. Poszedł w ślady ich ojca i został estradowym hipnotyzerem. Wyglądało zresztą na to, że jest w tym całkiem niezły. Rebus nigdy go nie pytał, jak to się robi, podobnie jak nigdy nie interesował się występami starego. Wiedział, że Michael wciąż nie może się z tym pogodzić i nieraz podpuszcza go różnymi uwagami, próbując sprowokować do poddania w wątpliwość autentyczności jego występów.

Ale Johnowi Rebusowi nie brakowało innych spraw, których autentyczność musiał poddawać w wątpliwość, i tak było przez całe piętnaście lat pracy w policji. Piętnaście lat, które wywoływały u niego i współczucie dla siebie, i poczucie winy wobec córki, zawieszanej w wyniku ich nieudanego małżeństwa pomiędzy dwojgiem rodziców. Bardziej go to złościło niż smuciło. A jednocześnie Michael trwał w udanym związku z żoną i dwójką dzieci, i miał dom, o jakim Rebus mógł tylko marzyć. Miewał występy w hotelach, nocnych klubach i nawet w teatrach, jeździł po Szkocji i północnej Anglii, aż po Newcastle i Wick. Zdarzało się, że za jeden występ dostawał nawet sześćset funtów. To oburzające. Jeździł drogim samochodem, ubierał się w drogie ciuchy i na pewno nie można było oczekiwać, że się go spotka w strugach deszczu na cmentarzu w Fife. O nie, Michael był na to za mądry. I za głupi.

– John, Chryste Panie, co się stało? To znaczy, fajnie, że jesteś. Tylko dlaczego nie zadzwoniłeś, żeby mnie uprzedzić? Właż do środka.

Było to powitanie, jakiego należało się spodziewać: pełne zakłopotania i zaskoczenia, jak gdyby przypominanie sobie o istniejącej gdzieś rodzinie sprawiało mu przykrość. Rebus zwrócił też uwagę na to „uprzedzić” tam, gdzie wystarczyłoby „zawiadomić”. Jako policjant był wyczulony na takie drobiazgi.

Michael przeszedł do salonu i przyciszył ryczące stereo.

– Chodź, John, proszę – zawołał. – Chcesz drinka? Może kawy? Albo coś mocniejszego? Co cię tu sprowadza?

Rebus usiadł sztywny i służbowo wyprostowany, tak jak się siada w obcym domu. Popatrzył na obłożone boazerią ściany – nowy nabytek – i na oprawione w ramki zdjęcia bratanicy i bratanka.

– Byłem w okolicy – powiedział.

Michael odwrócił się z nalany mi szklankami w dłoniach, albo nagle sobie przypominając albo dobrze udając.

– Kurczę, John, zupełnie zapomniałem. Dlaczego mi nie przypomniałeś? Cholera, nienawidzę zapominać o tacie.

– Dobrze, że występujesz jako hipnotyzer, a nie na przykład Mickey Geniusz Pamięci, nie? Dasz mi wreszcie tego drinka, czy chcesz się z tą szklanką zaręczyć?

Michael, już uśmiechnięty i rozgrzeszony, podał bratu szklankę z whisky.

– To twój samochód, ten przed domem? – spytał Rebus, biorąc szklankę. – Znaczy, to wielkie bmw?

Michael, wciąż się uśmiechając, skinął głową.

– Chryste – powiedział Rebus. – Nieźle sobie dogadzasz.

– Tak samo dogadzam Chrissie i dzieciakom. Za domem stawiamy teraz przybudówkę. Będzie tam jacuzzi albo sauna. Zrobiły się bardzo modne, a Chrissie lubi nadawać ton.

Rebus łyknął whisky. Wysokiej klasy malt. W całym pokoju nie było nic pospolitego, ale też nic specjalnie godnego podziwu. Szklane bibeloty, kryształowa karafka na srebrnej tacy, telewizor i wideo, mikroskopijnie mała wieża hi-fi, lampa z onyksu. Ta lampa to jak lekki wyrzut sumienia. Z Rhoną dali ją Chrissie i Michaelowi w prezencie ślubnym. A teraz Chrissie się do niego nie odzywała. No i nic dziwnego.

– Nawiasem mówiąc, gdzie Chrissie?

– A, gdzieś tam na zakupach. Ma teraz własny samochód. A dzieci jeszcze w szkole, więc je po drodze odbierze. Zostaniesz na kolacji?

Rebus wzruszył ramionami.

– Będziesz mile widziany – powiedział Michael, co znaczyło, że nie będzie. – No to, co tam słyhać w gliniarni? Babrzecie się jak zwykle?

– Czasem coś nie wychodzi, ale jest cicho. Czasem coś się udaje i robi się szum. Jak zwykle, po staremu.

Rebus zauważył, że w salonie pachnie jabłkami w karmelu.

– Okropna historia z porwaniem tych dziewczynek – stwierdził Michael.

Rebus potaknął.

– Tak – odpowiedział. – Rzeczywiście okropna. Tyle, że ściśle rzecz biorąc, nie możemy tego nazywać porwaniem, a w każdym razie jak dotąd. Nie było żadnego kontaktu, żadnych żądań. Na razie wygląda to bardziej na zwykłe uprowadzenie na tle seksualnym.

Michael zerwał się z fotela.

– Zwykłe uprowadzenie? A co w tym zwykłego?

– Tak się to u nas nazywa, tylko tyle. – Rebus znów wzruszył ramionami i dopił drinka.

– No wiesz, John – rzekł Michael, siadając – przecież w końcu obaj mamy córki. A ty tak lekko do tego podchodzisz. Aż strach pomyśleć. – Wolno pokiwał głową, co miało oznaczać współczucie i jednocześnie ulgę, że tragedia ta dotknęła kogoś innego. – Strach pomyśleć – powtórzył. – I to jeszcze akurat w Edynburgu. Przecież nigdy byś nie pomyślał, że coś takiego może się zdarzyć w Edynburgu, prawda?

– W Edynburgu dzieje się więcej, niż się komukolwiek zdaje.

– No tak. – Michael zrobił przerwę. – Nie dalej jak w zeszłym tygodniu miałem tam występ w jednym z hoteli.

– I nic mi nie powiedziałeś?

Teraz z kolei Michael wzruszył ramionami.

– A co, zainteresowałbyś się? – zapytał.

– Może nie – odparł Rebus z uśmiechem – ale i tak bym przyszedł.

Michael roześmiał się tak, jak śmiejemy się, odnajdując w kieszeni zapomniane pieniądze.

– Jeszcze jedną whisky, panie sierżancie? – spytał.

– Myślałem, że się już nie doczekam.

Michael ruszył do barku, a Rebus wrócił do rozglądania się po pokoju.

– A jak ci idą występy? – spytał. – I naprawdę mnie to interesuje.

– W porządku – odparł Michael. – A właściwie, to nawet lepiej niż w porządku. Mówią nawet o programie w telewizji, ale w to uwierzę, jak zobaczę.

– No to świetnie.

Drink wylądował w wyciągniętej dłoni Rebusa.

– A poza tym pracuję nad nowym pomysłem. Tyle że to trochę straszne.

Michael przechylił szklankę do ust, a na przegubie błysnęło mu złoto. Zegarek wyglądał na bardzo drogi: na tarczy w ogóle nie było cyfr. Rebus pomyślał, że im coś droższe, tym jest tego mniej. Mikroskopijnie mała wieża stereo, zegarek bez cyfr, przezroczyste skarpetki od Diora na stopach Michaela.

– Opowiedz mi o nim – powiedział, łykając przynętę zarzuconą przez brata.

– No więc – zaczął Michael, pochylając się do przodu w fotelu – umożliwiam publiczności powrót do poprzedniego życia.

– Poprzedniego życia?

Rebus ze spuszczoną głową wpatrywał się w podłogę, jakby zafascynowany wzorem dywanu z jasnej i ciemnej zieleni.

– Tak jest – ciągnął Michael. – Reinkarnacja, ponowne narodziny, te rzeczy. Nie muszę ci chyba tłumaczyć. W końcu to ty jesteś katolikiem.

– Katolicy nie wierzą w przeszłe życie, Michael. Wierzą w przyszłe.

Michael popatrzył na Rebusa wzrokiem domagającym się milczenia.

– Przepraszam – powiedział Rebus.

– Więc jak wspominałem, w zeszłym tygodniu po raz pierwszy zrobiłem to publicznie, choć już od pewnego czasu robiłem to dla prywatnych pacjentów.

– Prywatnych pacjentów?

– Tak. Płacą mi za prywatne seanse hipnoterapii. Pomagam im rzucić palenie albo odzyskać pewność siebie, albo przestać się moczyc w łóżku. Niektórzy z nich są przeświadczeni, że żyli już wcześniej, i proszą mnie o wprowadzenie ich w stan hipnozy, żeby się o tym przekonać. Ale nic się nie bój. Finansowo jest wszystko jak trzeba. Fiskus dostaje swoją działkę.

– I co, potrafisz to zrobić? Udowodnić, że żyli już przedtem?

Michael przeciągnął palcem po krawędzi ponownie puste szklanki.

– Zdziwiłbyś się – odpowiedział.

– Daj mi jakiś przykład.

Rebus wciąż wpatrywał się we wzór na dywanie. Poprzednie życie, pomyślał. To ciekawostka. Bo w jego poprzednim życiu działo się bardzo dużo.

– No więc – zaczął Michael – jak wspominałem, w zeszłym tygodniu miałem występ w Edynburgu. No i – pochylił się jeszcze bardziej do przodu – zgłosiła się osoba z publiczności. Drobną kobitką, w średnim wieku. Przyszła z kolegami z pracy, mieli jakąś imprezę biurową. Weszła w trans bardzo gładko, pewnie dzięki temu, że piła mniej niż reszta towarzystwa. Kiedy już była uśpiona, powiedziałem jej, że odwiedzimy jej przeszłość, dawno, dawno temu, zanim się w ogóle urodziła. Poleciłem jej przywołać najwcześniejsze wspomnienie, jakie posiada...

Głos Michaela nabrał teraz profesjonalnej łagodnej melodyjności. Rozłożył ramiona jak podczas występu. Rebus, siedząc ze szklanką w dłoniach, nieco się rozluźnił. Stał mu przed oczyma epizod z dzieciństwa, jak grają w piłkę nożną, brat przeciwko bratu. Ciepłe błocko po lipcowej ulewie i ich matka z rękawami zawiniętymi do łokci rozbiera ich obu do naga, jeden wielki chichoczący węzeł ramion i nóg, i wrzuca ich obu do wanny...

– ...no i zaczęła mówić – ciągnął Michael – i to nie własnym głosem. John, to było niesamowite. Szkoda, że nie mogłeś tego zobaczyć. Publiczność zamarała, a mnie robiło się na przemian zimno, gorąco i znów zimno, i możesz mi wierzyć, że nie była to sprawa klimatyzacji w hotelu. Bo widzisz, po prostu się udało. Udało mi się przenieść tę kobietę do jej poprzedniego życia. Była zakonnicą. Uwierzysz? Zakonnicą! Powiedziała, że jest teraz sama w swojej celi. Opisała klasztor i w ogóle, a potem zaczęła recytować coś po łacinie, tak że niektórzy na sali zaczęli się żegnać. Ja zmartwiałem. Włosy mi pewnie stanęły dęba. Wyprowadziłem ją z transu jak najszybciej się dało i dopiero po dłuższej chwili tłum zaczął bić brawo. A potem, kiedy opadły już emocje, jej towarzystwo zaczęło się

śmiać, pokrzykiwać i wiwatować, i to rozładowało sytuację. Później dowiedziałem się, że kobieta jest protestantką, w dodatku kibicem Rangersów, i na wszystkie świętości przysięgła, że nie zna słowa po łacinie. Więc jest ktoś w niej, w środku, kto zna, tyle ci mogę powiedzieć.

Rebus uśmiechnął się.

– To ładna opowieść, Mickey – powiedział.

– Ale to prawda. – Michael rozłożył ramiona jakby w błagalnym geście. – Nie wierzysz mi?

– Może.

Michael potrząsnął głową.

– Ależ z ciebie okropny gliniarz, John. Miałem na sali ze stu pięćdziesięciu naocznych świadków. Dowody nie do obalenia.

Rebus wciąż nie mógł oderwać wzroku od wzoru na dywanie.

– John, wielu ludzi wierzy w poprzednie życie.

Poprzednie życie... Tak, on w pewne rzeczy też wierzy... Na pewno w Boga... Ale w poprzednie życie? Bez żadnego ostrzeżenia z dywanu wrzasnęła na niego twarz uwięziona w celi. Upuścił szklankę.

– John? Stało się coś? Chryste, wyglądasz, jakbyś zobaczył...

– Nie, nie, nic się nie stało. – Rebus podniósł szklankę i wstał z miejsca. – Tylko że... Wszystko w porządku, tyle że... – Popatrzył na zegarek, którego tarcza miała cyfry. – Lepiej już pójść. Mam dziś nocną służbę.

Michael uśmiechnął się blado, uradowany, że brat nie zostanie, i nieco sam przed sobą zawstydzony tą radością.

– No to musimy się niedługo znów spotkać – zaproponował – gdzieś na neutralnym gruncie.

– Tak – potwierdził Rebus i znów poczuł woń jabłek w karmelu. Czuł się trochę słaby i trochę nieswój, jak ktoś nie na swoim miejscu. – Koniecznie.

Dwa czy trzy razy do roku z okazji ślubów, pogrzebów czy życzeń przez telefon na Boże Narodzenie wzajemnie obiecywali sobie takie spotkania. Obietnice te stały się już rytuałem, dzięki czemu z równą łatwością można je było rzucać, jak potem ignorować.

– Koniecznie.

Rebus pożegnał brata w drzwiach uściskiem dłoni. Okrążając po drodze do samochodu zaparkowane bmw, zadumał się nad ich wzajemnym podobieństwem. Ich wujkowie i ciotki mawiali czasami: „Ach, obaj to wykapana matka”. Ale chyba na tym koniec. John Rebus wiedział, że jego brązowe włosy są o odcień jaśniejsze od brata, a zielone oczy o odcień ciemniejsze. Wiedział jednocześnie, że dzielą ich tak głębokie różnice charakteru, że wszelkie podobieństwo można było uznać za czysto powierzchowne. I nie było między nimi jakichkolwiek braterskich uczuć. Ich braterstwo należało do przeszłości.

Zamachał ręką z samochodu i ruszył. Za godzinę będzie w Edynburgu, za następne pół godziny rozpocznie służbę. Wiedział, że tym, co go w domu brata najbardziej krępuje i uniemożliwia dobre samopoczucie, jest nienawiść okazywana mu przez Chrissie, jej niewzruszona wiara, że to on ponosi wyłączną odpowiedzialność za rozpad małżeństwa z Rhoną. Może zresztą miała trochę racji. Spróbował zrobić w myślach listę obowiązków czekających go w ciągu następnych siedmiu czy ośmiu godzin. Musi zakończyć śledztwo dotyczące włamania połączonego z groźnym napadem. Paskudna sprawa. Wydział dochodzeniowy miał poważne braki kadrowe, a te uprowadzenia jeszcze ich dodatkowo obciążą. Dwie dziewczynki, obie w wieku jego córki. Lepiej w ogóle o tym nie myśleć. Pewnie albo już nie żyją, albo wołałyby nie żyć. Boże, zlituj się nad nimi. I to w dodatku w Edynburgu, w jego własnym ukochanym mieście.

Grasuje jakiś szaleniec.

Ludzie boją się wychodzić z domów.

I ten wrzask w jego pamięci.

Rebus otrząsnął się, czując lekkie mrowienie w ramieniu. To w końcu nie jego sprawa. Na razie jeszcze nie.

Po powrocie do salonu Michael Rebus nalał sobie kolejną whisky. Podszedł do wieży i podkręcił głoś do oporu, potem sięgnął pod fotel i po chwili gmerania wyciągnął ukrytą pod nim popielniczkę.

Część pierwsza

PEŁNO WSZĘDZIE TROSK

Na schodach prowadzących do posterunku policji przy Great London Street w Edynburgu John Rebus zapalił ostatniego tego wieczoru legalnego papierosa, a potem pchnął potężne drzwi i wszedł do środka.

Posterunek był stary, z pociemniałą i popękaną ze starości podłogą. Widać było ślady dawnej świetności nieistniejącej już arystokracji. To miejsce miało charakter.

Rebus kiwnął ręką dyżurnemu sierżantowi, który akurat był w trakcie zrywania starych obrazków z tablicy ogłoszeń i przypinania w ich miejsce nowych. Potem wspiął się po pięknych spiralnych schodach na górę i wszedł do swojego pokoju. Campbell właśnie szykował się do wyjścia.

– Cześć, John.

McGregor Campbell, tak jak Rebus w stopniu detektywa sierżanta, miał już na sobie płaszcz i kapelusz.

– Co słyhać, Mac? Dużo roboty szykuje się na noc? – Rebus zabrał się do przeglądania papierów na biurku.

– Tego ci nie powiem, stary, ale tyle ci powiem, że za dnia był tu niezły kocioł. Masz tam list od starego.

– Naprawdę? – Rebus wydawał się zaabsorbowany innym listem, który właśnie otworzył.

– Mhm. I przygotuj się, John. Zdaje się, że chcą ci oddelegować do tych uprowadzeń. Życzę powodzenia.

Dobra, to ja spadam do pubu. Chcę zdążyć na boks na BBC. Powinienem się wyrobić. – Campbell rzucił okiem na zegarek. – Taaa, mnóstwo czasu. Coś nie tak, John?

Rebus machnął w jego kierunku pustą już kopertą.

– Kto to tu przyniósł, Mac?

– Nie mam zielonego pojęcia. A co to jest?

– Kolejny list od wariata.

– Naprawdę? – Campbell zajrzał Rebusowi przez ramię i przyjrzał się kartce z tekstem napisanym na maszynie.

– Wygląda jak ten sam, no nie?

– Sprytny jesteś, że to zauważyłeś, zwłaszcza że to dokładnie taka sama wiadomość.

– A sznurek?

– Też jest. – Rebus podniósł z biurka krótki kawałek sznurka. W połowie długości zawiązany był na nim prosty zwykły supełek.

– Cholernie dziwna sprawa – stwierdził Campbell, kierując się do wyjścia. – To do jutra, John.

– Tak, tak, do jutra. – Rebus odczekał, aż kolega znajdzie się w drzwiach. – Aha, Mac!

Campbell odwrócił się.

– Tak?

– W walce wieczoru zwyciężył Maxwell – powiedział Rebus z uśmiechem.

– Boże, ale z ciebie świnia, Rebus – rzekł Campbell i zgrzytając zębami, wyszedł z komisariatu.

– Stara szkoła – mruknął do siebie Rebus. – I skąd u mnie wrogowie?

Raz jeszcze przeczytał tekst, potem znów obejrzał kopertę. Nie było na niej nic poza jego nazwiskiem napisanym nierównym maszynowym pismem. A więc tak jak poprzednio list doręczono osobiście. To rzeczywiście cholernie dziwna sprawa.

Zszedł na dół i podszedł do biurka dyżurnego.

– Jimmy?

– Tak, John.

– Widziałeś to wcześniej? – Pokazał sierżantowi kopertę.

– To? – Rebus odniósł wrażenie, że sierżant marszczy nie tylko brwi, ale całą twarz. Czterdzieści lat służby może tak na człowieka działać, czterdzieści lat pytań, zagadek i trudów. – Ktoś to musiał wsunąć pod drzwi. Osobiście podniosłem list z podłogi. – Pokazał ręką w kierunku drzwi wejściowych. – A coś nie tak?

– Nie, nie, nic takiego. Dzięki, Jimmy.

Ale Rebus wiedział, że ten list będzie go teraz dręczył przez całą noc. Minęło raptem kilka dni od przyjścia pierwszego. Wziął oba listy i przyjrzał im się. Napisano je na starej maszynie do pisania. Prawdopodobnie walizkowej. Litera S wystawała prawie o milimetr ponad pozostałe. Tani papier, bez żadnych znaków wodnych. Kawałek sznurka związany w środku w supełek i odcięty ostrym nożem albo nożyczkami. I wiadomość. Tej samej treści, tak samo napisana.

No i dobrze, może i pełno. Wymyśl jakiegoś wariata, jakiś głupi żart. Tylko dlaczego do niego? To przecież bez sensu. I wtedy zadzwonił telefon.

– Sierżant Rebus?

– Przy telefonie.

– Rebus, tu inspektor Anderson. Dostaliście moją wiadomość?

Anderson. Cholerny Anderson. Tylko tego mu trzeba. Sami wariaci, a jeden gorszy od drugiego.

– Tak jest, panie inspektorze – powiedział Rebus, przytrzymując słuchawkę brodą i pospiesznie rozrywając kopertę.

– Doskonale. Możecie tu być za dwadzieścia minut? Odprawa odbędzie się w sali konferencyjnej przy Waverley Road.

– Już jadę, panie inspektorze.

Połączenie zostało przerwane, nim Rebus zdążył doczytać do końca. Więc to prawda, teraz to już oficjalne. Został oddelegowany do sprawy uprowadzeń. O Boże, co za życie. Wsunął kartki, koperty i kawałki sznurka do kieszeni marynarki i z niechęcią rozejrzał się po pokoju. I kto tu kogo oszukuje? Trzeba by boskiej interwencji, żeby móc stąd dotrzeć na Waverley Road w czasie krótszym niż pół godziny. A kto się zajmie tą całą zaległą robotą? Trzy jego sprawy czekały na rozpoczęcie procesów sądowych, kilka dalszych domagało się pilnego opisanie, zanim mu całkiem wywietrzeją z pamięci. Może nawet lepiej, żeby wywietrzały. Gdyby tak można je było wymazać z pamięci. Przymknął oczy. Potem znów je otworzył, ale papierzyska wciąż były i kłuły w oczy jak poprzednio. Nie ma szans. Zawsze czegoś brakuje. Ledwie zdążył zakończyć jedną sprawę, a już w jej miejsce pojawiały się dwie czy trzy następne. Jak się nazywał ten potwór? Chyba Hydra, nie? Z czymś takim właśnie przyszło mu walczyć. Ile razy udawało mu się odciąć jedną głowę, w jego korytku spraw do załatwienia wyrastały następne. Powrót z urlopu był zawsze koszmarem.

A teraz dorzucili mu jeszcze głazy do toczenia pod górę.

Spojrzał w sufit.

– Boże, dopomóż – szepnął i ruszył do samochodu.

Sutherland Bar był miejscem, gdzie chętnie gaszono pragnienie. Nie było w nim ani szafy grającej, ani gier wideo, ani automatów do gry. Wystrój był dość spartański, a obraz na telewizorze zazwyczaj drgał i podskakiwał. Do połowy lat sześćdziesiątych nie wpuszczano tu w ogóle kobiet. Można by pomyśleć, że to wszystko po to, by ukryć najlepsze piwo beczkowe w całym Edynburgu. McGregor Campbell pociągał z kufła ze wzrokiem wlepionym w ekran telewizora nad barem.

– Kto wygrywa? – odezwał się głos obok.

– Nie wiem – powiedział i odwrócił głowę w kierunku głosu. – Aa, cześć Jim.

Na sąsiednim stołku siedział przysadzisty mężczyzna i z pieniędzmi w dłoni czekał, aż barman go zauważy. Wzrok miał też skierowany na ekran telewizora.

– Wygląda na ostrą walkę – stwierdził. – Chciałbym, żeby wygrał Mailer.

Mac Campbellowi wpadł do głowy pomysł.

– A ja myślę, że go Maxwell załatwi, i to gładko. Robimy zakład?

Mężczyzna sięgnął do kieszeni po papierosy i spojrzał na policjanta.

– O ile? – zapytał.

– O piątala? – rzucił Campbell.

– Stoi. Tom, nalej mi tu jedno duże. Dla ciebie też, Mac?

– Jeszcze raz to samo, dzięki.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu i pociągając piwo, obserwowali walkę. Zza pleców dochodziły ich od czasu do czasu stłumione okrzyki, którymi witano jakiś celny cios czy zgrabny unik.

– Twój faworyt nieźle sobie radzi, jeśli tylko uda mu się dotrzymać do końca – powiedział Campbell, zamawiając następną kolejkę.

– Poczekamy do końca, to zobaczymy, nie? A przy okazji, co słyhać w robocie?

– W porządku. A u ciebie?

– Jak chcesz wiedzieć, to ostatnio cholerna harowa. – Na krawat spadło mu trochę popiołu z papierosa, który nawet na chwilę nie opuszczał jego ust, choć często ledwo się w nich trzymał. – Straszna harowa.

– Ciągłe zajmujesz się tą sprawą narkotykową?

– Właściwie to już nie. Przerzucili mnie na te porwania.

– Naprawdę? Rebusa też. Tylko mu się nie naraż.

– Pismaki i tak wszystkim się narażają. Tak już musi być, nie ma na to rady.

Mac Campbell traktował Stevensa dość nieufnie, jednak mimo zdarzających się zgrzytów cenił tę znajomość, bo czerpał z niej informacje przydatne w jego pracy. Oczywiście najbardziej soczyste kawałki Stevens zachowywał tylko dla siebie. Tak działali wszyscy mający wyłączność. Jednak zawsze był gotów do handlu wymiennego, a Campbell miał wrażenie, że często zadowalają go zupełnie błahe informacje i pogłoski. Przypominał srokę, która bez żadnej selekcji zbiera wszystko, co się świeci, w ilościach, z których nigdy w pełni nie skorzysta. Tyle że z reporterami nigdy do końca nie wiadomo. W każdym razie Campbell cieszył się, że Stevens zalicza się do jego przyjaciół, a nie wrogów.

– To co będzie z twoimi materiałami z tej sprawy narkotykowej?

Stevens wzruszył ramionami.

– Nic w nich nie ma takiego, co mogło by wam się teraz do czegoś przydać. Ale nie mam zamiaru tego odpuścić, jeśli o to ci chodzi. Nie, to zbyt wielkie gniazdo żmij, żeby je puścić wolno. Cały czas będę miał oczy otwarte.

Rozległ się gong oznajmiający początek ostatniej rundy. Dwa spocone, śmiertelnie zmęczone ciała zwały się ze sobą, tworząc płataninę kończyn.

– Mailer wciąż się nieźle trzyma – powiedział Campbell i poczuł, jak ogarnia go niemiłe przecucie. Ale to chyba niemożliwe. Przecież Rebus by mu czegoś takiego nie zrobił. Nagle Maxwell, cięższy i powolniejszy z walczących zawodników, otrzymał cios prosto w twarz i zatoczył się do tyłu. W barze rozległy się okrzyki w oczekiwaniu końca walki. Campbell wbił wzrok w kufel. Maxwella liczono teraz na stojąco. Koniec walki. Sensacja w ostatnich sekundach walki, jak się wyraził komentator.

Jim Stevens wyciągnął rękę.

Zabiję cholernego Rebusa, pomyślał Campbell. Z bożą pomocą zabiję drania.

Później, już przy drinkach zapłaconych pieniędzmi Campbela, Jim Stevens zapytał o Rebusa.

– To zanosi się, że go w końcu poznam – rzekł.

– Może tak, może nie. Nie ma najlepszych układów z Andersonem, więc może na niego spaść papierkowy szajs i całymi dniami będzie ślęczał przy biurku. Tyle, że Rebus tak naprawdę z nikim nie ma najlepszych układów.

– Doprawdy?

– To znaczy, nie jest taki najgorszy, ale nie jest z tych, których daje się łatwo polubić. – By uniknąć badawczego wzroku reportera, Campbell udał, że przygląda się jego krawatowi. Świeżo spadły popiół papierosowy pokrył jedynie znacznie starsze plamy. Chyba jajko, jakiś tłuszcz, alkohol. Z pozoru nieuważni reporterzy zwykle okazują najwięcej sprytu, Stevens zaś miał tyle sprytu, ile wynikało z jego dziesięcioletniego doświadczenia w lokalnej gazecie. Mówiło się, że odrzucił propozycje pracy w gazetach londyńskich tylko dlatego, że lubił mieszkać w Edynburgu. A szczególnie w swojej pracy lubił to, że pozwalała mu wyciągać na światło dzienne najbardziej ponure sekrety miasta – krwawe zbrodnie, korupcję, przestępczość zorganizowaną i handel narkotykami. Campbell nie znał drugiego tak dociekliwego reportera i być może z tego właśnie powodu szefowie policji zbyt go nie lubili i nie ufali mu. Już samo to świadczyło o tym, że dobrze wykonuje swoją pracę. Campbell widział jak z kufła Stevensa ulewa się trochę piwa i kapie mu na spodnie.

– A ten Rebus – zaczął Stevens, wycierając usta – to brat tego hipnotyzera, prawda?

– Pewnie tak. Nigdy go o to nie pytałem, ale nie ma chyba zbyt wielu ludzi o takim nazwisku, nie sądzisz?

– Tak też sobie pomyślałem. – Pokiwał głową, jakby dokonał jakiegoś ważnego odkrycia.

– No i co z tego?

– Och, nic takiego. Coś tam. Więc mówisz, że nie cieszy się nadmierną popularnością?

– Tego nie powiedziałem. Właściwie to mu nawet współczuję. Ma ostatnio dużo na głowie. Nawet jakiś wariat zaczął do niego listy pisać.

– Listy od wariata? – Stevens zapalił kolejnego papierosa i przez chwilę spowiła go chmura dymu. Powietrze w pubie było jak niebieskawa mgiełka.

– Nie powinienem ci tego mówić. To jest informacja absolutnie nieoficjalna, poza protokołem.

Stevens skinął głową.

– Absolutnie. Tak tylko pytam. Ale takie listy się zdarzają, nie?

– Nie tak znów często. I na pewno nie takie dziwne, jak te, które on dostaje. Nie ma w nich żadnych gróźb, ani nic z tych rzeczy. Tyle, że są po prostu... dziwne.

– Mów dalej. Dlaczego są dziwne?

– No więc w każdym jest kawałek sznurka z zawiązanym węzełkiem i kartka, na której jest napisane coś w rodzaju: „Wszędzie są poszlaki”.

– O cholera. To niesamowite. Cała ta rodzina jest trochę niesamowita. Jeden hipnotyzer, a drugi dostaje anonimy. On przedtem był w wojsku, nie?

– John? Tak, był. A ty skąd o tym wiesz?

– Ja wszystko wiem, Mac. Taka praca.

– I dziwne jest też to, że w ogóle nie chce o tym mówić.

Reporter znów wyglądał na zaciekawionego. Kiedy coś go ciekawiło, lekko mu drgały ramiona. Popatrzył na ekran telewizora.

– Nie chce mówić o wojsku?

– Ani słowa. Parę razy próbowałem go podpytać.

– No więc mówię ci, Mac, to dziwna rodzina. Pij, kolego. Mam tu kupę twojego szmalu na przepicie.

– Świnia z ciebie, Jim.

– Z urodzenia i z przekonania – odparł reporter i uśmiechnął się dopiero drugi raz tego wieczoru.

– Szanowni panowie, oczywiście panie też, dziękuję za szybkie zjawienie się tutaj. Na czas całego śledztwa będzie się tu mieściło centrum operacyjne. Więc, jak wam wszystkim wiadomo...

Głos komisarza Wallace'a zamarł, bo drzwi do sali operacyjnej nagle otworzyły się z impetem i stanął w nich John Rebus, na którego natychmiast skierowały się oczy wszystkich zebranych. Rebus rozejrzył się zmieszany, uśmiechnął przepraszająco, choć nieskutecznie, do zwierzchnika i usiadł na wolnym miejscu tuż przy drzwiach.

– Więc jak już powiedziałem... – podjął komisarz.

Rebus potarł czoło i rozejrzył się po sali wypełnionej policjantami, Wiedział dokładnie, co stary powie, i akurat teraz wolałby sobie podarować gładzenie rodem ze starej szkoły. Sala była nabita. Wielu z obecnych wyglądało na znudzonych, jakby sprawą zajmowali się już od dawna. Twarze świeższe, nieco bardziej skupione, należały do nowego narybku, często sprowadzonego tu spoza miasta. Kilku z nich trzymało notatniki i długopisy w gotowości, jakby byli na zajęciach w szkole. A w pierwszym rzędzie siedziały dwie kobiety z założonymi nogami i wpatrywały się w Wallace'a, który rozgrzał się już na dobre i szalał przy tablicy, niczym szekspirowski bohater w szkolnym przedstawieniu.

– Dwie ofiary śmiertelne. Tak jest, obawiam się, że już niestety śmiertelne. – Sala drgnęła w oczekiwaniu. – Ciało Sandry Adams, lat jedenaście, znaleziono dziś o szóstej wieczorem na pustym placu w pobliżu stacji Haymarket, a ciało Mary Andrews o szóstej pięćdziesiąt na działce w dzielnicy Oxfangs. W obu tych miejscach pracują obecnie ekipy dochodzeniowe i po skończonej odprawie niektórzy z was do nich dołączą.

Rebus zauważył, że na sali zachowano służbową hierarchię: z przodu inspektorzy, za nimi sierżanci i potem cała reszta. Nawet morderstwo nie zwalnia od przestrzegania hierarchii. To ogólnokrajowa choroba w całej Wielkiej Brytanii. Przez swoje spóźnienie Rebus znalazł się na szarym końcu. Jeszcze jedna krecha w czyjejs głowie przy jego nazwisku.

Podczas służby w wojsku należał zawsze do najważniejszych. Służył w komandosach. Przeszedł przeszkolenie w SAS [(Special Air Service) – brytyjska jednostka antyterrorystyczna.] i ukończył je z pierwszą lokatą w grupie. Wybrano go do elitarnej jednostki do zadań specjalnych. Zasłużył sobie na medal i wiele pochwał. Były to dobre czasy, a jednocześnie najgorsze z wszystkich, życie w ciągłym napięciu i poczuciu winy, pełne nieprawości i brutalności. A kiedy odszedł, policja przyjęła go niechętnie. Dopiero teraz wiedział, że niechęć tę spowodowały naciski ze strony wojska na policję, by zaoferować mu stanowisko, o jakie mu chodziło. Niektórym bardzo się to nie spodobało i przy każdej okazji podrzucali mu pod nogi skórki od banana w różnej postaci, w nadziei, że się na nich wyłoży. Jednak jemu udawało się wychodzić cało z wszystkich zastawianych pułapek i wzorowo wywiązywać z powierzonych obowiązków, więc wprawdzie niechętnie, ale policja musiała go też w końcu pochwalić. Jednak nadal nie było mowy o awansie, co spowodowało, że parę razy coś tam chlapnął w złości i zostało to dobrze zapamiętane. A jeszcze potem zdarzyło się, że skuł w celi jakiegoś stawiającego się bandziora. Mój Boże, po prostu przez chwilę stracił nad sobą panowanie. Ale narobiło mu to dodatkowych kłopotów. No cóż, świat wokół niego wcale nie był przyjazny. Przyszło mu żyć w świecie jak ze Starego Testamentu, świecie pełnym barbarzyństwa i mściwości.

– Oczywiście jutro, po przeprowadzeniu sekcji zwłok, będziemy dla was mieli więcej informacji. A tymczasem, myślę że to wam wystarczy. Oddam teraz głos inspektorowi Andersenowi, który przydzieli wszystkim odpowiednie zadania.

Zauważył, że siedzący w rogu Jack Morton zapadł w drzemkę i jeśli ktoś go szybko nie obudzi, to za chwilę zacznie chrapać. Rebus uśmiechnął się, jednak uśmiech szybko zgasł mu na twarzy, kiedy usłyszał głos Andersona. Tego mu tylko trzeba. Ten sam Anderson, którego dotyczyły jego chlapnięcia. Przez jedną paskudną chwilę poczuł się tak, jakby los się na nim mścił. Anderson kierujący całym śledztwem. Anderson przydzielający zadania. Rebus postanowił, że nie będzie się już modlić. Może, kiedy tak robi, Bóg to zauważy i przestanie tak wrednie traktować jednego ze swoich wiernych na tej chyba zapomnianej planecie.

– Gemmill i Hartley zajmą się przesłuchiowaniem mieszkańców w ich domach.

Dzięki Bogu, że choć to go ominęło. Od chodzenia po domach tylko jedno może być jeszcze gorsze...

– A przeglądaniem akt operacyjnych zajmą się sierżanci Morton i Rebus.

...no właśnie to.

Dzięki Ci, Boże, och, serdeczne dzięki. Marzyłem o tym, żeby tak spędzać wieczory: ślęcząc nad aktami wszelkiej maści zbrojców i przestępców na tle seksualnym ze środkowo-wschodniej Szkocji. Musisz mnie

naprawdę serdecznie nienawidzić. Czy ja jestem Hiobem? Czy to o to chodzi?

Jednak żaden głos z niebios mu nie odpowiedział, nie było słyhać nic poza wstrętnym, pełnym zadufania głosem Andersona, który powoli przewracał stronicę wykazu policjantów, a którego pełne i wilgotne usta miały wygląd wręcz obsceniczny. Tego Andersena, którego żona była powszechnie znaną puszczałką, a syn – jak na ironię losu – wędrownym poetą. Rebus sypnął w duchu stekiem przekleństw i wyzwisk na tego wstrętnego, fałszywie skromnego, chudego jak szczapa przełożonego, a potem kopnął w nogę Jacka Mortona, który prychnął i otrząsając się, odzyskał świadomość.

Ot, jeden z tych cholernych wieczorów.

– To jeden z tych cholernych wieczorów – powiedział Jack Morton. Łapczywie zaciągnął się krótkim, zakończonym filtrem papierosem, głośno odkaszlnął, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i coś w nią wypluł. Potem przyjrzał się zawartości chusteczki i powiedział: – Aha, nowe ważne ślady. – Jednak wyglądał na dość przygnębionego.

Rebus uśmiechnął się.

– Czas skończyć z tym paleniem, Jack – oznajmił.

Siedzieli przy biurku, na którym piętrzył się stos akt około stu pięćdziesięciu znanych policji przestępców seksualnych z centralnej Szkocji. Młoda i uczynna sekretarka, niewątpliwie uradowana, że z okazji tego śledztwa zapłacą jej nadgodziny, co chwilę donosiła im kolejne stosy akt, na co Rebus każdorazowo reagował udanym oburzeniem. Miał nadzieję, że ją tym zniechęci, i pomyślał, że jak nie przestanie znosić tych papierów, to niedługo jego oburzenie przestanie być udawane.

– Nie, nie, John, to tylko przez te cholerne filtry. Nie mogę się do nich przyzwycząić, naprawdę. Niech szlag trafi tego lekarza.

Co mówiąc, Morton wyjął z ust papierosa, odłamał od niego filtr i teraz już idiotycznie krótkiego wsadził na powrót między bezkrwiste wąskie wargi.

– Od razu lepiej. Przynajmniej teraz to jest podobne do papierocha.

Rebusa zawsze zdumiewały dwie rzeczy. Jedną było to, że polubił Jacka Mortona, a ten odwzajemnił mu się tym samym. Drugą, że paląc, Morton tak zawzięcie się zaciągał i tak mało dymu wypuszczał z siebie. Gdzie się podziewał ten cały dym? Nie mógł tego pojąć.

– Widzę, że ty robisz dziś za abstynenta – odezwał się Morton.

– Ograniczam się do dziesięciu dziennie.

Morton potrząsnął głową.

– Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści dziennie. Uwierz mi, John, nie ma to w sumie żadnego znaczenia. Liczy się tylko to: albo rzucasz w ogóle, albo nie, a jak nie rzucasz, to możesz sobie spokojnie palić tyle, na ile masz ochotę. To zostało naukowo udowodnione. Czytałem w jednym piśmie.

– Mhm, tylko że wszyscy wiemy, jakie ty pisemka czytasz, Jack.

Morton parsknął, znów potężnie zakasłał i sięgnął po chusteczkę.

– Co za cholerna robota – powiedział Rebus, sięgając po pierwszą teczkę z aktami.

Przez następne dwadzieścia minut obaj w milczeniu zagłębiali się w materiał dowodowy dotyczący gwałcicieli, ekshibicjonistów, pederastów, pedofilów i stręczycieli, i ich erotycznych fantazji. Rebus czuł zbierającą mu się w ustach flegmę. Czuł się tak, jakby sam w tym wszystkim uczestniczył, jakby to był on, jedynie pod przykrywką codzienności. Nowe wcielenie pana Hyde'a opisanego przez Roberta Louisa Stevensona, rodem z Edynburga. Ze wstydem czuł chwilami wzbierającą erekcję; Jack Morton na pewno czuje to samo. To wina tej tematyki, której jednocześnie towarzyszyły uczucia obrzydzenia, nienawiści i fascynacji.

Wokół nich toczyło się zwyczajne nocne życie komendy policji. Policjanci w koszulach z krótkimi rękawami kręcili się przed otwartymi na oścież drzwiami do przydzielonego im pokoju, który pozwalał odseparować się od wszystkich i swoją obecnością nie przeszkadzać innym. Rebus przerwał na chwilę i pomyślał, że takie warunki pracy bardzo by mu się przydały w jego własnym biurze przy Great London Road: nowoczesne duże biurko (nie kiwające się, z szufladami dającymi się łatwo otworzyć), szafki na akta (jak wyżej), automat z napojami na korytarzu tuż obok drzwi. Była tu nawet wykładzina dywanowa zamiast, jak u niego, krwistoczerwonego linoleum z pozadzieranymi i przez to bardzo niebezpiecznymi krawędziami. Tutaj rzeczywiście były warunki, by w spokoju ścigać przestępców.

– Czego my właściwie szukamy, Jack?

Morton skrzywił się, rzucił na biurko cienką brunatną teczkę, popatrzył na Rebusa, wrzucił ramionami i zapalił papierosa.

– Śmieci – powiedział, biorąc do ręki następną teczkę, Rebus zaś nie był do końca pewien, czy jest to odpowiedź na jego pytanie.

– Detektyw sierżant Rebus?

W drzwiach stał młody, gładko wygolony posterunkowy ze śladami trądziku młodzieńczego na szyi.

– Tak.

– Wiadomość od szefa, panie sierżancie.
Podał Rebusowi złożoną kartkę niebieskiego papieru.
– Dobre wiadomości? – zapytał Morton.
– Och, bardzo dobre, Jack, najlepsze wiadomości pod słońcem. Nasz szef przesyła nam następujące braterskie pozdrowienie: „Czy są już jakieś poszlaki?” Koniec pozdrowień.
– Czy będzie jakaś odpowiedź, panie sierżancie? – spytał posterunkowy.
Rebus zgniół kartkę i wrzucił ją do lśniącego nowością aluminiowego kosza.
– Tak, synu, będzie – powiedział – ale wątpię, żebyś chciał ją doręczyć.
Jack Morton starł popiół z krawata i wybuchnął śmiechem.

To był jeden z tych cholernych wieczorów. Jim Stevens, wracając wreszcie do domu, pomyślał, że od czasu rozmowy z Mac Campbellem pełne cztery godziny temu nic ciekawego się już nie wydarzyło. Powiedział wtedy Macowi, że nie ma zamiaru porzucać śledztwa w sprawie działającej w Edynburgu mafii narkotykowej i była to święta prawda. Sprawa ta stała się jego obsesją i naczelny może go sobie przerzucać, gdzie chce, a i tak w swoim wolnym, prywatnym czasie późną nocą, kiedy gazeta już się drukuje, będzie drażnić tamten temat i odwiedzać coraz gorsze speluny, coraz dalej od centrum. Bo czuł, że jest już blisko, blisko grubych ryb, jednak nie na tyle blisko, by zwrócić się o pomoc do sił prawa i porządku. Chciał, by, zanim wezwie do akcji kawalerię, sprawa została całkowicie dopięta.

Wiedział również, jakie się z tym wiązą niebezpieczeństwa. Grunt, po którym się poruszał, mógł mu się w każdej chwili osunąć spod stóp, powodując, że jakiegoś mrocznego cichego poranka wpadnie do basenu portowego na Leith, albo że go znajdą związanego i zakneblowanego przy jakiejś autostradzie pod Perth. Ale nie przejmował się. Myśl o tym ledwie mu majaczyła w głowie, głównie ze zmęczenia i chęci wyrwania się z żalosego, pozbawionego fantazji edynburskiego światka handlu narkotykami, który koncentrował się w podmiejskich dzielnicach mieszkaniowych i pubach odwiedzanych przez ludzi po pracy, a nie w lśniących świetłami dyskotekach i eleganckich lokalach New Town.

Co go szczególnie mierziło, naprawdę złościło, to to, że ludzie stojący za tym wszystkim byli tak niewidoczni, tak tajemniczy, tak nieuchwytni. Osobiście wołał, żeby przestępcy angażowali się w to, co robią, żyli pełnią przestępczego życia i pasowali do swojego wizerunku. Podobali mu się gangsterzy z Glasgow z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, którzy mieszkali wtedy w Gorbals i tam działali, pożyczali brudne pieniądze sąsiadom i w razie potrzeby tym samym sąsiadom podrzynali gardła. Wszystko było jak w jednej rodzinie. A nie tak, zupełnie nie tak. Tu było inaczej i tego właśnie nienawidził.

Jednakże rozmowa z Campbellem okazała się ciekawa, choć z innych powodów. Rebus prezentował się dość podejrzanie, podobnie jak jego brat. A może siedzą w tym razem. Jeżeli w to wszystko zamieszana jest policja, jego zadanie staje się tym trudniejsze, ale i bardziej pasjonujące.

Teraz potrzebny był mu jakiś punkt zwrotny, korzystny przełom w śledztwie. Nie może być do niego zbyt daleko. Do takich spraw ma przecież nosa.

O wpół do drugiej zrobili sobie przerwę. W budynku komendy mieścił się niewielki bufet, czynny nawet o tak nieludzkiej godzinie. Na zewnątrz trwała zwyczajna noc, pełna zwyczajnych większych i mniejszych przestępstw, ale wewnątrz było ciepło i przytulnie, a czuwającym policjantom bufet serwował kilka dań na ciepło i nie kończąca się kolejka kaw.

– Wszystko to kompletne bzdury – powiedział Morton, przelewając kawę z talerzyka z powrotem do filiżanki. – Anderson nie ma zielonego pojęcia, co jest grane.

– Możesz mi dać papierosa? Moje się skończyły. – Rebus wymownie poklepał się po kieszeniach.

– Chryste Panie, John – stwierdził Morton, zanosząc się starczym kaszlem i wyciągając papierosy w kierunku Rebusa. – Tego dnia, kiedy zdecydujesz się rzucić palenie, to ja chyba zmienię sobie gacie.

Pomimo wszelkich ekscesów życiowych, które nieodwołalnie popychały go ku wczesnej starości, Jack Morton nie był stary. Miał dopiero trzydzieści pięć lat, sześć lat mniej od Rebusa. On także miał za sobą nieudane małżeństwo, a jego czwórka dzieci mieszkała teraz z babcią na czas podejrzenie długich wakacji spędzanych przez ich matkę z jej nowym kochankiem. Cała ta historia to jeden wielki ponury dramat, powiedział kiedyś Rebusowi, który łatwo się z nim zgodził, jako że sam miał córkę uwierającą jego sumienie.

Morton pracował w policji już dwadzieścia lat, w odróżnieniu od Rebusa, zaczynał od najniższego szczebla i stopniowo awansował, dochodząc do swego obecnego stanowiska tylko dzięki własnej uporczywej harówce. Opowiedział Rebusowi historię swego życia podczas całodniowej wycieczki na ryby, na jaką wybrali się kiedyś z muchówkami pod Berwick. Dzień okazał się przepiękny, obaj złowili po kilka niezłych okazów i pod koniec dnia byli już przyjaciółmi. Mimo to Rebus nie zdobył się, by opowiedzieć Mortonowi swoje życie. Jack pomyślał wtedy, że John nie potrafi uwolnić się z celi więziennej, którą sam wokół siebie zbudował. Szczególnie trudno było coś z niego wyciągnąć na temat jego służby w wojsku. Morton wiedział, że czasem wojsko tak człowieka zmienia, więc szanował milczenie Rebusa. Być może w jego szafie wciąż jeszcze tkwiło parę jakichś szkieletów. Potrafił to zrozumieć; niektóre z jego głośnych aresztowań też nie były „ściśle zgodne z procedurą”.

Mortonowi nie zależało już teraz na nagłówkach w gazetach i głośnych aresztowaniach. Wypełniał swoje obowiązki, odbierał pensję, od czasu do czasu myślał o emeryturze i latach, jakie poświęci na łowienie ryb. Alkoholem skutecznie znieczulał sumienie na temat żony i dzieci.

– Całkiem fajny ten bufet – powiedział Rebus, paląc i szukając jakiegoś tematu do rozmowy.

– To prawda. Czasami tu wpadam. Mam tu kumpla, który pracuje przy komputerach. Wiesz, czasami dobrze jest mieć pod ręką faceta, który ma dostęp do terminala. Nim zdążysz mrugnąć okiem, odszukają ci samochód po numerze albo człowieka po nazwisku albo adresie. A kosztuje cię to tylko drinka od czasu do czasu.

– No to daj mu do przerzucenia ten cały nasz gnój.

– Z tym musisz trochę poczekać, John. Ale kiedyś wszystkie akta trafią do komputera. Tylko że zaraz potem dojdą do wniosku, że już im nie potrzebne takie woły robocze jak my. Wystarczy im wtedy paru panów inspektorów, każdy z terminalem na biurku.

– Zapamiętam to sobie – powiedział Rebus.

– Na tym polega postęp. Gdzie byśmy bez tego byli? Pewnie ciągle jeszcze z fajką w zębach i lupą w dłoni uprawialiśmy dedukcję.

– Pewnie masz rację, Jack. Ale pamiętasz, co mawia nasz stary: „Dajcie mi do każdej roboty tuzin dobrych ludzi i możecie te wszystkie urządzenia zwrócić producentom”.

Mówiąc to, Rebus rozejrzał się wokół i zauważył, że jedna z dwóch kobiet obecnych na odprawie siedzi samotnie przy sąsiednim stoliku.

– A poza tym, Jack, dla takich facetów jak my zawsze się znajdzie jakieś miejsce. Społeczeństwo nie poradziłoby sobie bez nas. Komputery nie miewają olśniewających pomysłów. W tej dziedzinie bijemy je na łeb.

– Bo ja wiem? Może. Chyba lepiej już wracajmy, nie? – Morton popatrzył na zegarek, dopił kawę i odsunął krzesło.

– Idź przodem, Jack. Za chwilę do ciebie dołączę. Chcę najpierw sprawdzić jeden olśniewający pomysł.

– Można się przysiąc?

Rebus z filiżanką kawy w dłoni odsunął krzesło od stolika, przy którym siedział policjantka, zatopiona w porannej gazecie. Zauważył wielki nagłówek krzyczący z pierwszej strony. Ktoś już musiał dać cynk miejscowej

prasie.

– Proszę – odpowiedziała, nie podnosząc głowy. Rebus uśmiechnął się do siebie i usiadł. Zaczął popijać lurowatą kawę rozpuszczalną.

– Zapracowana? – spytał.

– Tak. A pan nie? Kolega już dawno poszedł.

A więc ostra, nawet bardzo. Rebus poczuł się odrobinę niewyraźnie. Nie lubił jędzowatych bab, a ta na taką wyglądała.

– To prawda, rzeczywiście. Tylko że on uwielbia się katować. Siedzimy nad starymi aktami operacyjnymi, więc jestem gotów zrobić wszystko, żeby choć na trochę odsunąć od siebie tę wątpliwą przyjemność.

Tym razem uniosła głowę, wyczuwając potencjalną zniewagę.

– Więc o to panu chodzi, tak? O zabicie czasu?

Rebus uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– A cóżby innego? – odpowiedział.

Teraz i ona się uśmiechnęła. Dwukrotnie złożyła gazetę i położyła ją obok siebie na stoliku. Potem stuknęła palcem w nagłówek.

– Wygląda na to, że trafiliśmy do prasy – oznajmiła.

Rebus obrócił gazetę do siebie.

UPROWADZENIA W EDYNBURGU

– TERAZ JUŻ MORDERSTWA!

– Paskudna, okropna sprawa – powiedział. – Naprawdę paskudna. A gazety nic a nic nam w tym nie pomagają.

– No cóż, za parę godzin będziemy znali wyniki sekcji, może wtedy coś się wyjaśni.

– Miejmy nadzieję. Byle tylko uwolnić się od tych cholernych akt.

– Myślałam, że policjantów – ostatnie słowo wypowiedziała z naciskiem – podnieca czytanie takich świństw.

Rebus rozłożył szeroko ręce w geście poddania, najwyraźniej przejętym od brata.

– Rozszyfrowała nas pani bez pudła. Od dawna w policji?

Rebus ocenił ją, na około trzydziestkę, plus minus dwa lata. Miała krótkie, gęste brązowe włosy i długi nos, prosty jak stok narciarski. Na palcach nie miała żadnej biżuterii, ale w dzisiejszych czasach to o niczym nie świadczy.

– Wystarczająco – odpowiedziała.

– Coś czułem, że tak pani odpowie.

Wciąż się jeszcze uśmiechała. Więc może jednak nie jędza.

– No to jest pan domyślniejszy niż myślałam – stwierdziła.

– Jeszcze panią zaskoczę.

Zaczynało go to męczyć, bo zdał sobie sprawę, że ta gra donikąd nie prowadzi. Typowa gra w środku boiska, a w dodatku mecz towarzyski, nie żaden pucharowy. Ostentacyjnie popatrzył na zegarek.

– No cóż, pora wracać – powiedział, wstając.

Zabrała gazetę ze stolika.

– Co robisz w czasie tego weekendu? – spytała.

Rebus usiadł ponownie.

Wyszedł z komendy o czwartej. Ptaki starały się wszystkich przekonać, że już jest rano, ale nikt nie dawał się nabrać. Było zupełnie ciemno, a w powietrzu wisiał jeszcze nocny chłód.

Postanowił zostawić samochód i przejść się do domu pieszo, jakieś dwie mile. Potrzebny był mu spacer, chciał pooddychać chłodnym, wilgotnym powietrzem, poczuć zapowiedź porannej mżawki. Oddychając głęboko, próbował się odprężyć, zapomnieć, nie potrafił jednak pozbyć się myśli o przeczytanych aktach, suchych opisach ludzkich potworności.

Żeby molestować seksualnie ośmiotygodniowe niemowlę?! I opiekunka do dziecka, która spokojnie się do tego przyznaje, mówiąc, że zrobiła to „dla jaj”.

Żeby zgwałcić babcię na oczach dwojga wnucząt, a potem przed wyjściem sięgnąć do słoika i dać dzieciom po cukierku?! Czyn dokonany z premedytacją przez starego kawalera w wieku pięćdziesięciu lat.

Wypalić papierosami nazwę ulicznego gangu na piersiach dwunastoletniej dziewczynki i zostawić ją na pewną śmierć w płonącej szopie. Sprawców nigdy nie schwytano.

No i szczyt wszystkiego: uprowadzić dwie dziewczynki i udusić je, nie wykorzystując ich seksualnie. Już to samo, jak stwierdził Anderson ledwie pół godziny temu, było czystą perwersją. Rebus na swój sposób rozumiał, o co mu chodzi. Przez to te zabójstwa stawały się jeszcze bardziej bezsensowne, jeszcze bardziej niepojęte – i jeszcze bardziej odrażające.

Przynajmniej wiadomo, że nie chodzi tu o przestępstwo na tle seksualnym, nie bezpośrednio. Rebus musiał się zgodzić, że przez to ich zadanie stawało się jeszcze trudniejsze, bo mieli do czynienia z kimś w rodzaju „seryjnego mordercy”, uderzającego na oślep bez powodu i logicznych przesłanek, któremu pewnie bardziej zależało na trafieniu do księgi rekordów niż na czymś w rodzaju „zabawy”. Podstawowe pytanie brzmiało teraz, czy poprzestanie na tych dwóch? Wydawało się to mało prawdopodobne.

Uduszone. To straszny sposób na rozstanie się z życiem, kiedy walczysz, kopiesz i stopniowo tracisz świadomość, narasta panika, rozpaczliwie starasz się zaczerpnąć powietrza, a do tego twój zabójca najprawdopodobniej stoi za tobą, tak że twoje przerażenie nie ma twarzy i jest całkiem anonimowe, i umieras, nie wiedząc kto i dlaczego. Rebusa uczono w SAS metod zabijania. Wiedział, co to znaczy, kiedy garota zaciska się na szyi, a ty masz tylko nadzieję, że ten drugi panuje nad sobą i wie, co robi. Straszna śmierć.

Edynburg jeszcze spał, jak zawsze o tej porze. Po brakowanych uliczkach i kręconych schodach Old Town snuły się jeszcze upiory, ale były to upiory wieku Oświecenia, elokwentne i uprzejme. Nie były z tych, co to wyskakują nagle z ciemności z kawałkiem sznurka w dłoniach. Rebus stanął i rozejrzał się. Naprawdę robiło się widno i wszystkie bogobojne duchy leżały już w łóżkach, co zbudowany z krwi i kości Rebus miał zamiar też wkrótce uczynić.

W pobliżu swojej kamienicy przeszedł obok niewielkiego sklepu spożywczego, przed którym na chodniku czekały skrzynki z mlekiem i porannymi bułeczkami. Właściciel narzekał kiedyś Rebusowi w prywatnej rozmowie, że od czasu do czasu podkradają mu towar, ale oficjalnej skargi nie złożył. Sklep wyglądał na równie wymarły jak cała ulica, a kompletną ciszę otoczenia jedynie czasami przerywał szum opon taksówki po staromiejskim bruku i nie milkący poranny ptasi chór. Rebus rozejrzał się wokół po zasłoniętych oknach mieszkań, a potem szybkim ruchem sięgnął po sześć bułeczek, utkał je po kieszeniach i oddalił się nieco zbyt rażnym krokiem. Chwilę później zatrzymał się i na palcach zawrócił do sklepu, zachowując się jak typowy przestępca, który wraca na miejsce zbrodni, albo pies, który wraca do własnych wymiocin. Rebus nigdy nie widział, żeby jakiś pies to robił, ale nie wypadało nie wierzyć Świętemu Piotrowi.

Znów rozejrzał się wokół, wyciągnął ze skrzynki półlitrową butelkę mleka i cicho pogwizdując, poszedł dalej.

Nic na świecie nie smakowało na śniadanie równie pysznie jak kradzione bułeczki posmarowane dżemem i popite kubkiem bardzo mlecznej kawy. Nic na świecie nie smakuje bardziej niż drobny grzeszek.

Wszedł na klatkę schodową i poczuł wiszącą w powietrzu jak zawsze woń bezpańskich kotów. Wstrzymał oddech, wspinając się po schodach na drugie piętro, i spośród bułek w kieszeni wygrzebał klucz od mieszkania.

We wnętrzu pachniało wilgocią i czuło się wilgoć. Sprawdził piec centralnego ogrzewania, i, oczywiście, znów w nim zgasł płomyk. Klnąc, zapalił gaz, podkręcił termostat na maksimum i przeszedł do salonu.

Na regale z książkami, na kredensie i na kominku ciągle jeszcze były puste miejsca po różnych bibelotach Rhony, ale większość zdołał już zapłacić własnymi bibelotami: rachunkami do zapłacenia, listami oczekującymi na odpowiedź, pierścionkami otwieraczy z puszek taniego piwa, jakimiś jeszcze nie przeczytanymi książkami. Rebus

kolekcjonował nie przeczytane książki. Kiedyś czytał książki, które kupował, ale teraz wciąż mu brakowało czasu. Poza tym stał się bardziej wybredny niż kiedyś, kiedy miał zwyczaj czytać książkę do końca bez względu na to, czy mu się podobała czy nie. Teraz nie zdarzało się, by dotrwał dalej niż do dziesiątej strony, nawet jeśli książka go zainteresowała.

Takie właśnie egzemplarze leżały rozrzucone po salonie. Książki, które naprawdę czytał, gromadziły się zwykle w sypialni, czekając w równych stertach na podłodze, niczym pacjenci w poczekalni u lekarza. Kiedyś przyjdzie taki dzień, że wynajmie domek w górach albo na wybrzeżu w Fife, zabierze z sobą wszystkie te książki gotowe na pierwsze lub kolejne czytanie i zanurzy się w tę czekającą na niego wiedzę. Jego ukochaną książką, taką, do której wracał co najmniej raz w roku, była *Zbrodnia i kara*. Gdybyż tylko współcześni mordercy miewali częściej wyrzuty sumienia. Ale nie, współcześni mordercy mieli zwyczaj przechwalać się swymi czynami w gronie przyjaciół, a potem zabierać się do partyjki bilarda w lokalnym pubie. I żadne wyrzuty sumienia nie mąciły im spokoju i pewności siebie, kiedy mazali końcówkę kija kredą i kombinowali, która bila gdzie wpadnie...

W tym czasie policyjny radiowóz drzemał za rogiem, a jego pasażerowie w poczuciu bezsilności mogli jedynie przeklinać wiążące im ręce góry przepisów i regulaminów i ponuro rozpamiętywać przepastną głębię otaczającego ich zewsząd morza przestępczości. Bo do tego sprowadzało się życie tamtych, ich odwaga i ich pomysłowość: żeby oszukać, wykiwać, wypiąć się na władzę, zabić. A im się wyżej sięgało w przestępcze kręgi, tym pozory życia na pograniczu legalności były lepiej zachowane, aż wreszcie paru adwokatów rozbijało w pył twój akt oskarżenia. Adwokatów, których nigdy nie brakowało i którzy zawsze byli pod ręką, czekając na okazję, by się sprzedać. Dostojewski wszystko to doskonale wiedział, cholernie mądry staruch. Wiedział, jak to jest, kiedy się pali z dwóch stron.

Ale biedny stary Dostojewski dawno nie żyje i nikt go nie mógł zaprosić na imprezę w czasie tego weekendu, tak jak jego. Często wykręcał się od zaproszeń, bo oznaczały konieczność wyczyszczenia butów, wyprasowania koszuli, oczyszczenia z kurzu wyjściowego garnituru, wykąpania się i spryskania wodą kolońską. Oznaczały również, że trzeba będzie zachowywać się sympatycznie, pić, uśmiechać się, prowadzić z nieznanymi rozmowy, na które nie miał ochoty i za które nikt mu nie płacił. Innymi słowy nie lubił się zachowywać jak typowy członek rasy ludzkiej. Jednak zaproszenie przekazane mu przez Cathy Jackson w bufecie komendy przyjął. No pewno, że przyjął.

Myśląc o tym i pogodnie pogwizdując, przeszedł do kuchni, by zrobić sobie śniadanie i zabrać je do sypialni. Był to już stały rytuał po nocnej służbie. Rozbierał się, wchodził do łóżka, stawiał talerz z bułkami na pierśiach i wsadzał nos w książkę. Książka akurat nie była najlepsza. Chodziło w niej o jakieś porwanie. Rhona zabrała z sobą łóżko, a jemu zostawiła sam materac, więc bez trudu mógł teraz dosięgnąć kubka z kawą na podłodze, bez trudu mógł też odłożyć jedną książkę i sięgnąć po następną.

Wkrótce usnął, zostawiając zapaloną lampkę i nie słysząc, jak za oknem wzmagają się ruch samochodowy.

Tym razem budzik spełnił swoje zadanie i ściągnął go z materaca niczym magnes przyciągający opiłki. Zrzucił z siebie kołdrę i poczuł, że jest mokry od potu. Miał wrażenie, że się dusi i wtedy przypomniał sobie, że piec centralnego buzuje jak kotłownia okrętowa. Idąc, by przykręcić termostat, podszedł do drzwi wejściowych i podniósł z podłogi poranną pocztę. Jeden z listów nie miał znaczka ani stempla pocztowego. Na kopercie widniało tylko napisane na maszynie jego nazwisko. Poczuł, jak mu się te zjedzone bułki ściskają w żołądku. Rozerwał kopertę i wyciągnął z niej pojedynczą kartkę papieru.

**DLA TYCH, KTÓRZY POTRAFIĄ
CZYTAĆ MIĘDZY RAZAMI.**

Więc teraz ten wariat już nawet wie, gdzie mieszka. Zrezygnowany zajrzał do wnętrza koperty w przekonaniu, że znajdzie tam kolejny kawałek zawiązanego sznurka, jednak zamiast niego wypadły z niej dwie zapalki związane nitką w kształt krzyża.

Część druga

DLA TYCH, KTÓRZY POTRAFIĄ CZYTAĆ MIĘDZY RAZAMI

Zorganizowany chaos: tak by można w skrócie nazwać to, co działo się w redakcji gazety. Zorganizowany chaos na możliwie największą skalę. Stevens grzebał w swoim korytku na korespondencję w poszukiwaniu igły. Może ją jednak włożył gdzie indziej? Otworzył jedną z potężnych, ciężkich szuflad w biurku i szybko zamknął z powrotem, jakby w obawie, że coś z bałaganu w niej może się wydostać na zewnątrz. Zebrał się w sobie, głęboko zaczerpnął powietrza i otworzył ją ponownie. Ostrożnie wsunął dłoń do środka, jak gdyby coś go tam mogło ugryźć. I rzeczywiście, wielka sprężynująca klamerka spinająca jakieś papiery ześlizgnęła się i uszczypnęła go w palec. Znów zasunął z hukiem szufladę i przez papierosa zwisającego z warg przeklął redakcję, całą dziennikarską profesję i wszystkie drzewa świata jako źródło papieru. Szlag by to trafił. Odchylił się do tyłu na krzesło i, kiedy dym zaczął mu się wgrzyzać w oczy, zamknął je. Była jedenasta rano, a pokój redakcyjny już zasnuwała niebieskawa mgiełka, jak gdyby mieli tu kręcić scenę na bagnach z *Brigadoon*. Wziął do ręki zapisany arkusz papieru, odwrócił go i zaczął pisać ogryzkiem ołówka, który zwędził w kolekturze totka.

– X (Pan Ktoś) zaopatruje M. Rebusa. Jaka jest rola policjanta? Może duża, może żadna.

Przerwał, by wyjąć z ust papierosa i zastąpić go nowym, który przypalił od niedopałka.

– Dalej, anonimowe listy. Groźby? Jakiś szyfr?

Stevens wątpił, by John Rebus nie wiedział o roli, jaką jego brat odgrywa w światku edynburskich handlarzy narkotyków, a jeśli wie, to bardzo prawdopodobne, że on sam jest też w to zamieszany i być może będzie chciał całe śledztwo zatuszować, by ochronić swą rodzinę. Jak się w końcu wszystko wyda, to będzie z tego rewelacyjny materiał do gazety, wiedział też jednak, że od tej pory będzie się poruszał po bardzo cienkim lodzie. Nikt się nie wychyli, żeby mu pomóc w przyskrzynieniu policjanta, a jak tylko się rozniesie, co zamierza, to może mieć z tego poważne kłopoty. Musi koniecznie zrobić dwie rzeczy: sprawdzić ważność polisy ubezpieczeniowej na życie i zachować absolutną dyskrecję.

– Jim!

Naczelny ruchem ręki wzywał go na dywanik do sali tortur. Podniósł się z krzesła z takim wysiłkiem, jakby był do niego przytroczony, poprawił krawat w fioletowe i różowe pasy i ruszył w kierunku spodziewanego ochrzanu.

– Słucham, Tom?

– Czy nie powinieneś być teraz na konferencji prasowej?

– Jest jeszcze mnóstwo czasu.

– Którego fotografa bierzesz?

– Czy to ważne? Równie dobrze mogę wziąć swój mały automacik. Ci smarkacze nie mają pojęcia o robocie. Chyba, że mógłbym dostać Andy'ego Fleminga.

– Nie ma szans. Obsługuje wizytę królewską.

– Jaką wizytę królewską?

Wydawało się przez chwilę, że Tom Jameson uniesie się z fotela, co byłoby wydarzeniem bez precedensu. Jednak wyprostował tylko plecy i podejrzliwie przyjrzał się swojej reporterskiej „gwieździe”.

– Jim, wciąż jeszcze jesteś dziennikarzem, nie mylę się, prawda? To znaczy, chodzi mi o to, czy nie udałeś się może na wcześniejszą emeryturę albo nie zostałeś pustelnikiem? Albo może jakiś przypadek demencji umysłowej w rodzinie?

– Posłuchaj, Tom, jeśli w rodzinie królewskiej wydarzy się jakaś zbrodnia, to będę pierwszy, który się o tym dowie. Ale do tego momentu oni dla mnie nie istnieją. Chyba, że w sennych koszmarach.

Jameson znacząco popatrzył na zegarek.

– Dobra, dobra, już idę.

Mówiąc to, Stevens z niespodziewaną werwą obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi, ignorując pokrzykiwania szefa dopytującego się, którego z wolnych fotoreporterów chce zabrać.

I tak nie miało to znaczenia. Jak dotąd nie spotkał jeszcze fotogenicznego policjanta. Jednak potem, wychodząc z budynku, przypomniał sobie, kto przy tej sprawie pełni funkcję rzeczownika, i z uśmiechem zmienił zdanie.

– „Pełno wszędzie poszlak dla tych, którzy potrafią czytać między razami”. John, to wygląda na jakiś bełkot, nie?

Morton prowadził samochód, którym jechali w kierunku Haymarket. Już kolejne popołudnie siąpił uporczywy, zacinający deszcz, przenikliwie drobny i przenikliwie zimny, z gatunku takich, co to potrafią przemoczyć do szpiku

kości. Przez cały dzień było tak ponuro, że mimo południowej pory kierowcy jeździli po mieście na światłach. Wymarzony dzień na pracę w terenie.

– Kiedy nie jestem pewien, Jack. Druga część stanowi niejako ciąg dalszy pierwszej, tak jakby był w tym jakiś logiczny sens.

– Miejmy nadzieję, że ci przyśle dalsze listy. Może się wtedy coś wyjaśni.

– Może. Ale najlepiej, żeby się to gówno w ogóle skończyło. Nie jest zbyt miło żyć ze świadomością, że jakiś wariat wie o tobie, gdzie pracujesz i gdzie mieszkasz.

– Twój telefon jest w książce?

– Nie, zastrzeżony.

– No to ta droga odpada. To skąd on zna twój prywatny adres?

– On albo ona – stwierdził Rebus, utykając kartki w kieszeni. – A skąd ja mogę wiedzieć?

Rebus zapalił dwa papierosy i jednego podał Mortonowi, przedtem odłamując od niego filtr.

– Dzięki – powiedział Morton i umieścił króciutkiego papierosa w kąciку ust. Deszcz powoli ustawał. – W Glasgow już jest powódź – oznajmił, nie oczekując odpowiedzi.

Obaj mężczyźni mieli oczy zaczerwienione z braku snu, ale śledztwo ich wciągnęło, jechali więc teraz lekko otepiali w kierunku rejonu, gdzie koncentrowała się akcja policji. Na pustym placu, tuż obok miejsca, w którym znaleziono ciało dziewczynki, stał teraz barakowóz, z którego koordynowano akcję przesłuchań mieszkańców z sąsiedztwa. Planowano też przesłuchanie rodziny dziewczynki i wszystkich jej przyjaciół. Rebus wiedział, że czeka ich dość uciążliwy dzień.

– Najbardziej mnie niepokoi to – odezwał się Morton – że jeżeli oba te morderstwa się łączą, to mamy do czynienia z kimś, kto prawdopodobnie nie znał żadnej z tych dziewczynek. A wtedy mamy cholerny problem.

Rebus skinął głową. Wciąż była jednak szansa, że albo obie znały swego mordercę, albo morderca był kimś budzącym w nich naturalne zaufanie. W przeciwnym razie, jako rozgarnięte dwunastolatki na pewno nie dałyby się uprowadzić, nie stawiając oporu. A nikt niczego takiego nie zauważył. Wszystko to było strasznie dziwne.

Zanim dotarli do barakowozu, deszcz przestał padać. Oficer siedzący w ciasnym wnętrzu i dowodzący całą operacją w terenie przekazał im listę nazwisk i adresów. Rebus cieszył się, że udało mu się wyrwać z komendy spod kurateli Andersona, który wciąż dopominał się o rezultaty ich grzebania w papierach. Tu wykonywana jest prawdziwa praca, tu rozmawia się z ludźmi i tu jedna nieostrożność ze strony podejrzanego może odmienić bieg całej sprawy.

– Czy mogę zapytać, panie inspektorze, kto wyznaczył mnie i mojego kolegę do tego zadania?

Oficer przez chwilę przyglądał się Rebusowi spod przymrużonych powiek, po czym powiedział:

– Nie, Rebus, nie możecie. Bo nie ma to i tak żadnego znaczenia, nie uważacie? Każde zadanie w całym śledztwie jest tak samo kluczowe i ważne jak wszystkie pozostałe. Nie zapominajcie o tym.

– Tak jest, sir – odpowiedział Rebus.

– To pańskie biuro tutaj przypomina trochę pudło na buty, prawda? – stwierdził Morton, rozglądając się po ciasnym wnętrzu.

– Tak, synu, siedzę tu jak w pudle na buty, a te buty to właśnie wy, więc może zaczęlibyście wreszcie, do cholery, chodzić.

Chowając listę adresową, Rebus pomyślał, że ten akurat wygląda na dość fajnego faceta. Język ma ostry, ale do przyjęcia.

– Niech się pan nie martwi – powiedział. – Dużo czasu nam to nie zajmie.

Miał nadzieję, że inspektor zauważył zawartą w jego głosie ironię.

– Drugi stawia drinka – rzekł Morton.

Postępowano zgodnie ze standardową procedurą, wyglądało jednak na to, że trzeba będzie zastosować nowe rozwiązania. Anderson kazał im rozglądać się wśród typowych podejrzanych: rodzina, znajomi i notowani przestępcy. W centrali analizowano też na pewno informacje z kręgów pedofilskich. Rebus miał nadzieję, że Anderson zostanie zasypany telefonami od wariatów, które trzeba będzie sprawdzać. Wśród dzwoniących trafiali się szaleńcy przyznający się do popełnienia zbrodni, obdarzeni specjalnymi zdolnościami, które umożliwiały im kontakt z ofiarami w zaświatach, i tacy, którym chodziło jedynie o wodzenie policji za nos jakimiś wyssanymi z palca historiami. Wszystkimi kierowały dawne kompleksy albo aktualne fantazje. Może w większym lub mniejszym stopniu kieruje to wszystkimi.

Rebus zastukał do drzwi pierwszego domu z listy i odczekał. Otworzyła starsza rozczochrana kobieta z bosymi stopami, ubrana w rozpinany sweter złożony w dziesięciu procentach z wełny i w dziewięćdziesięciu z dziur, wiszący na niej jak na strachu na wróble.

– Co jest?

– Policja, proszę pani. W sprawie morderstwa.

– Co? Wszystko jedno w jakiej sprawie, i tak nie potrzebuję. Spieprzaj stąd, ale już, bo zawołam gliny.

– Morderstwo! – wrzasnął Rebus. – Jestem z policji. Chcę zadać parę pytań.

– Co? – Zrobiła krok do tyłu, by mu się przyjrzeć, a Rebus gotów był przysiąc, że w jej zmętniałych oczach bez wyrazu dostrzegła iskierkę dawnej inteligencji. – Jakie morderstwo? – spytała.

Jeszcze jeden z tych cholernych dni. Na dodatek znów zaczęło padać. Czuł, jak wielkie piekące krople wody spływają mu po karku i sączą się do butów. Jak wtedy przy grobie starego... raptem wczoraj? Jak wiele może się wydarzyć w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin, w dodatku wszystko jemu.

Do siódmej Rebus uporał się z sześcioma adresami spośród czternastu na liście. Pomaszerował z powrotem do pudła na buty, czując jak go pieką stopy, a wypite herbaty chlupoczą mu w żołądku tęskniącym za czymś mocniejszym.

Na podmokłym placu stał już Jack Morton i gapił się na rozciągające się przed nim kilka tysięcy metrów gliniastego placu zarzuconego starymi ceglami i różnego rodzaju złomem: wymarzony plac zabaw dla wszystkich dzieci.

– Co za koszmarnie miejsce na umieranie.

– Ona tu nie umarła, Jack. Pamiętasz, co powiedział patolog?

– Ale wiesz, o co mi chodzi.

Tak, Rebus wiedział, o co mu chodziło.

– A nawiasem mówiąc – dodał Morton – ty stawiasz.

– Z przyjemnością – powiedział Rebus.

Pili w jednym z bardziej obskurnych barów edynburskich do jakich turyści nie zagląдают. Próbowali przestać myśleć o sprawie, ale się nie udawało. Tak już jest z głośnymi śledztwami w sprawach o morderstwo: przenikają na wskroś ciało i umysł, zzerają cię i mobilizują do jeszcze bardziej wytężonej pracy. Każde morderstwo daje zastrzyk czystej adrenaliny, powodując, że przekracza się punkt krytyczny, po którym nie ma już odwrotu.

– Trzeba chyba wracać do domu – powiedział Rebus.

– Nie, walnij sobie jeszcze jedno.

Jack Morton zamachał pustym kuflem w kierunku baru.

Trochę już podchmielony Rebus zaczął znów rozmyślać o tajemniczym autorze listów. Mógł podejrzewać Rhonę, choć nie było to w jej stylu. Mógł podejrzewać córkę Sammy, która być może w ten sposób poniewczasie mści się na ojcu za odsunięcie się z jej życia. Wiedział doskonale, że zawsze pierwszymi podejrzany są członkowie rodziny i znajomi. Jednak w tym przypadku mógł nim być każdy, kto wiedział, gdzie pracuje i gdzie mieszka. Mógł to być nawet ktoś z pracy, to też należało brać pod uwagę.

I jak zwykle kluczowe pytanie brzmiało: dlaczego?

– Proszę bardzo, dwa przepyszne duże piwka gratis od kierownictwa.

– Myślę, że to godne uznania – oznajmił Rebus.

– Albo zeznania, nie? – dodał Morton i otarł pianę z górnej wargi. Zauważył, że Rebus się nie uśmiechnął, więc spytał: – Coś się tak zamyślił?

– To seryjny morderca – stwierdził Rebus. – Na pewno. A jeśli tak, to jeszcze o nim usłyszymy.

Morton odstawił kufel, jakby nagle przeszło mu całe pragnienie.

– Te dziewczynki chodziły do różnych szkół – ciągnął Rebus – mieszkały w różnych dzielnicach, miały inne zwyczaje, innych znajomych, były innych wyznań, a zostały zamordowane przez tego samego zabójcę i w taki sam sposób, bez żadnych śladów seksualnego molestowania. Mamy do czynienia z szaleńcem. Może być wszędzie.

Przy barze zaczęła się awantura, najwyraźniej wynikła z gry w domino, w której coś poszło nie tak. Na podłodze z hukiem rozprysła się szklanka, po czym w barze zapadła nagła cisza. Potem emocje trochę opadły. Jednego z uczestników awantury wyprowadzili na zewnątrz jego kompani. Drugi pozostał przy barze i z pochyloną nisko głową tłumaczył coś kobiecie stojącej obok niego.

Morton pociągnął łyk piwa.

– Dzięki Bogu nie jesteśmy na służbie – powiedział. – Co byś powiedział na porcję curry?

Morton skończył jeść curry vindaloo z kurczaka i odłożył widelec na pusty talerz.

– Chyba trzeba będzie dać cynk chłopakom z Zakładu Higieny – zagadnął, wciąż jeszcze przeżuwać. – Albo jeszcze lepiej komuś z Inspekcji Handlowej. Nie wiem, co to było, ale na pewno nie był to kurczak.

Siedzieli w małej hinduskiej knajpce w pobliżu Haymarket. Oświetlenie w kolorze purpury, na ścianach czerwona, głęboko tłoczona tapeta, dźwięki sitara wypełniające wnętrze.

– Wyglądało, jakby ci smakowało – powiedział Rebus, dopijając piwo.

– Bo smakowało. Ale kurczak to nie był.

– Jak smaczne, to nie masz co narzekać.

Rebus siedział na krześle ukosem, z nogami wyciągniętymi przed siebie i ramieniem założonym na oparcie krzesła, paląc nie wiadomo którego dziś papierosa.

Morton przechylił się niepewnie w kierunku kolegi.

– John, zawsze jest powód, żeby ponarzekać, zwłaszcza gdy jest szansa, że dzięki temu uda ci się nie zapłacić rachunku.

Puścił oko do Rebusa, odchylił się do tyłu, czknął i sięgnął do kieszeni po papierosa.

– Szajs – oznajmił.

Rebus próbował policzyć w myśli, ile sam dziś wypalił, ale jego umysł doradził mu, by nie zawracał sobie głowy takimi bzdurami.

– Ciekaw jestem, co nasz morderca robi akurat w tej chwili, – powiedział.

– Kończy jeść curry? – podrzucił Morton. – Na tym właśnie polega problem, że to może być jeden z takich panów Olków Nijakich. Z wierzchu bez skazy, żonaty, dzieciaty, ciężko pracujący facio dojeżdżający co rano do roboty z przedmieścia, a w środku po prostu kompletny świr.

– Jeśli chodzi o tego faceta, to nic nie jest „po prostu”.

– To prawda.

– Ale możesz mieć rację. Chcesz powiedzieć, że to taki nowy Jekyll i Hyde, tak?

– Otóż to. – Morton strząsnął popiół na stół, na którym pozostały już ślady po sosie curry i piwie. Wpatrywał się w swój pusty talerz, jakby dziwiąc się, gdzie podziało się to całe jedzenie. – Jekyll i Hyde. O to chodzi. Powiem ci, John, że ja bym takich skurwieli zamykał na milion lat. Milion lat w izolatce wielkości pudła na buty. Tak bym zrobił.

Rebus przyglądał się tapecie na ścianie. Przed oczami stanęła mu jego własna izolotka z czasów, gdy SAS próbowało go złamać, czasów ostatecznej próby charakteru, czasów wzdychania i głuchego milczenia, głodu i brudu. Nie, nie chciałby tego jeszcze raz przeżywać. A przecież go nie bili, w zasadzie go nie bili. Inni mieli mniej szczęścia.

Uwięziona w celi, wrzeszcząca twarz.

Wypuście mnie, wypuście mnie

Wypuście mnie...

– John? Dobrze się czujesz? Jak chcesz sobie rzygnąć, to kibel jest z tyłu za kuchnią. Słuchaj, jak będziesz tamtędy przechodził, zrób mi przysługę i zerknij, co oni tam wrzucają do gara...

Rebus ruszył różnym krokiem do toalety, poruszając się z przesadną ostrożnością typową dla wstawionych, choć nie czuł się pijany, w każdym razie nie aż tak. Nozdrza wypełniły mu się mieszaniną woni curry, środków dezynfekcyjnych, fekaliów. Umył twarz. Nie, nie będzie rzygał. To nie sprawa nadmiernej ilości wypitego alkoholu, przecież to samo przydarzyło mu się w domu Michaela, ten sam chwilowy koszmar. Co się z nim dzieje? Czuł się jakby wszystko w środku w nim kamieniało, spowolniało i oddawało na pastwę przeszłości. Trochę podobne to było do załamania nerwowego, którego oczekiwał, ale jednak nie, to nie załamanie. Już nic. Już minęło.

– Podwieźć cię?

– Nie, dzięki. Przejdę się. Trochę się przewietrzę.

Rozstali się pod drzwiami restauracji. Grupa uczestników jakiejś imprezy biurowej – mężczyźni z krawatami rozluźnionymi, kobiety woniejące tanimi perfumami – przeszła w kierunku stacji Haymarket. Haymarket to ostatnia stacja w kierunku centrum Edynburga, po niej jest dużo większa i ruchliwsza Waverley. Rebus przypomniał sobie, że wcześniejsze wyciągnięcie członka w trakcie stosunku przerywanego jest często potocznie

nazywane „wysiadką na Haymarket”. I kto powiedział, że mieszkańcy Edynburga to ludzie bez fantazji? Śmieją się, śpiewają i duszą dzieci. Rebus otarł pot z czoła. Ciągle czuł się osłabiony, oparł się więc na chwilę o latarnię. Z grubsza wiedział, o co chodzi. Jego jaźń próbowała odrzucić przeszłość, tak jak organizm odrzuca przeszczepione serce. Ukrył cały koszmar pobytu w wojsku w najgłębszym zakamarku umysłu tak, że teraz każde przypomnienie wywoływało u niego gwałtowną reakcję sprzeciwu. A przecież jednocześnie w tym koszmarze odnalazł wtedy przyjaźń, braterstwo, koleżeństwo – wszystko jedno, jak to nazwać. I dowiedział się o sobie samym więcej, niż się to ludziom zwykle zdarza. Jakże dużo się dowiedział.

Nie dał się złamać. Z przeszkolenia wyszedł z tarczą. I dopiero potem przyszło załamanie nerwowe.

Dość tego. Idąc w kierunku domu, starał się odzyskać równowagę i myśleć o planach na jutro. Jutrzejszy dzień spędzi na czytaniu, spaniu i szykowaniu się na imprezę u Cathy Jackson.

Potem będzie niedziela i nieczęste spotkanie z córką. A później może uda mu się dojść, co za wariat przysłała mu te listy.

Dziewczynka obudziła się ze słonym smakiem w suchych ustach. Czowała się senna, odrętwiała i zastanawiała się, gdzie jest. Zasnęła w jego samochodzie. Przedtem nie chciało jej się spać, zanim nie poczęstował jej tym batonem czekoladowym. Teraz już nie spała, ale nie była w swoim pokoju. Tu na ścianach wisiały obrazki, jakieś zdjęcia wycięte z kolorowych magazynów. Na niektórych z nich byli żołnierze z groźnymi minami na twarzach, na innych młode dziewczyny i kobiety. Przyjrzała się bliżej kilku zdjęciom z polaroidu zgrupowanym obok siebie na ścianie. Wśród nich było też jej zdjęcie, jak śpi na łóżku z szeroko rozrzuconymi ramionami. Widok ten wstrząsnął nią.

W salonie za ścianą usłyszał, że się przebudziła, i zaczął szykować garotę.

Tej nocy Rebusa nawiedziła znów jedna z jego sennych zjaw. Po długim namiętym pocałunku doznał wytrysku zarówno we śnie, jak i w rzeczywistości. Obudził się natychmiast i wytarł się. Wciąż jeszcze ogarniała go aura pocałunku. Potrząsnął głową, by ją rozproszyć. Potrzebna mu kobieta. Na myśl o zbliżającej się imprezie trochę się odprężył, ale usta wciąż miał suche. Począł więc do kuchni i sięgnął po butelkę lemoniady. Była już bez gazu, ale się nada. Potem przypomniał sobie, że przecież wciąż jest jeszcze załany i jak nie będzie uważał, to skończy się to kacem. Nalał kolejno trzy szklanki wody i zmusił się do ich wypicia.

Ucieszyło go, że tym razem płomyk w piecu nie zgasł. Był to dobry omen. Po powrocie do łóżka pamiętał nawet, by zmówić modlitwę. To ci dopiero zaskoczenie dla Najwyższego, tam w górze. Zapisze sobie w swojej wieczystej księdze: Rebus pamiętał o mnie dziś wieczorem. Jutro można mu podarować miły dzień.

Amen.

Michael Rebus kochał swoje bmw równie mocno jak samo życie, a może jeszcze bardziej. Pędząc po autostradzie tak, że wyprzedzane po lewej stronie samochody zdawały się stać w miejscu, miał wrażenie, że ten samochód w szczególności i jakże satysfakcjonujący sposób jest jego życiem. Przód maski wycelował w jasny punkt gdzieś na horyzoncie i pędził ku przyszłości, utrzymując silnik na pełnych obrotach i nie zważając na nic ani na nikogo.

Lubił taką jazdę. Ostrą, szybką, komfortową, na włączonym tempomacie. Postukiwał palcami po obłożonej skórą kierownicy, bawił się radiomagnetofonem, opierał głowę o miękki zagłówek. Często marzyło mu się, że zostawia żonę, dzieci i cały dom, i gdzieś jada, tylko on i jego samochód. Pędzą w kierunku tego dalekiego punktu na horyzoncie, zatrzymują się tylko na chwilę, żeby coś zjeść i zatankować, i tak pędzą aż do śmierci. Kojarzyło się to z życiem w raj, mógł więc zupełnie bezpiecznie tak sobie fantazjować, wiedział bowiem, że nigdy w praktyce nie odważy się żyć w raj.

Po kupieniu pierwszego w życiu samochodu zdarzało się, że budził się w środku nocy, rozchyłał zasłony i sprawdzał, czy wciąż tam stoi. Czasami potrafił wstać o czwartej czy piątej rano i wybrać się na kilkugodzinną przejażdżkę, ze zdumieniem odnotowując, jak szybko mijają kilometry, i rozkoszując się jazdą po pustych drogach. Spotykał na nich jedynie króliki i wrony, dłonią na przycisku klaksonu zmuszał do nagłego zrywania się do lotu stada wystraszonych ptaków. Właściwie nigdy nie pozbył się tej miłości do samochodów, będących spełnieniem jego marzeń.

Ludzie często teraz gapili się na jego samochód. Miał zwyczaj parkować na uliczkach Kirkcaldy i z pewnej odległości obserwować, jak go podziwiają. Młodszy, pełni wiary w siebie i swoich planów na przyszłość, zaglądali do środka i podziwiali skórzane wnętrza i tablicę rozdzielczą, niczym zamknięte w klatce zwierzęta w zoo. Starsi, często w towarzystwie żon, patrzyli na samochód z zawiścią i mijając go, czasami spluwali pod nogi w świadomości, że reprezentuje on to wszystko, o czym kiedyś marzyli i czego nie udało im się osiągnąć. Michaelowi Rebusowi udało się, mógł więc na swoje marzenie patrzeć kiedy i ile chciał.

Jednak w Edynburgu zwrócenie uwagi przechodniów zależało już od tego, gdzie się zaparkowało. Któregoś dnia zatrzymał się na George Street, ale nim zdążył wysiąść, tuż za nim ustawił się jakiś rolls-royce. Wściekły, niemal plując ze złości, ponownie uruchomił silnik. W końcu zaparkował przed jakąś dyskoteką. Wiedział, że jak się parkuje drogi samochód przed restauracją albo dyskoteką, to niektórzy biorą cię za właściciela lokalu. To uczucie było na tyle przyjemne, że zatarło niemiłe wspomnienie rolls-royce'a i zapoczątkowało nowy rozdział marzeń.

Ruszanie spod świateł też może być przyjemne, chyba że za tobą, albo co gorsza tuż obok, staje jakiś półgłówek na wielkim ryczącym motorze. Niektóre z tych motorów mają specjalnie podrasowane odejście przy starcie. Nieraz zdarzyło mu się przegrać wyścig z takim durniem. To też starał się wyrzucić z pamięci.

Dziś jednak zatrzymał się tam, gdzie mu kazano: na parkingu na szczycie wzgórza Calton Hill. Przez przednią szybę rozciągał się widok aż po Fife, przez tylną widać było Princes Street, ciągnącą się w dół jak na grze planszowej. Na wzgórzu było pustawo. Sezon turystyczny jeszcze się na dobre nie zaczął i było zimno. Wiedział, że w nocy bywa tu goręcej: wariackie jazdy samochodami, nocne imprezy na plaży Queensferry. Społeczność edynburskich gejów mieszała się tu ze zwykłymi gapiami i samotnikami, ale zdarzały się też od czasu do czasu pary mieszane, które trzymając się za ręce, znikwały wśród zieleni cmentarza u stóp wzgórza. Po zapadnięciu mroku wschodni kraniec Princes Street przylegający do wzgórza zaczynał żyć własnym życiem, w którym albo uczestniczyło się z innymi, albo ukradkiem podglądało. On jednak nie przyjechał tu ani w jednym, ani drugim celu. Jego marzenia były dość kruchej natury.

Patrzył na Fife rozciągające się po drugiej stronie zatoki Firth of Form, a z tej odległości był to widok dość imponujący, kiedy podjechał samochód z jego człowiekiem za kierownicą i stanął tuż obok. Michael przesunął się na fotel pasażera i opuścił szybę, mężczyzna też otworzył okno.

– Masz towar? – spytał Michael.

– Jasne – odparł mężczyzna i spojrzął w lusterko. Zza wzgórek wyłoniła się właśnie grupka ludzi, najwyraźniej rodzina. – Chwilę poczekamy – dodał.

Zamilkli i przez jakiś czas siedzieli bez słowa i patrzyli przed siebie.

– W Fife bez problemów? – spytał mężczyzna.

– Żadnych.

– Mówią, że twój brat cię odwiedził. To prawda? – Oczy mężczyzny patrzyły twardo; cały wyglądał na twardego. Tylko samochód, w którym siedział, wyglądał jak kupa złomu, więc jak dotąd Michael czuł się dość pewny siebie.

– Tak, ale to bez znaczenia. To tylko z okazji rocznicy śmierci naszego ojca. Nic więcej.

– On o niczym nie wie?

– A skąd. Myślisz, że na głowę upadłem, czy jak?

Jedno spojrzenie mężczyzny wystarczyło, by Michael zamilkł. Nie bardzo rozumiał, dlaczego ten człowiek budzi w nim taki strach. I dlatego nienawidził tych spotkań.

– Bo jakby cokolwiek się stało – mówił dalej mężczyzna – jakby absolutnie cokolwiek poszło nie tak, to ty będziesz miał do tyłu. Zapamiętaj to sobie, bo mówię poważnie. Na przyszłość lepiej się od tego skurwiela trzymaj z daleka.

– To nie moja wina. Wpadł do mnie bez uprzedzenia. Nawet przedtem nie zadzwonił. Co mogłem zrobić?

Jego dłonie przywarły do koła kierownicy jak przyklejone. Mężczyzna znów spojrzał w lusterko.

– Czysto – powiedział i sięgnął za siebie. Wsunął niewielką paczkę przez okno do samochodu Michaela. Ten zajrzał do środka, wyjął z kieszeni kopertę, podał ją mężczyźnie i sięgnął do kluczyka w stacyjce.

– Będziemy w kontakcie, panie Rebus – powiedział mężczyzna, otwierając kopertę.

– Tak – odparł Michael i pomyślał, że na pewno by nie byli, gdyby to tylko od niego zależało. Cały ten układ zaczynał mu już ciążyć. Ci ludzie wydawali się wiedzieć o nim wszystko. Zdawał sobie sprawę z tego jednak, że uczucie strachu zniknie i da ujście euforii w chwili, kiedy uda mu się pozbyć kolejnej partii towaru i schować do kieszeni kasę z ogromnym zyskiem na całej transakcji. I to właśnie ten moment zastępowania strachu euforią trzymał go w tym biznesie. Był jak najostrzejszy odjazd spod świateł z największym możliwym przyspieszeniem.

Jim Stevens siedział w stojącym na wzgórzu „wiktoriańskim szaleństwie”, jak nazywano idiotyczną i nigdy nie dokończoną replikę greckiej świątyni, i obserwował odjeżdżającego Michaela Rebusa. W tym nie było żadnej sensacji; znacznie bardziej interesował go edynburski łącznik, człowiek, którego nie udało mu się dotąd wysledzić i którego nie znał, człowiek, który mu już dwukrotnie umknął i który niewątpliwie potrafi to znów zrobić. Wydawało się, że nikt go nie zna i nikt go nie chce znać. Wyglądał na człowieka niebezpiecznego. Stevens, który nagle poczuł się stary i bezsilny, musiał jedynie zadowolić się zanotowaniem numeru rejestracyjnego jego samochodu. Pomyślał, że może McGregor Campbell mógłby z tym coś zrobić, obawiał się jednak, by nie trafiło to do Rebusa. Znalazł się jak w potrzasku w środku czegoś, co go coraz bardziej przerastało.

Bezskutecznie próbował sobie wmówić, że o to właśnie mu chodziło.

– Nie wiem, kim jesteś, ale proszę, włącz.

Płaszcz, rękawiczki i butelkę wina odebrali od Rebusa jacyś zupełnie nieznani mu ludzie, a on zanurzył się w gwarny, spowity dymem papierosowym tłum. Była to jedna z tych imprez, podczas których łatwo jest uśmiechać się do wszystkich i znacznie trudniej zaprzyjaźnić z kimś jednym. Przeszedł z holu do kuchni, a stamtąd przez otwarte szeroko drzwi do salonu.

Krzesła, stół i kanapę odsunięto pod ściany, a środek pokoju zajmowały wyginające się w takt muzyki i pokrzykujące pary. Mężczyźni byli bez krawatów, a koszule przylegały im do spoconych ciał.

Wyglądało, że impreza rozpoczęła się dużo wcześniej, niż się spodziewał.

Rozpoznał kilka twarzy wokół siebie i pod sobą, jako że wchodząc do pokoju, musiał zrobić krok ponad dwoma inspektorami policji. W końcu pokoju dojrzał stół zastawiony butelkami i plastikowymi szklankami, uznał więc, że będzie to dobry punkt obserwacyjny i pewnie bezpieczniejszy od innych.

Przedostanie się do niego nie było jednak sprawą prostą i chwilami przywodziło na myśl wspomnienie wojskowych szkoleń z walki wręcz.

– Cześć, witam!

Cathy Jackson przez moment znalazła się w jego polu widzenia, nim szarpnięta przez wielkiego – bardzo wielkiego – faceta wykonującego wygibasy udające taniec, jak szmaciana lalka pofrunęła dalej.

– Halo – zdołał odkrzyknąć Rebus, bardziej się przy tym krzywiąc, niż uśmiechając. Dotarł wreszcie do stosunkowo bezpiecznej przystani przy stole z drinkami i nalał sobie whisky i coś do popicia. Na początek wystarczy. Potem stał i patrzył jak Cathy Jackson (dla której się wykąpał, wyszorował, ogolił i wypachnił) wtyka język w przepastne usta swego partnera. Rebus pomyślał, że za chwilę puści pawia. Umówiona partnerka na wieczór wycięła mu numer, zanim się ten wieczór w ogóle zaczął! To mu da nauczki. Więc co teraz? Po cichu się wymknąć, czy rozejrzeć się za kimś innym?

Z kuchni wyłonił się ciężki przysadzisty mężczyzna, z wyglądu na pewno nie policjant, i z papierosem w ustach i dwiema pustymi szklankami w dłoniach przecisnął się przez tłum i dotarł do stołu.

– Jebał to pies – przeklął, nie adresując tego do nikogo konkretnie i przebierając wśród butelek. – To jest, kurwa, afera, nie? Przepraszam za słowo pies.

– No, tak jakby.

Rebus pomyślał, że jednak udało mu się do kogoś odezwać. Lody zostały przełamane, lepiej więc teraz się wycofać póki czas.

Jednak nie zrobił tego. Stał i patrzył, jak mężczyzna umiejętnie przepycha się przez tańczących w kierunku kuchni, dłońmi osłaniając drinki niczym żywe stworzenia. Potem z ukrytego gdzieś stereo ryknął następny utwór, tańczący od nowa rozpoczęli swoje konwulsje, w drzwiach zaś stanęła kobieta wyglądająca na równie jak on zagubioną, której ktoś wskazywał ręką stół z drinkami.

Była mniej więcej w jego wieku, odrobinę już przechodzona. Ubrana była w sukienkę, która wydała mu się dość modna (ale cóż on ma do powiedzenia na temat mody?, jego garnitur na tle innych sprawiał wrażenie pogrzebowego), jej fryzura zaś miała niedawno kontakt z fryzjerem, może nawet dziś popołudniu. Miała na nosie typowo sekretarskie okulary, ale sekretarką nie była. Rebus doszedł do tego wniosku, patrząc na nią i obserwując jej ruchy w trakcie przepychania się w jego kierunku.

Wyciągnął do niej rękę ze świeżo zmieszaną Krwawą Mary.

– Pasuje pani? – zawołał. – Trafiłem, czy nie?

Z wdzięcznością łyknęła całą zawartość, a kiedy przerwała, by zaczerpnąć powietrza, ponownie napełnił jej szklankę.

– Dzięki – powiedziała. – Normalnie nie piję, ale to wypiłam z przyjemnością.

Rewelacja, pomyślał Rebus, a uśmiech nie opuszczał jego twarzy. Panna Cathy Jackson dostaje po alkoholu pierdolca w głowie (i gdzie indziej), a mnie się trafia cholerna cnotka-abstynentka. Ale ponieważ nie była to myśl typowa dla niego i nie oddawała sprawiedliwości stojącej obok kobiecie, szybko się w duchu zreflektował.

– Ma pani ochotę zatańczyć? – spytał, by zmasać swoją winę.

– Chyba żartujesz?

– Wcale nie. A dlaczego?

Ogarnięty męskim szowinizmem, Rebus nie mógł w to uwierzyć. Była inspektorem z dochodzeniówki, a w dodatku pełniła funkcję rzecznika prasowego w sprawie zamordowania dwóch dziewczynek.

– No, bo – zaczął – tak się składa, że ja też pracuję przy tej sprawie.

– John, jak tak dalej pójdzie, to nie znajdzie się ani jeden policjant i ani jedna policjantka w całej Szkocji, którzy nie będą przy tej sprawie pracować. Możesz mi wierzyć.

– Co masz na myśli?

– Mamy następne uprowadzenie. Matka dziewczynki zgłosiła jej zniknięcie dziś wieczór.

– O kurwa. Przepraszam.

W ciągu całego wieczoru tańczyli, pili, rozdzielali się, ponownie spotykali i wyglądało, że już są zaprzyjaźnieni na resztę wieczoru. Stali w przedpokoju, nieco z dala od hałasu i zamieszania panującego w pokoju, w którym tańczono. Kolejka do jedynej w mieszkaniu ubikacji na końcu korytarza zaczynała wyglądać groźnie.

Rebus złapał się na tym, że przez szkła okularów Gill Templer wpatruje się w jej szmaragdowozielone oczy. Pragnął jej powiedzieć, że nigdy w życiu nie widział tak pięknych oczu, ale nie chciał się narazić na zarzut prawienia komunałów. Teraz piła już tylko sok pomarańczowy, natomiast on, nie spodziewając się niczego szczególnego po tym wieczorze, pozwolił sobie na luz i wypił kilka dużych whisky.

– Cześć, Gill.

W mówiącym Rebus rozpoznał przysadzistego mężczyznę, z którym zamienił słowo przy stole z drinkami.

– Wieki cię nie widziałem.

Mężczyzna spróbował Ucałować Gill Templer w policzek, ale udało mu się tylko omsknąć i stuknąć głową w ścianę.

– Ciut za dużo wypiliśmy, Jim? – zapytała Gill chłodno.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Patrzył teraz na Rebusa.

– Cóż, każdy musi dźwigać jakiś swój krzyż, nie?

Wyciągnął rękę do Rebusa.

– Jim Stevens – przedstawił się.

– Ach, to pan jest tym reporterem?

Rebus uściśnął podaną dłoń, która była gorąca i wilgotna.

– A to detektyw sierżant John Rebus – przedstawiła go Gill.

Rebus zauważył przelotny rumieniec na twarzy Stevensa i wzrok jak u spłoszonego zająca. Ale trwało to tylko moment.

– Miło mi pana poznać – powiedział. Potem skinął głową i dodał: – Gill i mnie łączy długa znajomość, prawda, Gill?

– Aż tak bardzo, jak ci się zdaje, to nie łączy.

Zaśmiał się i popatrzył na Rebusa.

– Po prostu jest dyskretna – oznajmił. – Słyszałem, że zamordowano następną dziewczynkę.

– Jim ma wszędzie swoich szpiegów.

Stevens postukał w swój krwistoczerwony nochal i uśmiechnął się do Rebusa.

– Wszędzie – potwierdził – i wszędzie mnie pełno.

– To prawda, nasz Jim potrafi się rozciągać jak guma – stwierdziła Gill głosem nagle ostrym, a jej oczy skryły się za zasłoną ze szkła i plastiku, i przybrały twardy wyraz.

– Jutro będzie kolejna prasówka, Gill? – spytał Stevens, obmacując kieszenie w poszukiwaniu papierosów.

– Tak.

Dłoń reportera spoczęła na ramieniu Rebusa.

– Mówię ci kolego, z Gill dużo nas łączy.

Potem odszedł, wyciągając w ich kierunku rękę i machając nią w sposób nie wymagający odzewu, wciąż obmacując kieszenie w poszukiwaniu papierosów i notując sobie w pamięci twarz Johna Rebusa.

Gill Templer westchnęła i oparła się o ścianę w miejscu, które Stevens wcześniej ucałował.

– Jeden z najlepszych reporterów w całej Szkocji – powiedziała rzeczowo.

– I do twoich obowiązków należy użeranie się z takimi jak on?

– Nie jest taki najgorszy.

W salonie zanosilo się na jakąś awanturę.

– No to jak – powiedział Rebus, uśmiechając się – dzwoniemy po policję, czy wolisz, żebym cię zabrał do

pewnej sympatycznej knajpki?

– Czy to ma być podryw?

– Może. Sama dojdź. W końcu jesteś z dochodzeniówki.

– Nieważne, co to jest, macie szczęście detektywie sierżancie Rebus, bo umieram z głodu. Pójdę po płaszcz.

Rebus przypomniał sobie, że i jego płaszcz gdzieś tu utknięto. Odnalazł go w jednej z sypialni razem z rękawiczkami i – ku miłemu zaskoczeniu – z jego nie otwartą butelką wina. Pomyślał, iż niebiosa dają mu w ten sposób znak, że może się jeszcze przydać, i schował ją do kieszeni płaszcza.

W drugiej sypialni Gill grzebała w stercie okryć zwalonych na łóżku. Wyglądało, że pod spodem odbywa się jakieś ożywione spotkanie towarzyskie, więc cała sterta okryć i pościeli falowała i podrygiwała jak gigantyczna ameba. Chichocząc, Gill odnalazła w końcu swój płaszcz i podeszła do Rebusa, który czekał na nią przy drzwiach z uśmiechem spiskowca na twarzy.

– Do widzenia, Cathy – zawołała w kierunku sypialni – i dzięki za ubaw.

Spod sterty dał się słyszeć zduszony pomruk. Zdumionemu Rebusowi zdało się, że jego wewnętrzny kościec moralny kruszy się i rozlatuje w kawałki.

W taksówce siedzieli trochę od siebie oddaleni.

– Więc tego Stevensa i ciebie rzeczywiście tak dużo łączy?

– Tylko w jego wyobraźni. – Patrzyła obok głowy taksówkarza na połyskliwą, moką drogę. – Pamięć go już widać zawodzi. A mówiąc poważnie, to kiedyś raz się umówiliśmy. Dosłownie jeden raz. – Uniosła w górę jeden palec. – W jakiś piątkowy wieczór, o ile dobrze pamiętam. Natomiast dobrze pamiętam, że był to wielki niewypał.

Rebus poczuł spokój i ponownie głód. Jednak kiedy dotarli do restauracji okazała się już zamknięta – nawet dla Rebusa – zostali więc w taksówce, a Rebus podał kierowcy swój adres.

– Jestem ekspertem w robieniu kanapek z bekonem – powiedział.

– Jaka szkoda – odparła. – Bo jestem wegetarianką.

– Boże święty, chcesz powiedzieć, że w ogóle nie jadasz jarzyn?

– Powiedz mi – zaczęła dość kwaśnym tonem – dlaczego mięsożerni zawsze muszą robić takie głupie żarty? Tak samo jest z podejściem mężczyzn do feministek. Dlaczego tak musi być?

– Bo się ich boimy – odpowiedział Rebus, całkiem już wytrzeźwiający.

Gill spojrzała na niego, ale on patrzył przez okno na zapóźnionych miejskich hulaków, którzy krążą po Lothian Road wśród licznych pułapek w poszukiwaniu alkoholu, kobiet i szczęścia. Dla wielu sprowadzało się to do łożenia po licznych tu pubach i klubach nocnych i pogryzaniu po drodze czegoś kupionego w jednym z barów z jedzeniem na wynos. Lothian Road jest jak wysypisko odpadków dla Edynburga. Ale jednocześnie tutaj też mieści się hotel Sheraton i sala koncertowa Usher Hall. Rebus był kiedyś w Usher Hall i wraz z Rhoną i całą nadętą resztą wysłuchał *Requiem* Mozarta. Było to typowe dla Edynburga: wsadzić instytucję kulturalną między fast foody. *Requiem* Mozarta z torbą frytek w dłoni.

– Co tam słyhać w biurze prasowym?

Siedzieli w naprędce sprzątniętym salonie. Jego przedmiot radości i dumy, magnetofon Nakamichi z gracją odtwarzał jedną ze specjalnie skompilowanych do nocnego słuchania taśm jazzowych. Stan Getz albo Coleman Hawkins.

Udało mu się zorganizować talerz kanapek z tuńczykiem i pomidorami, kiedy Gill przyznała, że ryby czasami jada. Butelka wina została otwarta, a obok stał dzbanek z kawą ze świeżo zmielonych ziaren, luksus, na który zwykle pozwalał sobie tylko w niedzielne poranki. Siedział naprzeciw Gill i patrzył jak je. Pomyślał z zaskoczeniem, że to pierwsza kobieta, którą gości od odejścia Rhony. Dopiero po chwili mgliście przypomniał sobie kilka wcześniejszych wizyt na jedną noc.

– Słyhać całkiem nieźle. Wbrew powszechnej opinii nie jest to strata czasu. W dzisiejszych czasach biuro ma do odegrania określoną i pożyteczną rolę.

– Ależ ja się go nie czepiam.

Przyjrzała mu się, próbując ocenić, czy mówi to poważnie.

– No bo tak się składa – powiedziała – że znam wielu naszych wspólnych kolegów uważających, że taka praca jak moja to marnowanie czasu i wysiłku. Możesz mi wierzyć, że w takiej sprawie jak ta ostatnia utrzymanie opinii mediów po naszej stronie jest niesłychanie istotne, jak i to, by informacje, które za ich pośrednictwem docierają do

opinii publicznej, docierały do niej wtedy, kiedy nam to odpowiada. Zaoszczędza nam to mnóstwa różnych kłopotów.

– Proszę, proszę.

– Bądź poważny, ty prosiaku.

Rebus roześmiał się.

– Całe życie jestem poważny. Stuprocentowy wzór policjanta to ja.

Gill Templer znów mu się przyjrzała. Miała wzrok rasowej policjantki, który potrafił się wwiercić w sumienie, dostrzec próbę ukrycia winy i znaleźć słabe punkty.

– A jako oficer łącznikowy w biurze prasowym pewnie musisz utrzymywać z prasą... dość ścisłą łączność, czy nie tak?

– Wiem, do czego pijecie, sierżancie Rebus, więc jako wasz przełożony rozkazuję wam przestać.

– Tak jest, pani inspektor. – Rebus krótko zasalutował.

Poszedł do kuchni i przyniósł kolejny dzbanek kawy.

– Ależ okropne było to party, nie uważasz? – spytała Gill.

– Było to najlepsze party, na jakim kiedykolwiek byłem – odparł Rebus. – Gdyby nie to party, mógłbym cię nigdy nie spotkać.

Tym razem roześmiała się głośno, z ustami pełnymi pasty z tuńczyka, chleba i pomidora.

– Wariat z ciebie! – zawołała. – Naprawdę wariat.

Rebus uniósł brwi, uśmiechając się. Czyżby stracił wyczucie? Ale nie, nie stracił! To prawdziwy cud.

Później poszła do łazienki, a on zajął się zmianą taśmy i nagle uzmysłowił sobie, jak bardzo ograniczone są jego muzyczne gusta. Co to w ogóle za zespoły, te, które ona wciąż wymienia?

Kiedy wróciła, leciała kolejna taśma z muzyką jazzową, chwilami tak cichą, że niemal niesłyszalną, a Rebus siedział już z powrotem w swoim fotelu.

– Co jest w tym pokoju naprzeciw łazienki? – spytała.

– Kiedyś był to pokój mojej córki, ale teraz stoi pusty i jest tam rupieciarnia. W ogóle z niego nie korzystam.

– Kiedy rozstaliście się z żoną?

– Za późno. I mówię to zupełnie serio.

– A ile lat ma córka? – Teraz jej głos brzmiał miękko, kobieco, po domowemu; ani śladu po sarkastycznej feministce czy zawodowej policjantce.

– Dwanaście – odparł. – Prawie dwanaście.

– To trudny wiek.

– A są łatwe?

Kiedy wino się skończyło, a w dzbanku zostało już tylko pół filiżanki kawy, któreś z nich jako pierwsze zaproponowało pójście do łóżka. Wymienili nieśmiałe uśmiechy i rytualne zapewnienia, że niczego sobie wzajemnie nie obiecują. Z tak uzgodnionym i w myślach podpisanym kontraktem udali się do sypialni.

Zaczęło się wszystko dobrze. Oboje byli dorośli i zbyt często uczestniczyli w tej grze w przeszłości, by tracić czas na zbędne przekomarzania. Rebus był pełen podziwu dla jej energii i inwencji i miał nadzieję, że ona podobnie go odbiera. Na spotkanie z nim wygięła się w hak, dążąc do ostatecznego i nieosiągalnego zespolenia.

– John... – Lekko go odepchnęła.

– Co się stało?

– Nic. Teraz się odwróć, dobrze?

Ukląkł, a ona odwróciła się do niego plecami, przesunęła na kolanach po pościeli i w oczekiwaniu zaparła końcami palców o gładką ścianę. W czasie tej króciutkiej przerwy Rebus rozejrzał się i dostrzegł skąpaną w niebieskawym świetle stertę książek i krawędź materaca.

– Och, to japoński futon – powiedziała, szybko ściągając z siebie rzeczy.

Uśmiechnął się milcząco.

...

Zaczął tracić erekcję.

– No, chodź, John. Chodź.

Pochylił się nad nią i oparł głowę o jej plecy. O książkach rozmawiali z Gordonem Reeve po tym, jak ich pojмали. Wydawało się, że mówił wtedy bez końca, cytował mu z pamięci całe fragmenty. Obaj stłamszeni w ciasnej celi, od groźby tortur oddzieleni jedynie cienkimi drzwiami. Ale nie dali się. Tak ich przecież

wyszkolono.

– John, och, John.

Gill uniosła się i zwróciła do niego twarzą, czekając na pocałunek. Gill, Gordon Reeve, wszyscy oczekują od niego czegoś, czego on nie może im dać. I to pomimo całego przeszkolenia, mimo lat ćwiczeń, mimo wysiłków i samozaparcia.

– John?

Ale on już był gdzie indziej; znowu w obozie rekruckim, znowu przedziera się przez błotniste wertepy, a szef wrzeszczy na niego, że ma się pospieszyć; znów jest w celi i patrzy na karalucha, który lezie po zarośniętej brudem podłodze; znów jest w helikopterze z workiem na głowie i czuje słony smak morskich rozbryzgów...

– John?

Zaniepokojona zwróciła się do niego twarzą i dojrzała wzbierające mu w oczach łzy. Przytuliła jego głowę do swojej.

– Och, John, to nic takiego. Nic się nie stało. – I chwilę później: – A co, nie lubisz w tej pozycji?

Potem leżeli razem w milczeniu, on w poczuciu winy, przeklinając to wszystko, co legło u podstaw jego napadów, a także to, że zabrakło mu papierosów; ona senna i rozmarzona, szeptem opowiadając mu po kawałku swoje życie.

Później poczucie winy opuściło Rebusa. W końcu nie miał żadnego powodu, by czuć się winnym. Jedyne, co go naprawdę gnębiło, to dojmujący brak nikotyny. Przypomnił sobie też, że za niecałe sześć godzin spotka się z Sammy, a jej matka instynktownie wyczuje, co przez te kilka ostatnich godzin robił. Była prawdziwą czarownicą obdarzoną umiejętnością zagładania człowiekowi do duszy, a kiedyś miała okazję obserwować go z bliska, z bardzo bliska, te jego napady płaczu. Podejrzewał, że właśnie to było jedną z przyczyn ich rozstania.

– Która godzina, John?

– Czwarta. Może trochę po.

Wysunęła ramię spod jego głowy, wstała i ruszyła do łazienki.

– Chcesz coś do picia? – spytał.

– A co proponujesz?

– Może kawę. Właściwie nie warto już teraz zasypiać, ale jeśli jesteś senna, to mną się nie przejmuj.

– Nie, wypiję filiżankę kawy.

Z tonu jej głosu, z jej niewyraźnego mamrotania Rebus zorientował się, że nim dotrze do kuchni, ona już uśnie jak kamień.

– Dobra – powiedział.

Zrobił sobie czarną, słodką kawę i z filiżanką w dłoni zagłębił się w fotelu. Zapalił niewielki kominek gazowy w salonie i zaczął czytać jedną z książek. Dziś spotyka się z Sammy, więc jego myśli uciekały od treści książki – jakiejś intrygi miłosnej, której początku w ogóle nie pamiętał. Sammy miała prawie dwanaście lat. Szczęśliwie przetrwała wszystkie dziecięce niebezpieczeństwa i teraz nadchodziła pora niebezpieczeństw innego rodzaju. Wszelkiego rodzaju zbrodnie, staruchy z lubieżnymi spojrzeniami, nastoletnie koguty – do tego dojdą jeszcze żądze budzące się w kolegach w jej wieku, chłopcach, których zna i których uznaje za swoich przyjaciół, a którzy teraz przekształcają się nagle w bezlitosnych myśliwych. Jak ona sobie z tym wszystkim poradzi? Jeśli jej matka się w to włączy, zapewne poradzi sobie nieźle: gryząc w zwarciu i przy linach robiąc uniki. Tak, da sobie radę bez pomocy ojca,

W dzisiejszych czasach dzieciaki są twardsze. Przypomnił sobie własne dzieciństwo. Był starszym bratem Mickeya, staczającym za nich obu bójki i wracającym do domu, by zobaczyć, jak ojciec przytula i pociesza jego brata. Więc wciskał się coraz głębiej w poduszki kanapy w nadziei, że któregoś dnia całkiem się w nie wtopi. A wtedy im będzie żal. Wtedy go pożałują...

O siódmej trzydzieści przeszedł do sypialni, w której panowała duszna atmosfera w dwóch trzecich pachnąca seksem i w jednej trzeciej zwierzęcym legowiskiem, i pocałunkami rozbudził Gill.

– Już czas – powiedział. – Wstawaj, zrobię ci kąpiel.

Pachniała przyjemnie, jak niemowlę leżące na ręczniku przy kominku. Z przyjemnością patrzył na kształty jej zwiniętego ciała, jak nabierały życia w mdłym, rozproszonym dziennym świetle. Niewątpliwie miała dobre ciało. Właściwie żadnych rozstępów. Gładkie nogi. Włosy tylko na tyle zmierzwił, by zachęcało to do pieszczot.

– Dzięki.

Musiała być w komendzie przed dziesiątą, gdyż trzeba było napisać kolejny komunikat dla prasy. Ani chwili wytchnienia. Cała sprawa rosła jak złośliwy guz. Rebus napełnił wannę i skrzywił się na widok obwódki brudu na ściankach. Potrzebował kogoś do sprzątania. Może uda się wpuścić w to Gill.

Znów niegodna myśl, proszę, wybacz.

To przypomniało mu o pójściu do kościoła. W końcu była niedziela, a od tygodni obiecywał sobie, że jeszcze raz podejmie próbę, że znajdzie sobie jakiś nowy kościół i spróbuje od początku.

Nie znosił wspólnego uczestnictwa w obrzędach religijnych. Nie znosił widoku odzianych w odświętne ubrania szkockich protestantów z ich minami i uśmieszkami, którzy przychodzili do kościoła, by spotkać się z sąsiadami, a nie z Bogiem. Jak dotąd wypróbował już siedem edynburskich kościołów pod różnymi wezwaniami, ale żaden nie przypadł mu do gustu. Którejś niedzieli zaś siedział w domu przez dwie godziny, czytał Biblię i modlił się, ale i to mu jakoś nie leżało. Znalazł się w potrzasku: człowiek wierzący, ale wypchnięty poza wiarę. Czy osobista wiara pojedynczego człowieka wystarcza Bogu? Może tak, ale chyba nie w jego przypadku, bo jego wiara wydawała się zależeć od poczucia winy i ogarniającej go hipokryzji na myśl o popełnionym grzechu. Było to poczucie winy, którą tylko wystawienie na widok publiczny mogło uśmierzyć.

– Czy kąpiel już gotowa, John?

Poprawiła włosy, ale pewna swej urody została naga, bez okularów, które zostawiła w sypialni. Rebus poczuł, że jego duszy znów grozi niebezpieczeństwo. No i dobrze, pomyślał, obejmując ją za biodra. Poczucie winy może poczekać. Poczucie winy zawsze może poczekać.

Potem, po kolejnym empirycznym udowodnieniu prawdziwości prawa Archimedesesa o wypieraniu wody przez ciała, musiał wytrzeć podłogę w łazience. W wannie pławił się w tej wodzie jak w mleku z miodem i niewiele brakowało, żeby się utopił.

Ale czuł się teraz znacznie lepiej.

– O Panie, jestem nędznym grzesznikiem – szepnął, podczas gdy Gill się ubierała. Kiedy stanęła w drzwiach, wyglądała poważnie i oficjalnie, niemal jakby wychodziła stąd po dwudziestominutowej służbowej wizycie.

– Czy możemy ustalić następne spotkanie? – spytał.

– Możemy – odparła i zajrzała do torebki.

Rebusa zawsze zastanawiało, dlaczego kobiety robią to po przespaniu się z mężczyzną, szczególnie na filmach i w książkach sensacyjnych. Czy podejrzewają, że ich łóżkowi partnerzy grzebią im w torebkach?

– Tyle, że to może być dość trudne – dodała – zważywszy jak się ta cała sprawa rozwija. Więc powiedzmy sobie tylko, że będziemy w kontakcie, zgoda?

– Zgoda.

Miał nadzieję, że odnotowała zawód w jego głosie, rozczarowanie małego chłopca, któremu odmówiono spełnienia prośby.

Cmoknęli się jeszcze raz na pożegnanie, teraz już ustami o sztywniejszych wargach, i już jej nie było. W powietrzu pozostał jej zapach, a on głęboko go wdychał, szykując się do czekającego go dnia. Znalazł koszulę i spodnie nie przesiąknięte dymem papierosowym. Bez pośpiechu je nałożył, stojąc przed lustrem w łazience i przyglądając się sobie. Podeszwy jego stóp były wciąż jeszcze wilgotne, a on nucił pod nosem radosny hymn.

Czasami życie jest piękne. Czasami.

Jim Stevens wrzucił do ust kolejne trzy aspiryny i popił je sokiem pomarańczowym. To hańba dać się oglądać w barze w Leith ze szklanką soku owocowego w dłoni, jednak na myśl o wypiciu choćby małego gęstego, pieniącego się piwa robiło mu się niedobrze. Wypił na tej imprezie o wiele za dużo – za dużo, za szybko i za bardzo mieszając.

Leith starało się poprawić swoją dotychczasową reputację. Ktoś gdzieś zdecydował, że należy je trochę odkurzyć i odpicować. Dumne było teraz ze swych kafejek we francuskim stylu, winiarni, mieszkań dla bohemy i delikatesów spożywczych. Ale wciąż było to Leith, wciąż ta sama stara dzielnica portowa, w której dźwięczały echa rozkrzyczanej i tętniącej życiem przeszłości, kiedy to ze statków wyladowywano beki wina z Bordeaux i sprzedawano na galony na ulicy wprost z wozu konnego. Nawet jeśli nic innego nie miałyby się ostać ze starego Leith, to dzielnica ta na zawsze już zachowa mentalność portową i związaną z tym niezliczoną liczbę barów serwujących alkohol.

– Rany boskie – dał się słyszeć ryk za jego plecami – ten facet wszystko pije podwójnie, nawet sok owocowy!

Na plecach Stevensa wylądowało ogromne łapsko, dwukrotnie większe od jego własnej dłoni. Na stolek obok zwała się potężna ogorzała postać, jednak jej dłoń twardo pozostała na Stevensie.

– Cześć, Podeen – powiedział Stevens. Zaczynał się już pocić w dusznej atmosferze baru, a serce waliło mu jak młotem, co sygnalizowało zaawansowane stadium kaca; czuł woń alkoholu, który wydobywał się z niego wszystkimi porami.

– Boże święty, James, mój chłopcze, co ty tam siorbiesz? Barman, daj szybko whisky temu człowiekowi. Zmarnuj się nam na tym dzieciennym soczku!

Rycząc, Podeen uniósł dłoń z pleców reportera, jednak po to tylko, by z impetem wałnąć go nią ponownie. Stevens poczuł, jak w proteście drgają mu wnętrzności.

– Mogę ci dziś czymś służyć? – spytał Podeen już znacznie cichszym głosem.

Byk Podeen przez dwadzieścia lat był marynarzem i nosił na swym ciele blizny i różnego rodzaju pamiątki z tysiąca portów świata. Z czego Podeen żyje obecnie, Stevens nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Wiadomo było, że czasami zatrudnia się jako wykidajło w pubach na Lothian Road i w podejranych spelunach w Leith, ale w sensie zarobków mogło to stanowić jedynie wierzchołek góry lodowej. Paluchy Podeena były tak przeżarte brudem, jakby własnoręcznie wygrzebywał wszystkie brudne interesy z żywej zgnilizny edynburskiego czarnego rynku.

– Nie specjalnie, Byku. Tak sobie tylko siedzę.

– Podajcie śniadanie, dobra? Podwójne porcje wszystkiego, jak leci.

Niemal salutując, barman oddalił się, by przekazać zamówienie.

– Widzisz, nie ty jeden zamawiasz podwójnie, co nie, Jimmy?

Dłoń marynarza znów uniosła się z pleców Stevensa, który już skrzywił się, spodziewając się ciosu, jednak tym razem ręka Podeena spoczęła obok niego na barze. Stevens głośno odetchnął.

– Ciężki wieczór miałeś wczoraj, co?

– Niestety nie pamiętam.

Istotnie późnym wieczorem usnął w jednej z sypialni. Potem przyszła jakaś para, wyciągnęła go z łóżka i wrzuciła do wanny. Tam spał dalej przez kolejne dwie czy trzy godziny. Obudził się, czując straszliwą sztywność w karku, plecach i nogach. Wypił trochę kawy, ale za mało, w takich przypadkach zawsze jest za mało.

Potem wyszedł na zimne poranne powietrze, po drodze zatrzymał się w sklepiku z gazetami, by pogadać z taksówkarzami, a w dyżurce portiera w jednym z wielkich hoteli na Princes Street usiadł, by napić się gorącej słodkiej herbaty i pogadać o futbolu z sennym nocnym portierem. Wiedział jednak, że i tak skończy się na przyjsciu tutaj, bo był to jego wolny dzień i będzie chciał wrócić do swojego konika, do sprawy narkotykowej.

– Byku, dużo jest teraz towaru na rynku?

– No, to zależy, co cię interesuje, Jimmy. Mówi się, że zaczynasz trochę za bardzo wtykać nos w nie swoje sprawy. Najlepiej, gdybyś się ograniczył do łagodnych prochów. Od poważnego towaru trzymaj się z daleka.

– Czy to ma być jakieś ostrzeżenie, czy groźba, czy jak? – Stevens nie był w nastroju do wysłuchiwanie groźb, kiedy miał na głowie problem, jak się pozbyć porannego niedzielnego kaca.

– To jest ostrzeżenie przyjacielskie, ostrzeżenie od przyjaciela.

– A ten przyjaciel, to niby kto?

– Ja, ty głupi palancie. Nie bądź wiecznie taki podejrzliwy. Słuchaj, jest trochę marychy na rynku, ale to mniej więcej wszystko. Do Leith nikt już nie dostarcza poważnego towaru. To trafia na wybrzeże w Fife albo w okolice Dundee. To znaczy tam, skąd celnicy praktycznie się wynieśli. Taka jest prawda.

– Tyle to sam wiem, Byku, tyle to wiem. Ale tu też idą dostawy. Widziałem na własne oczy. Nie wiem, co to było. Nie wiem, czy to był poważny towar, czy nie. Ale wiem, że byłem świadkiem transakcji. Bardzo niedawno.

– Jak bardzo?

– Wczoraj.

– Gdzie?

– Calton Hill.

Podeen potrząsnął głową.

– To nie dotyczy nikogo ani niczego, o czym bym coś wiedział, Jimmy.

Stevens znał Byka Podeena, znał go aż za dobrze. Stanowił źródło dobrych informacji, ale tylko wtedy, gdy tym, którzy mu te informacje dawali, zależało, by coś do Stevensa trafiło. I dlatego za pośrednictwem Byka panowie od handlu heroiną gotowi byli dawać mu cynki o rynku konopi. Jeśli Stevens podejmie trop, istniała szansa, że handlarze haszyszu i marihuany zostaną schwytani. A to panom od heroiny zostawi wolne pole i niezaspokojony popyt. Plan był dobrze pomyślany, sprytna intryga i zakładana reakcja na nią. A stawki, o jakie szła gra, były wysokie. Ale Stevens też był sprytnym graczem. Wiedział, że istnieje niepisana umowa, iż do jego sieci nigdy nie trafiają prawdziwe grube ryby, bo to by oznaczało wzięcie na celownik znanych w mieście biznesmenów i biurokratów, utytułowanych właścicieli ziemskich i tych wszystkich właścicieli mercedesów z New Town.

A do tego nie można było oczywiście dopuścić. Rzucano mu więc ochłapy, wystarczające, by drukarnie miały co drukować, a ludzie, czytając, mogli się łapać za głowę na myśl, jakim to okropnym miejscem staje się Edynburg. Zawsze tylko trochę, ale nigdy do końca. I wszystko to Stevens rozumiał. Uczestniczył w tej grze od tak dawna, że czasami nachodziła go wątpliwość, po której tak naprawdę stronie się znajduje. A jednak nie to było najważniejsze.

– Nic o tym nie wiesz?

– Nic a nic, Jimmy. Ale powęszę trochę w koło. Zobaczę, co jest grane. Ale posłuchaj, koło Mackaya otworzyli niedawno nowy bar. Wiesz, o którym mówię?

Stevens skinął głową.

– No więc – ciągnął Podeen – od przodu to jest bar, ale od tyłu – burdel. Jeśli cię to interesuje, to jest tam taka jedna fajna barmanką która popołudniami obsługuje klientów.

Stevens uśmiechnął się. A więc pojawił się ktoś nowy, a starym, czyli prawdziwym pracodawcom Podeena, to się nie spodobało. Więc teraz jemu, Stevensowi, daje się cynk, żeby zechciał się zająć tym nowym. Na pewno można by z tego zrobić tytuł na pierwszą stronę i jednodniową sensację.

Tylko dlaczego po prostu nie zadzwonią anonimowo na policję? Pomyślał, że teraz chyba już zna odpowiedź na to pytanie, choć niegdyś go to dręczyło: grają w tę grę według starodawnych zasad, które wykluczają donosicielstwo i współpracę z wrogiem. Jemu zostawiano więc do odegrania rolę posłańca, ale takiego, któremu przy okazji daje się do ręki władzę. Wprawdzie niewielką, ale i tak większą niż ta, na którą mógłby liczyć, chodząc wyłącznie prostymi drogami.

– Dzięki, Byku. Będę o tym pamiętał.

W tym momencie przyniesiono Bykowi jedzenie: wielką stertę podsmażonego i ociekającego tłuszczem boczką, dwa lekko ścięte jajka z niemal przezroczystym białkiem, pieczarki z patelni, grzankę i fasolkę w sosie pomidorowym. Stevens odwrócił wzrok i z nagłym zainteresowaniem skupił wzrok na podstawce pod piwo, wciąż jeszcze wilgotnej po sobotnim wieczorze.

– Przejdę do stolika z tym żarciem, dobrze, Jimmy?

Stevens nie wierzył we własne szczęście.

– Jasne, oczywiście, Byku, w porządku.

– No to zdrówko.

Stevens został przy barze sam z wonią jedzenia zawisłą w powietrzu. Stwierdził, że barman stoi przed nim i wyciąga połyskującą tłuszczem dłoń.

– Dwa funty sześćdziesiąt – powiedział.

Stevens westchnął. Zapisz to w koszty zbierania doświadczeń, pomyślał, albo w koszty kaca. Ale impreza była tego warta, bo poznał Johna Rebusa. A ten okazał się zaprzyjaźniony z Gill Templer. Wszystko to razem zaczynało

się zbytnio gmatwać. Ale i fascynować. Rebus to z całą pewnością ciekawa postać, choć fizycznie zupełnie do brata niepodobna. Wygląda na uczciwego faceta, ale jak z zewnątrz rozpoznać przekupionego glinę? U takiego to przecież wewnątrz jest zgniłe. A więc Rebus spotyka się z Gill Templer. Przypomniał sobie ten wieczór spędzony kiedyś z nią i wzdrygnął się. Wtedy na pewno osiągnął dno.

Zapalił papierosa, dziś dopiero drugiego. Głowę miał wciąż jeszcze ciężką, ale żołądek trochę się uspokoił. Być może uda mu się nawet coś zjeść. Rebus wygląda na twardziela, ale nie na takiego, jakim był dziesięć lat temu. W tej chwili pewnie leży w łóżku z Gill Templer. Skurwiel. Szczęśliwy skurwiel. W żołądku poczuł dźgnięcie zimnej zazdrości. Papieros już mu zaczął smakować. Sączył w niego na powrót chęć do życia i siłę, przynajmniej tak mu się zdawało. Ale wiedział też, że jednocześnie go rujnuje, że mu drze wnętrze na czarne, osmolone strzępy. Do diabła z tym. Palił, bo bez papierosów nie potrafił myśleć. A teraz musiał właśnie pomyśleć.

– Hej, podaj dubla, co?

Barman zbliżył się.

– Znaczy jeszcze jeden sok pomarańczowy?

Stevens spojrzął na niego z niedowierzaniem.

– Nie wygłupiaj się – powiedział – whisky, szkocką kuropatwę [The Famous Grouse – dosłownie: Słynna Szkocka Kuropatwa, znana marka szkockiej whisky.], jeśli ta etykieta na butelce nie kłamie.

– My się tu w takie rzeczy nie bawimy.

– Cieszę się.

Wypił whisky i od razu poczuł się lepiej. Ale potem znów zaczęło go wiercić. Poszedł do toalety, ale z uwagi na panujący w niej smród zrobiło mu się jeszcze gorzej. Nachylił się nad umywalką i głośno, choć bezskutecznie charcząc, wydobyl z siebie kilka śluzowatych baniek. Trzeba skończyć z tym picciem. I trzeba skończyć z tymi papierochami. Jedno i drugie go zabija, tyle że jednocześnie jedno i drugie utrzymuje go przy życiu.

Do stolika Byka Podeena podszedł zlany potem, czując się dużo starszej niż na swoje lata.

– To było niezłe śniadanko, całkiem niezłe – powiedział wielkolud, a jego oczy błyszcząły jak u dziecka.

Stevens usiadł obok niego.

– No to powiedz mi teraz, co wiesz o przekręconych glinach? – zapytał.

– Cześć, tatusiu.

Miała jedenaście lat, ale wyglądała, mówiła i uśmiechała się jak ktoś dużo starszy: tak gdzieś między jedenaście a dwadzieścia jeden. Taki wpływ na jego córkę miało mieszkanie z Rhoną. Cmoknął ją w policzek i przypomniał sobie pożegnalne cmoknięcie Gill. Pachniało od niej perfumami, a jej oczy wyglądały na lekko podmalowane.

Mógłby Rhonę za to zabić.

– Cześć, Sammy – odpowiedział.

– Mama mówi, że jak teraz tak szybko dorastam, to powinno się do mnie mówić Samantha, ale ty chyba możesz mówić Sammy.

– No cóż, Samantho, mama wie najlepiej.

Rzucił spojrzenie za oddalającą się sylwetką żony i pomyślał, że te różne spłaszczenia, krągłości i wypuklenia jej ciała można było uzyskać jedynie dzięki zastosowaniu jakiegoś supergorsetu. Z ulgą stwierdził, że nie jest w aż tak dobrej formie, jakby to mogło wynikać z jej wypowiedzi podczas ich nieczęstych rozmów telefonicznych. Wsiadła do samochodu, ani razu się nie oglądając. Był to niewielki, ale drogi model i po jednej stronie miał dość znaczne wgniecenie. Rebusa bardzo ono uradowało.

Pamiętał, że kiedy się kochali, lubiła podziwiać swoje ciało i wychwalać miękką, aksamitną skórę – nazywała ją „wykładziną” – na swych udach i plecach. Dziś popatrzyła na niego zimnymi, niemal niewidzącymi oczami, i dojrzała w jego oczach wyraz seksualnego spełnienia. Zaraz potem odwróciła się na pięcie. Więc to prawda: nadal potrafiła zajrzeć wprost do jego serca. Tyle, że nigdy nie potrafiła zajrzeć mu do duszy. Ta część jego osobowości zawsze pozostawała dla niej całkowicie obca.

– No to, na co masz ochotę?

Stali u wejścia do Princes Street Gardens, w rejonie wielu znanych atrakcji turystycznych Edynburga. Trochę ludzi kręciło się w pobliżu zamkniętych w niedzielę sklepów na Princes Street, inni siedzieli na parkowych ławkach, karmiąc okruszkami gołębie i wiewiórki, jeszcze inni oddawali się czytaniu opasłych niedzielnych wydań gazet. Nad wszystkimi wznosiła się bryła zamku, na którego szczycie łopotała flaga szarpana typową, aż za dobrze znaną wszystkim rzeźką bryzą. Gotycka strzała pomnika Scotta [Gotycka budowla wysokości 60 metrów ukończona w 1846 roku, u stóp której znajduje się pomnik Sir Waltera Scotta, najslynniejszego szkockiego poety i pisarza XIX wieku.] wskazywała wiernym właściwy kierunek, ale wśród turystów fotografujących pomnik kosztownymi japońskimi aparatami niewielu zdawało się interesować jego symbolicznym znaczeniem lub jego fizyczną postacią. Ważne by mieć fotkę, którą będzie można zawieźć do domu i pokazywać znajomym. Turyści tak wiele czasu poświęcają na robienie zdjęć, że nie wystarcza go im już na oglądanie czegokolwiek. Odwrotnie niż młodzi, którzy zbyt są zajęci radością przeżywania, by tracić czas na sztuczne utrwalanie obrazów.

– No to, na co masz ochotę?

Turystyczna wersja jego metropolii. Turystów nigdy nie interesowały osiedla mieszkaniowe otaczające centralną część miasta. Nigdy nie zapuszczali się do Pilton, do Niddrie czy do Oxfords, by aresztować tam kogoś w bloku z zasiekami klatką schodową; nie obchodzili ich również narkomani i dealerzy narkotyków kręcący się po Leith; obojętna im była powszechna korupcja wśród miejskiej elity i drobne kradzieże popełniane przez ludzi tak dalece otumanionych materialistyczną filozofią życia, że kradzież wydawała im się jedynym sposobem na zdobycie tego, co uważali za niezbędne. I niemal na pewno nie zdawali sobie sprawy (bo w końcu nie po to przyjechali, by czytać lokalne gazety lub oglądać lokalną telewizję) z istnienia najnowszej gwiazdy medialnej: mordercy dzieci, którego policja nie może schwytować – mordercy, który wciągnął do obłądnego tańca siły prawa i porządku, nie zostawiając im żadnej poszlaki czy motywów swego postępowania i nie dając cienia szansy na schwytanie go, chyba że sam się potknie. I dlatego współczuł Gill jej zadania. I współczuł sam sobie. I współczuł całemu miastu, łącznie z jego oszustami i bandziorami, dziwkami i hazardzistami, życiowymi pechowcami i szczęściarzami.

– No to, na co masz ochotę?

Jego córka wzruszyła ramionami.

– Bo ja wiem? Może połażyć? Albo pójść na pizzę? Albo do kina?

Poszli połażyć.

John Rebus poznał Rhonę Phillips tuż po wstąpieniu do policji. Niedługo przedtem przeżył nerwowe załamanie („John, a dlaczego odszedłeś z wojska?”) i przechodził rekonwalescencję w rybackiej wiosce na wybrzeżu w Fife,

choć nie przyznał się wtedy bratu, że przebywa w sąsiedztwie.

Podczas pierwszego urlopu, na jaki udał się od rozpoczęcia pracy w policji – pierwszego od wielu lat prawdziwego urlopu, wszystkie poprzednie bowiem poświęcone były na szkolenia lub przygotowania do egzaminów – Rebus wrócił do tej samej rybackiej wioski i tam poznał Rhonę. Była nauczycielką w miejscowej szkole i miała już za sobą jedno dramatycznie krótkie i nieszczęśliwe małżeństwo. W Johnie Rebusie dostrzegła materiał na silnego i troskliwego męża, takiego, który nie umknie w trakcie bójki, ale też takiego, którym będzie mogła się zaopiekować, albowiem pod jego zewnętrzną twardością dostrzegła wewnętrzną kruchość. Widziała, że wciąż prześladowają go wspomnienia lat spędzonych w wojsku, zwłaszcza w „służbach specjalnych”. Niekiedy budził się z krzykiem pośrodku nocy, a czasami zaczynał płakać, kiedy się kochali, płakać bezgłośnie tak, że jego wielkie łzy zraszały jej piersi. Nie chciał o tym mówić, a ona go do tego nie zmuszała. Wiedziała jedynie, że w okresie rekruckim stracił przyjaciela i to przemawiało do tkwiącego w niej dziecka i budziło uczucia macierzyńskie. Wyglądał na idealnego kandydata. Może wręcz zbyt idealnego.

Ale to nieprawda. Nie powinien się w ogóle żenić. Niemniej z początku ich życie układało się dość szczęśliwie i do chwili urodzenia Samantha Rhona była nauczycielką angielskiego w Edynburgu. Potem jednak drobne sprzeczki i walka o prymat stopniowo przekształciły się w okresy zapiekłej i niepohamowanej niechęci i podejrzliwości. Czy ona spotyka się z innym mężczyzną, nauczycielem z jej szkoły? Czy on ma jakąś inną kobietę, że tak ciągle znika z domu na te dodatkowe służby? Czy ona zażywa narkotyki, a on o tym nic nie wie? Czy on bierze łąpówki, a ona o tym nic nie wie? W rzeczywistości odpowiedź na wszystkie te pytania brzmiała „nie”, tyle że tak naprawdę nie o to chyba chodziło. W istocie chodziło o coś znacznie poważniejszego, jednak żadne z nich nie zdało sobie w porę sprawy z nieuchronności wydarzeń, więc próbowali co jakiś czas przytulić się do siebie i znów sobie wzajemnie wybaczyć, jakby byli bohaterami jakiejś bajki z morałem albo grali w cikliwej operze mydlanej. Bo przecież oboje byli zgodni, że powinni przede wszystkim myśleć o szczęściu dziecka.

A dziecko, czyli Samantha, przeistaczało się teraz w młodą kobietę i Rebus zauważył, że od czasu do czasu rzuca na nią ukradkiem spojrzenia pełne uznania (co budziło w nim poczucie winy, a co go jednak nie powstrzymywało) i przypatruje się jej podczas spaceru po parku, wokół zamku i w drodze do kina ABC na Lothian Road. Nie była piękna, bo piękna może być tylko dojrzała kobieta, ale z niezłomną pewnością siebie wyraźnie do tego zmierzała, i to już go zatykało i w dostatecznym stopniu przerażało. W końcu był jej ojcem. Przecież to musi budzić jakieś uczucia. To naturalne.

– Mam ci opowiedzieć o nowym chłopaku mamy?

– Dobrze wiesz, że tak.

Zachichotała po dziewczęcemu – więc jednak coś z dziecka w niej jeszcze zostało – choć nawet ten chichot brzmiał już jakoś inaczej, wydawał się bardziej opanowany i bardziej kobiecy.

– Podobno jest poetą, ale żadnej książki jeszcze nie napisał, ani nic takiego. Jego wiersze i tak są do kitu, ale mama nie chce mu tego powiedzieć. Ona uważa, że jego zalety leżą gdzie indziej.

Czy ta jej „dorosła” gadanina była po to, by zrobić na nim wrażenie? Pomyślał, że pewnie tak.

– A ile on ma lat? – spytał Rebus i aż się skrzywił na myśl o swojej próżności przezierającej z tego pytania.

– Nie wiem. Może ze dwadzieścia.

Zapomniał o próżności i poczuł wściekłość. Dwadzieścia! To teraz już zaczęła niańczyć dzieci. Mój Boże. Jak to wszystko musi się odbijać na Sammy? Na Samancie, której się zdaje, że jest już dorosła. Aż się bał pomyśleć, przecież nie zna się na psychoanalizie. To specjalność Rhony, w każdym razie kiedyś była.

– Mówię ci, tato, on jest okropnym poetą. To już ja piszę w szkole lepsze wypracowania, niż on te swoje poezje. Po wakacjach idę do gimnazjum. Będzie śmiesznie chodzić do tej samej szkoły, w której uczy mama.

– Tak, to prawda. – Rebusa zaczęło nękać okropne przecucie. Poeta, dwadzieścia lat. – A jak się ten chłopak nazywa? – zapytał.

– Andrew – odpowiedziała. – Andrew Anderson. Śmiesznie brzmi, nie? On jest nawet dość miły, tylko trochę dziwny.

Rebus zaklął pod nosem. Syn Andersona. Więc wędrowny poeta, syn tego okropnego Andersona, rżnie jego żonę. Co za ironia losu! Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Śmiech wydał mu się odrobinę bardziej na miejscu.

– Z czego się śmiejesz, tatusiu?

– Nic takiego, Samantho. Po prostu ze szczęścia, nic więcej. O czym to mówiłaś?

– Mówiłam, że mama poznała go w bibliotece. Często tam chodzimy. Mama lubi literackie książki, ale ja wolę

te o miłości i przygodowe. Nigdy nie mogę zrozumieć książek, które czyta mama. Czy ty też czytałaś takie książki jak ona, kiedy byliście... zanim ty...?

– Tak, tak, czytaliśmy razem. Tyle, że ja też ich nigdy nie rozumiałem, więc się nie przejmuj. Cieszę się, że dużo czytasz. A co to za biblioteka?

– Bardzo wielka, ale zbiera się tam mnóstwo włóczków, żeby sobie pospać i jak najdłużej posiedzieć. Biorą jakąś książkę, siadają i od razu usypiają. I strasznie śmierzdzą.

– Nie musisz obok nich siadać, prawda? Najlepiej zostawić ich w spokoju.

– Tak, tatusiu – powiedziała to tonem lekkiego wyrzutu, jakby ostrzegając, że nie potrzebuje od niego żadnych ojcowskich rad.

– To jak, masz ochotę na kino?

Ale kino było zamknięte, poszli więc do lodziarni na Tollcross. Rebus patrzył, jak Samantha nabiera sobie pięć różnych smaków z lady Knickerbocker Glory. Była jeszcze wciąż w szczenięcym wieku, kiedy można jeść, co się chce, i nie przybierać ani grama na wadze. Rebus miał bolesną świadomość, że w rezultacie wieloletniego nie kontrolowanego dogadzania swemu żołądkowi mocno przytył. Sączył więc teraz cappuccino (bez cukru) i spode łba obserwował, jak grupa wyrostków przy sąsiednim stoliku przygląda się jego córce i jemu, coś między sobą szepcząc i chichocząc. Odgarnęli do tyłu czupryny i z takim przejęciem palili, jakby wciągali w płuca samo życie. Gdyby Sammy tu nie było, to by ich pewnie aresztował za umyślne uszkodzenie zdrowia.

A poza tym zazdrościł im, że mogą palić. Nie palił w obecności Sammy: nie lubiła, jak pali. Podobnie jak jej matka, która kiedyś dawno, bardzo dawno temu wrzeszczała na niego, żeby przestał palić, i chowała mu papierosy i zapalniczkę. Zrobił sobie wtedy w całym mieszkaniu sieć schowków na papierosy i zapałki. Palił na przekór i zwycięsko śmiejąc się, wchodził do pokoju z kolejnym żarzącym się papierosem w ustach, a wtedy Rhona wrzeszczała, żeby zgasił to świństwo i goniła Rebusa wokół mebli, machając rękami i próbując mu wytrącić papierosa z ust.

To były szczęśliwe czasy, czasy kłótni przesyconych miłością.

– Co w szkole?

– W porządku. Ty się zajmujesz tymi morderstwami?

– Tak. – Boże, on sam byłby teraz zdolny zamordować za papierosa, rozszarpać tego palącego smarkacza.

– Złapiecie go?

– Tak.

– Tatusiu, a co on robi tym dziewczynom? – Starła się, by jej wzrok wbity w niemal już pustą miseczkę po lodach zachował obojętny wyraz.

– Nic im nie robi.

– Tylko je morduje?

Wargi miała pobladłe i nagle znów była jego dzieckiem, córeczką szukającą u niego opieki. Rebus miał ochotę ją objąć, przytulić i zapewnić, że wielki zły świat jest tam, nie tutaj, że tu jest bezpieczna. Zamiast tego powiedział:

– Tylko.

– To cieszę się, że tylko.

Chłopcy pogwizdywali teraz, próbując przyciągnąć jej uwagę. Rebus poczuł jak mu się twarz czerwieni. Kiedy indziej, każdego innego dnia poza dzisiejszym, podszedłby do nich i dał ich beczelnym gębom poczuć, co to znaczy prawo. Ale nie był na służbie. Spędzał miłe popołudnie z córką, będącą ubocznym rezultatem jednego orgazmu, w wyniku którego jakimś ruchliwemu plemnikowi udało się wysforować w całym tym śluzie i przepłynąć drogę do mety. Niewątpliwie w tym momencie Rhona sięgała już po książkę, po tę jej literaturę, po uprzednim odsunięciu od siebie bez jednego słowa zwiotczałego ciała kochanka. Czy przez cały czas myślała o tych swoich książkach? Być może. A on, porzucony kochanek, ogarnięty uczuciem pustki i przygnębienia czuł się nagle niepotrzebny, jakby nie nastąpiło między nimi żadne porozumienie. To było jej zwycięstwo.

A potem nagle pocałunkowi towarzyszył jego krzyk. Krzyk tęsknoty i samotności.

Wypuście mnie. Wypuście mnie...

– Chodźmy już stąd.

– Dobrze.

I kiedy przechodzili obok stolika chłopaków, wciąż popisujących się i robiących małpie miny z trudem maskujące żądzę w ich oczach, Samantha uśmiechnęła się do któregoś z nich. Ona się do nich uśmiecha!

Rebus zaczerpnął głęboko świeżego powietrza i pomyślał, że jego świat do tego wszystkiego nie pasuje. Być

może jego wiara w odmienną rzeczywistość bierze się stąd, że jego codzienne życie obraca się wokół takich strasznych i bolesnych spraw. Bo jeśli tylko na tym ma to wszystko polegać, to życie jest najżałośniejszym wynalazkiem wszech czasów. Mógłby zabić tych chłopaków i zamknąć swoją córkę, byle by ją ochronić przed tym, do czego ją ciągnie – i co kiedyś niewątpliwie osiągnie. Zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma jej nic do powiedzenia, ci chłopcy zaś tak; że poza więzami krwi nic go z nią nie łączy. Niebo było ciężkie jak w wagnerowskiej operze i ciemne jak dusza mordercy, a świat Johna Rebusa groził runięciem w gruzy.

– Już czas – powiedziała, idąc obok niego, a jednocześnie o ileż od niego silniejsza i bardziej pełna życia. – Już czas.

Rzeczywiście miała rację.

– Lepiej się pospieszmy – odparł Rebus. – Chyba będzie padać.

Czuł zmęczenie i przypomniał sobie, że przecież w ogóle nie spał, że przez całą krótką noc fizycznie się eksploatował. Wrócił do domu taksówką – do diabła z oszczędnościami – i wspiął się po kręconej klatce schodowej do swych drzwi. Smród po kotach był obezwładniający. W szparę drzwi do jego mieszkania wetknięta była koperta bez stempla i bez znaczka. Głośno zaklął.

Ten bydlak jest wszędzie, wszędzie, tyle że niewidzialny. Rozerwał kopertę i przeczytał.

NIC Z TEGO NIE WYNIKA. NIC A NIC.

PRAWDA? PODPISANO

Ale list nie był podpisany, w każdym razie brak było na nim odręcznego podpisu. Tyle że w kopercie, jak czyjaś zabaweczka, znajdował się kawałek zawiązanego na supeł szpagatu.

– Dlaczego pan mi to robi, panie Supeł? – powiedział Rebus głośno, biorąc szpagat w palce. – I o co panu chodzi?

W mieszkaniu było zimno jak w psiarni: piec centralnego ogrzewania znów zgasł.

Część trzecia

SUPEŁ

Przeczuwając, że Dusiciel z Edynburga nie rozplynie się zniecka we mgle nocnej, media złapały byka za rogi i w pełni się zaangażowały. Członkowie ekip telewizyjnych zajęli większość najlepszych pokoi hotelowych w mieście, co miasto powitało z zadowoleniem, jako że sezon turystyczny jeszcze się na dobre nie rozkręcił.

Tom Jameson nie ustępował w tym innym wydawcom i do obsługi śledztwa oddelegował aż czterech reporterów. Nie mógł jednak nie zauważyć, że Jim Stevens nie jest w najlepszej formie. Wydawał się mało zaangażowany w całą sprawę – co u dziennikarza nigdy nie jest dobrym symptomem. Jamesona to zaniepokoiło. Stevens był jego najlepszym reporterem, był znakiem firmowym gazety. Trzeba będzie wkrótce z nim porozmawiać.

W miarę rozwoju śledztwa i coraz większego zainteresowania mediów kontakty Johna Rebusa z Gill Templer ograniczały się do rozmów telefonicznych i przypadkowych spotkań w komendzie lub jej pobliżu. Rebus niemal nie zaglądał do swojego starego biura. Sam stał się niejako ofiarą śledztwa w sprawie Dusiciela, dostał bowiem polecenie służbowe, by absolutnie wszystko inne odłożyć na bok. O wszystkim innym mógł więc tylko myśleć: o Gill, o anonimach, o tym, czy jego samochód przejdzie pomyślnie obowiązkowe badanie techniczne. I przez cały czas spode łba obserwował Andersena, ojca kochanka Rhony, obserwował, jak ten rozpaczliwie miota się, poszukując jakiegoś motywu, jakiegoś punktu zaczepienia, czegokolwiek. Sprawiało mu to niemal przyjemność.

Jeśli chodzi o anonimy, Rebus praktycznie wykluczył z kręgu podejrzanych żonę i córkę. Małeńka plamka na ostatnim liście pana Supła została przebadana w laboratorium kryminalistycznym (kosztowało go to jedno duże piwo) i okazała się być śladem krwi. Może nadawca skaleczył się w palec przy odcinaniu kawałka szpagatu? Kolejna drobna zagadka. Całe życie Rebusa pełne było przeróżnych zagadek, a jedną z bardziej irytujących było to, gdzie się podziewa dziesięć papierosów jego dziennej normy. Późnym popołudniem brał paczkę do ręki, przeliczał zawartość i wychodziło mu, że wypalił już całodzienną rację dziesięciu papierosów. A to był absurd. Z trudem przypominał sobie wypalenie choćby jednego z dziesięciu, nie mówiąc już o całej dziesiątce. Przeliczenie niedopałków w popielniczce dostarczało empirycznego dowodu, przed którym musiały ustąpić wszelkie jego protesty, ale i tak było to cholernie dziwne. Zupełnie, jakby fragmenty jego życia wyłączone były ze świadomości.

Jego tymczasowym miejscem pracy była teraz sala operacyjna w komendzie, podczas gdy biedny Jack wciąż jeszcze krążył od domu do domu. Ze swego dogodnego punktu obserwacyjnego widział jak Anderson się szamoce. Nic dziwnego, że syn takiego faceta też nie błyszczy inteligencją. Do obowiązków Rebusa należało również odbieranie niezliczonych telefonów – począwszy od tych, którzy chcieli tylko okazać pomoc, aż po walniętych szaleńców, którzy przez telefon przyznawali się do winy – jak i prowadzenie o przeróżnych porach dnia i nocy przesłuchań podejrzanych. Były tego setki, a wszystko należało spisać i posegregować według jakiegoś klucza ważności. Było to zadanie szalenie czasochłonne, ponieważ istniała jednak możliwość, że z którejs z tych rozmów wyłoni się jakiś trop, Rebus nie pozwalał sobie na jakąkolwiek fuszerkę.

W zatłoczonym dusznym bufecie zapalił papierosa numer jedenaście, okłamując się, że pożyczka go z jutrzejszej racji, i zabrał się do czytania dzisiejszej gazety. Panowie reporterzy najwyraźniej wyczerpali już standardowe słownictwo i poszukiwali teraz nowych, szokujących przymiotników. Odrażające, szalone, brutalne zbrodnie Dusiciela. Rozbestwiony, zdemoralizowany, seksualnie zboczony zbrodniarz. (Nikomnie nie przeszkadzało, że morderca nie molestował swych ofiar seksualnie). Fetyszysta szkolnych fartuszków! „Co robi nasza policja? Technika całego świata nie zastąpi poczucia bezpieczeństwa, jakie dają nam nasi stójkowi patrolujący ulice. ONI SĄ NAM POTRZEBNI JUŻ”. To opinia Jamesa Stevensa, naszego reportera do spraw kryminalnych. Rebus pamiętał tego przysadzistego, urzędnego faceta na imprezie. Zapamiętał też wyraz jego twarzy na dźwięk nazwiska Rebus. Dziwne zachowanie. Wszystko w tej sprawie było cholernie dziwne. Rebus odłożył gazetę. Ci reporterzy! W myślach raz jeszcze życzył Gill pomyślności w pracy. Przyjrzał się rozmazanemu zdjęciu na pierwszej stronie tabloidu. Przedstawiało dziewczynkę z krótko obciętymi włosami i niezbyt bystrą buzią. Nerwowo się uśmiechała, jakby zdjęcie ją zaskoczyło. Między przednimi zębami widać było sympatyczną szparkę. Biedna Nicola Turner, lat dwanaście, uczennica jednej ze szkół w południowej części miasta. Nic jej nie łączyło z poprzednimi ofiarami. Nie było żadnych widocznych gołym okiem powiązań, a dodatkowo morderca przeniósł się o rok wyżej i tym razem wybrał ofiarę z gimnazjum. A więc nawet w wyborze grup wiekowych nie zanosilo się na jakąś regularność. Przypadkowość jego działań wydawała się być całkowita. Andersena doprowadzało to do szału.

Tyle że Anderson nigdy by się oczywiście nie zdobył na przyznanie, że zabójca związał jego ukochaną policję

w supeł. Związał ją w ciasny węzeł. Przecież gdzieś muszą być jakieś ślady. Po prostu muszą. Rebus popijał kawę i czuł jak mu w głowie wiruje. Poczł się jak detektyw z taniego kryminału i zamarzył, by mógł zajrzeć na ostatnią stronę i skończyć z tym całym zamieszaniem, ze śmiercią, z całym tym szaleństwem i z zawrotami głowy.

Po powrocie do sali operacyjnej zebrał zapiski z wszystkich telefonów, jakie odebrano podczas jego przerwy. Telefonistki pracowały bez chwili wytchnienia, stojący zaś obok nich teleks niemal bez przerwy drukował kolejne doniesienia zawierające informacje, które ktoś gdzieś na jakimś posterunku policji w innym zakątku kraju uznał za istotne dla śledztwa.

Anderson przebił się przez to całe zamieszanie jak przez gęstą mgłę.

– Potrzebny nam samochód, Rebus. Jego samochód. Chcę w ciągu godziny mieć na swoim biurku zestawienie wszystkich doniesień o mężczyznach jadących w towarzystwie dzieci. Chcę mieć samochód tego sukinsyna.

– Tak jest, panie inspektorze.

I już go nie było, już odpłynął w oparach tak gęstych, że każdy normalny człowiek by się w nich zagubił. Każdy z wyjątkiem „niezniszczalnego Andersona”, którego żadne niebezpieczeństwo się nie ima. Jest przez to naprawdę upierdliwy, pomyślał Rebus, grzebiąc na biurku w stertach papierów, które teoretycznie były ułożone w jakimś porządku.

Samochody. Anderson życzy sobie samochodów, więc samochody dostanie. Dzwoniący przysięgali na Biblię, że widzieli mężczyznę w niebieskim escorcie, białym capri, fioletowym mini, żółtym bmw i srebrnym TR7, w przerobionej karetkce, w furgonetce z lodami (w tym przypadku dzwoniący mówił z włoskim akcentem i chciał pozostać anonimowy) i w wielkim rolls-roycie z personalnymi tablicami rejestracyjnymi. Dobrze, więc wrzucmy je wszystkie do komputera i niech komputer sprawdzi wszystkie niebieskie escorty, białe capri i rolls-royce'y w całej Wielkiej Brytanii. I jak już będziemy mieć te informacje w zasięgu ręki, to... to co dalej? Znowu krążenie od domu do domu? Znowu spisywanie protokołów i rozmów telefonicznych? Kolejne przesłuchania i znów zawracanie głowy? Ale nieważne, Anderson poradzi sobie z tym wszystkim, nieustraszony myśliwy brnący przez dżunglę swego osobistego świata, aż w końcu dotrze do czystego, słonecznego i nieskalanego brzegu, zupełnie jak w reklamie proszku do prania. Potrójne hurra!

Hip hip!

Rebus już w wojsku znienawidził całą tę grę pozorów, a dużo tego wtedy było. Ale kiedy go w końcu dopuścili do prawdziwej służby, okazał się dobrym żołnierzem, nawet bardzo dobrym. Tylko że wtedy, opętany szaleńczym pomysłem, wystąpił o wcielenie go do SAS i od tego momentu skończyły się pozory, a zaczęło prawdziwe piekło. Kazali mu od dworca kolejowego do obozu biec za jeepem, w którym jechał jego sierżant. Torturowali go dwudziestogodzinnymi marszami i ćwiczeniami prowadzonymi przez brutalnych instruktorów, niczego mu nie oszczędzono. A kiedy Gordon Reeve i on zdobyli wreszcie stopień podoficerski, SAS zorganizowało im jeszcze jedną próbę i posunęło się w tym o krok za daleko. Uwięziono ich, przesłuchiowano, głodzono, truto, a wszystko po to, by wydobyć z nich strzępy bezwartościowej informacji, kilka słów dowodzących, że udało się ich złamać. Dwie nagie, drżące z zimna istoty z workami na głowach, tulące się do siebie z zimna.

– Chcę mieć to zestawienie w ciągu godziny, Rebus – zawołał Anderson, znów przepływając obok.

Dostanie to swoje zestawienie.

Dostanie ten funt ochłapów.

Jack Morton wrócił z obolałymi nogami i w niezbyt pogodnym nastroju. Przywłókł się do biurka Rebusa z plikiem papierów pod pachą i papierosem w dłoni.

– Popatrz tylko na to – powiedział, unosząc nogę. Nogawkę spodni miał rozdartą na długości co najmniej trzydziestu centymetrów.

– A tobie co się stało?

– A jak myślisz? Cholerny owczarek mnie dopadł, to mi się stało. I myślisz, że coś z tego mam? Akurat.

– Możesz wystąpić o odszkodowanie.

– I po co? Wyjdę tylko na durnia.

Morton przyciągnął sobie krzesło do biurka.

– Nad czym siedzisz? – spytał, usadawiając się na krześle z wyraźną ulgą.

– Nad samochodami. Nad całą masą samochodów.

– Masz ochotę później na drinka?

Rebus popatrzył na zegarek i zastanowił się.

- Niewykluczone, Jack. Chodzi o to, że liczę dziś wieczorem na randkę.
- Z oślniewającą panią inspektor Templer?
- A ty skąd o tym wiesz? – Rebus wyglądał na szczerze zaskoczonego.
- Daj spokój, John. Takich rzeczy nie da się utrzymać w tajemnicy. W każdym razie nie w środowisku policjantów. Lepiej uważaj. Znasz regulamin.
- Tak, wiem. Czy Anderson też o tym wie?
- A mówił ci coś?
- Nie.
- To znaczy, że nie może nic wiedzieć, nie?
- Byłby z ciebie dobry detektyw, synku. Policja potrzebuje takich jak ty.
- Myślisz że nie wiem, tatuśku.

Rebus zajął się zapalaniem papierosa numer dwanaście. To rzeczywiście była prawda. W komisariacie policji nie dawało się niczego utrzymać w tajemnicy, w każdym razie nie przed niższymi szarżami. Miał jednak nadzieję, że wiadomość nie dotrze ani do Andersona, ani do Starego.

- Coś dało to łażenie po domach? – zapytał.
- A jak myślisz?
- Morton, macie irytujący zwyczaj odpowiadania pytaniem na pytanie.
- Czyżby? Pewnie wynika to z tej mojej roboty, z łażenia i zadawania cały czas pytań, nie sądzisz?

Rebus przyjrzał się palonemu papierosowi i doszedł do wniosku, że to już jest numer trzynastcie. To zaczynało być śmieszne. A co się stało z numerem dwanaście?

- Powiem ci szczerze, John. Nie ma szans, żeby coś z tego wynikło, choćby cień jakiegoś tropu. Nikt niczego nie widział, nikt nic nie wie. Niemal jakby się wszyscy umówili.
- A może tak jest, może się umówili.

- Czy zostało potwierdzone, że wszystkie trzy morderstwa są dziełem tego samego człowieka?
- Tak jest.

Komisarz nie miał zwyczaju szastać słowami, szczególnie w obliczu prasy. Siedział za stołem z rękami złożonymi nieruchomo jak posąg, mając po swej prawej stronie Gill Templer. Jej okulary – będące właściwie kaprysem, bo wzrok miała niemal idealny – znajdowały się w torebce. Nigdy nie używała ich na służbie, chyba że konkretna sytuacja tego wymagała. A dlaczego założyła je na to party? Po trosze stanowiły dla niej ozdobę, jak biżuteria. Poza tym lubiła obserwować różne reakcje ludzi na nią w okularach i bez. Gdy tak to tłumaczyła swoim przyjaciołom, patrzyli na nią z ukosa, jakby stroiła sobie z nich żarty. Może wszystkiemu winna była jej pierwsza wielka miłość, chłopak który kiedyś jej powiedział, iż z jego doświadczeń wynika, że dziewczyny noszące okulary najlepiej się pierdolą. Od tego czasu minęło już piętnaście lat, ale ciągle miała jeszcze przed oczami jego wyraz twarzy, jego uśmiech, lśnienie jego oczu. Pamiętała również swoją reakcję – zaskoczenie słowem „pierdolą” w jego ustach. Teraz mogłaby się tylko pobłażliwie uśmiechnąć. Dziś zdarzało jej się kłąć równie soczyście jak jej koledzy i też obserwować ich reakcję. Dla Gill Templer wszystko było grą, wszystko z wyjątkiem pracy. Funkcji inspektora nie zawdzięczała szczęściu czy pięknym oczom, ale wytężonej, efektywnej pracy i ambicji wspinania się po kolejnych szczeblach, jak wysoko się da. A teraz towarzyszyła komisarzowi, który właściwie był tylko ozdobą dla tych spotkań. To Gill szykowała materiały prasowe do rozdania, to ona przygotowywała komisarza do konferencji, dostarczając mu dane, które on później przekazywał mediom, i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Osoba komisarza mogła tym konferencjom nadawać rangę i powagę, ale to od Gill Templer pochodziły różne dodatkowe drobiazgi i nieoficjalne aluzje między wierszami.

Nikt tego nie wiedział lepiej od Jima Stevensa. Siedział na końcu sali i palił, nawet przez chwilę nie wyjmując papierosa z ust. Nie zwracał większej uwagi na słowa komisarza. Mógł poczekać. Mimo wszystko zanotował kilka jego słów do ewentualnego późniejszego wykorzystania. Był przecież reporterem z krwi i kości, a przyzwyczajęń nie wyzbywamy się tak łatwo. Towarzyszący mu fotoreporter, przejęty swą rolą nastolatek, co chwilę nerwowo zmieniający obiektyw, już wrócił do redakcji, by wywołać zdjęcia. Stevens rozejrzał się wokół, szukając kogoś, z kim mógłby potem wyskoczyć na drinka. Byli tu wszyscy. Wszystkie stare wygi z prasy szkockiej, a także korespondenci gazet angielskich. Obojętne – Szkoci, Anglicy czy Grecy – reporterzy zawsze wyglądają jak reporterzy, niezależnie od narodowości. Wszyscy sprawiali wrażenie pewnych siebie, wszyscy palili, a ich koszule wyglądały niezbyt świeżo. Nie wyglądali na ludzi zbyt majątnych, choć w rzeczywistości zarabiali świetnie

i cieszyli się większą ilością dodatkowych korzyści niż ogół pracujących w innych zawodach. Na te duże pieniądze zarabiali jednak ciężką pracą, mozolnie budując kontakty, wciskając się we wszelkie możliwe zakamarki i często depcząc innym po palcach. Stevens przyglądał się Gill Templer i zastanawiał się, co ona może wiedzieć o Johnie Rebusie? I czy zechce mu powiedzieć, co wie. W końcu oboje byli przyjaciółmi. Wciąż jeszcze byli przyjaciółmi.

Może przyjaciółmi niezbyt bliskimi, nawet na pewno niezbyt bliskimi – choć on bardzo się starał. A teraz ona z Rebusem... Poczekajmy, aż uda się przyskrzynić tego sukinsyna, jeżeli tylko jest coś, na czym da się go przyskrzynić. A na pewno coś jest. Czuł to wyraźnie. Wtedy oczy jej się otworzą, naprawdę otworzą. I zobaczą to, co jest do zobaczenia. Miał już w głowie nagłówek. Coś w rodzaju „Więzy krwi – więzy przestępcze”. Tak, to brzmi niezłe. Bracia Rebus za kratkami, a wszystko dzięki niemu. Wrócił myślą do sprawy morderstw. To go nie rajcowało, zbyt łatwo pisać o nieporadności policji i jakimś szaleńcu.

Niestety teraz było to jego główne zadanie. Przynajmniej można sobie dzięki temu popatrzeć na Gill Templer.

– Gill!

Dopadł ją w chwili, gdy wsiadała do samochodu.

– Cześć, Jim. – Chłodny, służbowy ton.

– Słuchaj, chciałem cię tylko przeprosić za moje zachowanie na tym party. – Miał zadyszkę po krótkim biegu przez parking, a piekący ból w płucach powodował, że z trudem wydobywał z siebie słowa. – To znaczy, wiesz, trochę się wtedy nawaliłem. W każdym razie, przepraszam.

Ale Gill знаła go zbyt dobrze, wiedziała, że to tylko preludium do jakiegoś pytania lub prośby, które zaraz nastąpią. Nagle zrobiło się jej go trochę żal, żal z powodu jego jasnych gęstych włosów domagających się umycia, żal z powodu jego niskiej i przysadzistej – kiedyś myślała, że zwartej i silnej – sylwetki, tego, że czasami cały dygotał, jakby mu było zimno. Jednakże chwila współczucia szybko minęła. Miała za sobą ciężki dzień.

– Dlaczego dopiero teraz o tym mówisz? Mogłeś coś powiedzieć na niedzielnej konferencji.

Potrząsnął przecząco głową.

– Nie było mnie w niedzielę. Miałem lekkiego kaca. Nie zauważyłaś, że mnie nie było?

– A jak miałabym to zauważyć? Był tam tłum ludzi.

To go zabolalo, ale puścił mimo uszu.

– No więc, w każdym razie przepraszam teraz – powiedział. – Okej?

– W porządku. – Zrobiła krok w kierunku samochodu.

– Mogę cię zaprosić na jakiegoś drinka, albo co? Na fajkę pokoju, że tak powiem.

– Przykro mi, Jim. Jestem zajęta.

– Spotykasz się z tym Rebusem?

– Może.

– Bądź ostrożna, Gill. Z nim może nie być tak jak trzeba.

Znow się wyprostowała.

– Po prostu uważaj na siebie, dobra?

Nie miał zamiaru nic więcej mówić, jeszcze nie teraz. Po zasianiu ziarna wątpliwości chciał odczekać, aż nieco wykiełkuje. A potem ją dokładnie przepytą i być może wtedy będzie skłonna mu coś powiedzieć. Odwrócił się i z rękami w kieszeniach ruszył w kierunku pubu Sutherland.

W głównej Miejskiej Bibliotece Publicznej miasta Edynburg, mieszczącej się w wielkim starym budynku wciśniętym pomiędzy księgarnię a bank, uliczni włóczędzy szykowali się właśnie do codziennej drzemki. Przychodzili tu, żeby przeczekać, przetrwać te kilka dni całkowitej nędzy, jakie dzieliło ich od dnia wypłaty kolejnej zapomogi. Otrzymane pieniądze wydawali wtedy w ciągu jednego dnia (czasami dwóch) na radosne świętowanie: na wino, kobiety i śpiew przed niezbyt chętną publicznością.

Stosunek personelu biblioteki do tych ludzi z marginesu był różny: od całkowitego braku akceptacji (zazwyczaj w przypadku ludzi starszych) po rzewną zadumę (w przypadku najmłodszych). Jednak bez względu na osobiste zapatrywania personelu była to biblioteka publiczna i jeśli tylko znający się na rzeczy włóczędzy zaczynali dzień od wypożyczenia jakiejś książki i udania się z nią do czytelnicy, to o ile nie dochodziło między nimi do awantur, kiedy to do akcji szybko wkraczał strażnik, nie można było poradzić.

Usypiali więc spokojnie w wygodnych fotelach, czasami tylko obrzucani niechętnymi spojrzeniami przez innych użytkowników nie mogących się pozbyć natrętnej wątpliwości, czy właśnie to miał na myśli filantrop Andrew Carnegie, kiedy wiele lat temu przeznaczał część swego majątku na zakładanie pierwszych na świecie bibliotek publicznych. Ale śpiącym te spojrzenia nie przeszkadzały i, nie niepokojeni przez nikogo, oddawali się swym sennym marzeniom, choć nikt nie pytał ani o czym marzą, ani się ich marzeniami nie przejmował.

Nie wpuszczano ich natomiast do działu biblioteki przeznaczonego dla dzieci. Właściwie na każdego dorosłego pojawiającego się tu bez towarzystwa dziecka patrzono podejrzliwie i niechętnie, szczególnie od czasu zamordowania dziewczynki. Pracownicy biblioteki omówili to między sobą i doszli do zgodnego wniosku, że jedyną karą dla takiego zwyrodnialca byłaby śmierć przez powieszenie. I rzeczywiście, sprawa przywrócenia kary śmierci powróciła pod obrady parlamentu, jak to się działo za każdym razem, kiedy w cywilizowanej Wielkiej Brytanii wyłaniał się z mroku jakiś wielokrotny morderca. Niemniej we wszystkich wyrażanych opiniach dominowała nie tyle kwestia samej kary śmierci, ile szok, że coś takiego mogło się wydarzyć, co jeden z pracowników biblioteki ujął lapidarnie, mówiąc: „No, ale żeby tu, w Edynburgu! To nie do pomyślenia!” W mrocznej przeszłości, gdzieś daleko na ulicach miast południowej czy środkowej Anglii, zdarzali się masowi mordercy, ale nie tu, w szkockiej stolicy znanej wszystkim z tysięcy pocztówek. Słuchacze kiwali głowami potakująco, porażeni i zgnębieni świadomością, że teraz przyszło im się z tym pogodzić. Tak reagowali wszyscy, każda damulka z Morningside dumnie prezentująca wyblakły już nieco kapelusz, każdy drobny złodziejaszek obrabiający ulice i domy na osiedlach mieszkaniowych, każdy adwokat, bankier, broker, ekspedient sklepowy czy uliczny sprzedawca wieczornych gazet. Naprędce organizowano społeczne komitety czuwania i równie prędko były one rozwiązywane przez szybko reagującą policję. Nie tędy droga, jak oświadczył komendant główny policji. Oczywiście, należy zachować czujność, ale nikomu nie wolno przejąć egzekwowania prawa w swoje ręce. Mówiąc to, zatarł własne ręce odziane w skórzane rękawiczki, co spowodowało, że niektórzy dziennikarze zaczęli się publicznie zastanawiać, czy nie był to freudowski gest oznaczający, że podświadomie próbuje umyć od wszystkiego ręce. Naczelnym Jimem Stevensa dał tytuł: „TRZYMAJCIE CÓRKI POD KLUCZEM!”, który w zasadzie mówił wszystko.

I ludzie naprawdę zaczęli trzymać córki po domach. Niektórych w ogóle nie posyłano do szkół, innym tam i z powrotem towarzyszyła bardzo ścisła eskorta, a rodzice dodatkowo kontrolowali jeszcze, co się dzieje z ich dziećmi podczas przerwy na lunch. Dział dziecięcy w głównej Miejskiej Bibliotece Publicznej zaczął świecić pustkami, więc zatrudnieni w nim bibliotekarze, nie mając praktycznie nic do roboty, spędzali czas na dyskusjach na temat przywrócenia kary śmierci przez powieszenie i czytaniu niezliczonych artykułów w całej prasie brytyjskiej.

Prasa brytyjska zawzięcie podkreślała, że przeszłość Edynburga wcale nie była taka cnotliwa. W artykułach przypomniano o historii diakona Brodie (który, jak twierdzono, zainspirował Stevensona do stworzenia postaci Jekylla i Hyde'a) i przypadkach Burke'a i Hare'a. Pisano o wszystkim, co udało się wygrzebać w starych kronikach, łącznie z historiami o duchach straszących w podejrzenie dużej liczbie starych domów z epoki georgiańskiej. Czytanie tych wszystkich opowieści pozwalało pracownikom biblioteki na zabijanie czasu w sytuacji wymuszonej bezczynności. Umówili się nawet, że każde z nich kupować będzie inną gazetę, co zapewni im maksimum prasy do czytania, jednak z rozczarowaniem stwierdzali, że dziennikarze często wymieniają się między sobą materiałami, co powoduje, że ten sam tekst ukazuje się w dwóch czy trzech różnych gazetach. Zupełnie jakby piszący uknuli jakiś spisek.

Mimo wszystko w bibliotece wciąż pojawiały się dzieci. Na ogół towarzyszyły im matki, ojcowie lub opiekunowie, zdarzały się też jednakże dzieci przychodzące samotnie. Przejęci pracownicy biblioteki uważali to za przejaw skrajnej bez troski i głupoty ze strony rodziców i samych dzieci. Z niepokojem i oburzeniem zaczepiali wtedy takie dzieci i dopytywali się o rodziców.

Samantha rzadko odwiedzała dział dziecięcy, jako że wolała książki dla starszych wiekiem, jednak dziś zrobiła to, by urwać się matce. Podczas gdy przeglądała katalog książek dla młodszych dzieci, podszedł do niej jeden z bibliotekarzy.

– Jesteś tu sama, kochanie? – spytał.

Samantha rozpoznała w nim pracownika biblioteki, którego widywała tu od zawsze.

– Mama jest na górze – odparła.

– Bardzo mnie to cieszy. Radzę ci, żebyś się jej trzymała.

Skinęła głową, ale poczuła rosnącą złość. Ledwie pięć minut wcześniej słyszała podobne przykazanie od matki. Przecież nie jest już dzieckiem, tylko jakoś nikt nie chce tego uznać. Kiedy bibliotekarz odszedł, by porozmawiać z jakąś inną dziewczynką, Samantha wybrała książkę i podała swoją kartę starszej bibliotekarce z farbowanymi włosami, którą dzieci nazywały pani Marmuzela. Potem pobiegła schodami na górę do czytelni działu podręcznego, gdzie jej matka zajęta była wyszukiwaniem publikacji krytycznych na temat pani George Eliot. Matka wyjaśniła jej, że George Eliot była autorką książek odznaczających się niezwykłym realizmem i psychologiczną głębią, pisanych w czasach, kiedy literacki realizm i psychologiczna głębia były zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn; dla kobiet przeznaczano wtedy rolę kury domowej. I dlatego właśnie, by móc wydawać swoje książki, zmuszona była przybrać męskie imię „George”. By odegrać się na matce za to literackie mądrzenie, Samantha wybrała sobie książkę z obrazkami, która opowiadała o przygodach chłopca, który na ogromnym skrzydlatym kocie odlatuje do krainy fantazji i tam przeżywa niezliczone i niesłychane przygody. Miała nadzieję, że to matkę wkurzy. W czytelni działu podręcznego siedziało przy stołach mnóstwo pokaszających ludzi i to kasłanie roznosiło się głośnym echem w obowiązującej tu grobowej ciszy. Matka, mając okulary na nosie i wygląd typowej nauczycielki, dopominała się właśnie u bibliotekarki o książkę, którą dawno temu zamówiła. Samantha przeszła między rzędami stołów, zerkając na to, co czytają i piszą siedzący przy nich ludzie. W duchu zastanawiała się, dlaczego niektórzy tak dużo czasu trwonią na czytanie książek, skoro jest tyle innych ciekawych rzeczy do robienia. Ona sama chciałaby odbyć podróż dookoła świata. Może potem będzie gotowa zasiąść w nudnej sali i zająć się czytaniem tych wszystkich starych ksiąg. Ale nie teraz.

Obserwował ją, kiedy przechadzała się między rzędami stołów. Stał zwrócony do niej półprofilem i udawał, że studiuje półkę z książkami o wędkarstwie. Ale ona i tak nie rozglądała się na boki. Przecież nic jej nie groziło. Przebywała w swoim małym prywatnym świecie, świecie stworzonym przez nią samą i rządzącym się jej własnymi regułami. I to było w porządku. Wszystkie dziewczynki są takie. Tylko, że ta jest tu z kimś. Wyraźnie to wyczuwał. Zdjął z półki jakąś książkę i zaczął ją przeglądać. Jeden z rozdziałów przyciągnął jego uwagę i odwrócił myśli od Samanthy. Był to rozdział opisujący sposoby wiązania muchy na żyłce. Dawał przykłady mnóstwa różnych węzłków. Całego mnóstwa.

Kolejna odprawa. Jednak Rebus polubił teraz odprawy, istniała bowiem szansa, że zjawi się Gill i że później będą mogli razem wyskoczyć na kawę. Wczoraj wieczorem zjedli w restauracji późną kolację, lecz Gill była zmęczona i troszkę dziwnie mu się przyglądała, jakby nieco bardziej badawczo niż zwykle. Najpierw bez okularów, a potem w połowie kolacji je założyła i już w nich została.

– Chcę widzieć, co jem – wyjaśniła.

Ale on wiedział, że bez nich też doskonale widzi. Okulary były dla niej rekwizytem, który ją podtrzymywał psychicznie. Stanowiły dla niej ochronę. A może tylko tak mu się zdawało. Może była po prostu zmęczona. Podejrzywał jednak, że było w tym coś więcej, choć zupełnie nie mógł sobie wyobrazić co. Czy może czymś ją uraził? Bezwiednie zrobił jej jakąś przykrość? Sam też czuł zmęczenie, więc po kolacji oboje pojechali do siebie, a potem Rebus leżał w samotności, nie mogąc usnąć. Kiedy zasnął, znów miał ten sen z pocałunkiem i obudził się z tymi samymi objawami, co zwykle, mając czoło zroszone potem i zaślinione wargi. Czy znów dostanie kolejny list? Czy nastąpi kolejne morderstwo?

Teraz czuł się zmęczony i niedospany. Ale odprawa była ciekawa i to nie tylko z uwagi na obecność Gill. Wyglądało na to, że wreszcie pojawił się cień tropu i Andersenowi zależało teraz na szybkim działaniu.

– Jasnoniebieski ford escort – powiedział Anderson. Obok siedział komisarz, którego obecność na odprawie wydawała się mocno peszyć inspektora. – Jasnoniebieski ford escort. – Anderson wytarł czoło. – Mamy informację, że taki samochód widziano w rejonie Haymarket tego wieczoru, kiedy znaleziono tam ciało ofiary numer jeden, jak również wiemy, że taki samochód z mężczyzną i śpiącą dziewczynką widziano dwukrotnie tego wieczoru, kiedy zaginęła ofiara numer trzy. – Anderson podniósł oczy znad tekstu, który miał przed sobą, i wbił wzrok, jak im się zdawało, w każdego z obecnych z osobna. – Chcę, żebyście potraktowali tę sprawę absolutnie priorytetowo albo jeszcze bardziej. Chcę mieć dane każdego właściciela każdego niebieskiego forda escorta w Lothians jak najszybciej, jeszcze szybciej niż to możliwe. Zdaję sobie sprawę, że wszyscy pracujecie na okrągło, ale jeśli się jeszcze trochę wysilimy, to może uda nam się złapać tego gagatka, zanim znów kogoś zabije. W tym celu inspektor Hartley opracował nowy grafik. Jeśli znajdziecie swoje nazwisko, to chcę żebyście natychmiast zostawili to, czym się aktualnie zajmujecie, i zajęli szukaniem tego samochodu. Są jakieś pytania?

Gill Templer przez cały czas robiła notatki, być może obmyślając już, co powie prasie. Czy będą chcieli to ujawnić? Chyba nie, w każdym razie nie od razu. Najpierw odczekają, żeby sprawdzić, co przyniesie pierwsza seria poszukiwań. Jeśli nic, to wtedy zwrócą się do społeczeństwa o pomoc. Rebusowi wcale się to nie uśmiechało: zbieranie danych o właścicielach samochodów, potem włączenie się po przedmieściach i masowe przesłuchania ludzi w celu wyselekcjonowania przypadków „możliwych” i „prawdopodobnych”, a potem być może druga runda przesłuchań. Nie, wcale mu się to nie uśmiechało. Za to uśmiechało mu się porwanie Gill Templer do domowej jaskini i kochanie się z nią. Ale ze swego miejsca przy drzwiach mógł ledwo dojrzeć jej plecy. Znów pojawił się w sali odpraw jako ostami, po tym jak się zasiedział w pubie. Spotkał się tam na wcześniej umówionym lunchu (w postaci płynnej) z Jackiem Mortonem. Morton opowiedział mu, jak strasznie wolno posuwa się do przodu akcja chodzenia po domach: jak dotąd przesłuchano czterysta osób, sprawdzając i weryfikując dane dotyczące całych rodzin, i natykając się jak zwykle na całą masę dziwaków i wariatów. I nie wynikało z tego absolutnie nic, co mogłoby rzucić jakieś światło na sprawę.

Jednak teraz wydawało się, że przynajmniej mają ten samochód. Ślad był bardzo mizerny, ale był; cień czegoś, co mogło być prawdą, ale to już jednak coś. Rebus czuł się dumny z własnego wkładu w śledztwo, bo to dzięki jego mozolnemu wiązaniu z sobą różnych doniesień udało się natrafić na ten wąty trop. Chciał o tym wszystkim opowiedzieć Gill, a potem umówić się z nią na któryś dzień w ciągu tygodnia. Bardzo chciał się z nią znów spotkać, nie być sam, bo jego mieszkanie coraz bardziej przypominało celę więzienną. Docierał do domu późnym wieczorem lub wczesnym rankiem, walił się na łóżko i zasypiał, nie mając czasu ani ochoty na sprzątanie, czytanie czy kupowanie (lub choćby kradzież) czegoś do jedzenia. Jadał coś na stojąco w stoiskach z szaszłykami czy frytkami, w otwieranych o świcie piekarniach lub kupując coś z automatu ze słodyczami. Twarz miał bledszą i mizerniejszą niż zwykle, a żołądek mu się kurczył. Nadal zadawał sobie trud golenia się i wiązania krawata, bo uważał to za swój obowiązek, ale na tym dbanie o siebie praktycznie, się kończyło. Anderson odnotował, że koszule Rebusa mogłyby być świeższe, jednak jak dotąd nic nie powiedział. Po pierwsze Rebus miał teraz u niego dobre notowania jako źródło tego nowego tropu z samochodem, po drugie widać było wyraźnie, że obecny stan Rebusa grozi jego gwałtowną reakcją na ewentualną zaczepkę.

Odprawa miała się ku końcowi. Nikomu nie przychodziło do głowy żadne pytanie z wyjątkiem tego podstawowego: jak długo jeszcze wszyscy potrafią to wytrzymać, nim nastąpi załamanie? Rebus kręcił się pod drzwiami i wypatrywał Gill. Opuściła salę jako ostatnia, zatopiona w przyciszonej rozmowie z Wallace'em i Andersonem. Komisarz żartobliwie objął ją wpół i lekko wypchnął z sali. Rebus z napięciem wpatrzył się w swoich przełożonych, potem przeniósł wzrok na Gill, ta jednak sprawiała wrażenie, że w ogóle go nie dostrzega. Rebus poczuł, jak wszystko z niego opada i ściele się u stóp. A więc to taka miłość? Kto tu kogo oszukuje?

Kiedy zagłębiona w rozmowie trójka oddaliła się korytarzem, Rebus nie ruszył się z miejsca. Poczucił się jak porzucony nastolatek i posłał długą wiązaną przekleństw.

Znów go oszukano. I zostawiono go.

Nie zostawiaj mnie, John. Błagam.

Proszę! Proszę! Proszę!

I to wycie w jego pamięci.

Poczucił, że kręci mu się w głowie, a w uszach świdruje szum morza. Lekko się zataczając, spróbował przytrzymać się ściany, by znaleźć w niej oparcie i pocieszenie, ale ściana wydawała się pulsować pod jego dotknięciem. Odetchnął głęboko i pomyślał o tamtym czasie na kamienistej plaży, kiedy wychodził z nerwowego załamania. Wtedy też miał w uszach szum morza. Podłoga powoli powróciła na swoje miejsce. Inni przechodzili obok, przyglądając mu się podejrzliwie, ale nikt się nie zatrzymał, by mu pomóc. Pieprzyć ich wszystkich. I pieprzyć Gill i Templer. Sam da sobie radę. Z boską pomocą poradzi sobie sam. Wszystko będzie dobrze. Potrzebny mu tylko papieros i filiżanka kawy.

Jednak naprawdę potrzebował kogoś, kto by go poklepał po plecach i pogratulował dobrze wykonanej roboty. Potrzebna mu była akceptacja. Chciał, by ktoś go zapewnił, że wszystko będzie dobrze.

Że z nim też będzie dobrze.

Tego wieczoru wypił po pracy kilka drinków i postanowił trochę zaszaleć. Morton go zostawił, bo miał coś do załatwienia, ale to go nie zniechęciło. Rebusowi nie potrzebne było żadne towarzystwo. Ruszył po Princes Street, czując w powietrzu obietnice wieczoru. W końcu był wolnym człowiekiem, równie wolnym jak ta młodzież stojąca grupkami pod budką z hamburgerami. Stali tam, tokując i śmiejąc się, i czekali nie wiadomo na co. Ale on wiedział, że czekają na chwilę, kiedy będą już mogli pójść do domu i przespać się do jutra. Na swój sposób on też czekał. I zabijał czas.

W Rutherford Arms spotkał paru pijaczków, których znał z wcześniejszych wieczorów, takich jak ten, a których miał wiele tuż po odejściu Rhony. Przez godzinę pił z nimi, wsysając się w kufel z piwem jak w matczyną pierś. Rozmawiali o piłce nożnej, o wyścigach konnych, o pracy i rozmowa ta mocno Rebusa uspokoiła. Takie sobie zwyczajne pogaduszki wieczorne, ale on z przyjemnością się w nie zanurzył i dorzucał od siebie różne strzępy informacji. Jednak w pewnym momencie uznał, że ma już tego dosyć, przyrzekli więc sobie wszyscy kolejne spotkanie i zdecydowanym, choć nieco chwiejnym krokiem opuścił bar i ruszył w kierunku Leith.

Siedząc przy barze, Jim Stevens obserwował w lustrze, jak Michael Rebus zostawia na stoliku niedopitego drinka i idzie do toalety. Kilka sekund później podążył za nim ten tajemniczy mężczyzna, który siedział dotąd przy innym stoliku. Wyglądało to na krótkie spotkanie jedynie w celu ustalenia następnej dostawy, bo obaj zachowywali się zbyt swobodnie, jak na posiadanie przy sobie czegoś trefnego. Stevens palił papierosa i czekał. Po mniej niż minucie Rebus pojawił się ponownie i podszedł do baru, by zamówić następnego drinka.

John Rebus pchnął wahadłowe drzwi prowadzące do pubu i stanął jak wryty, nie wierząc własnym oczom. Potem podszedł i klepnął brata w ramię.

– Mickey! A ty co tu robisz?

Niewiele brakowało, by nie skończyło się to dla Michaela Rebusa atakiem serca, które skoczyło mu do gardła tak, że mało się nie udławił.

– Tak sobie, wpadłem tylko na drinka, John – wykrztusił, wiedząc, że musi wyglądać na złoczyńcę przyłapanego na gorącym uczynku. – Przestraszyłeś mnie – dodał, próbując się uśmiechać – jak mnie tak zniecka wałnałeś.

– To tylko braterskie klepięcie, nic więcej. Co pijesz?

W trakcie rozmowy braci tajemniczy mężczyzna wymknął się z toalety i ani razu nie spoglądając na boki, wyszedł z pubu. Stevens widział, jak wychodzi, ale teraz miał co innego na głowie. Nie mógł dopuścić, by policjant

go zauważył. Odwrócił się więc od baru, jakby szukał kogoś wzrokiem wśród stolików. Teraz już wiedział na pewno. Policjant też musi być w to zamieszany. Cała ta sekwencja zdarzeń przed jego oczami przebiegła bardzo sprawnie, ale teraz nie miał już wątpliwości.

– Masz tu występ? – John Rebus, rozochocony wypitym alkoholem, na odmianę miał uczucie, że wszystko dobrze się układa. Spotkali się wreszcie z Michaeliem na drinku, który sobie od lat obiecywali. Zamówił dla nich po whisky i po piwie do popicia. – To jest pub, gdzie podają solidne porcje whisky – wyjaśnił bratu. – Tu można się naprawdę napić.

Michael wszystko kwitował uśmiechem. Uśmiechał się i uśmiechał, jakby od tego zależało jego życie. Ale w głowie miał galopadę myśli. Ostatnia rzecz, jaka mu teraz była potrzebna, to ten drink z bratem. Jak się to rozniesie, jego łącznik nie uwierzy, że to przypadek, po prostu mu nie uwierzy. Więc jak się wyda, może skończyć z połamanymi nogami. Przecież go ostrzegali. A w ogóle, to czego John tu szuka? Wygląda dość przyjaźnie, jest lekko podпиты, ale może to wszystko tylko pułapka na niego? A może jego dostawcę już aresztowano na ulicy przed pubem? Czuł się jak wtedy, gdy jako dziecko ukradł ojcu pieniądze z portfela, a potem całymi tygodniami się tego wypierał, jednocześnie czując jak poczucie winy leży mu na sercu.

Wina, wina, wina.

John Rebus popijał tymczasem drinka i gadał, zupełnie nie wyczuwając nagłej zmiany atmosfery i podejrzliwości ze strony brata. W tej chwili obchodziła go jedynie stojąca przed nim whisky i czekający Michaela występ w miejscowym klubie bingo.

– Mogę pójść z tobą? – spytał. – Może się nareszcie dowiem, jak mój brat zarabia na chlebuś.

– Jasne – powiedział Michael. Obracał w palcach nietkniętą szklankę z whisky. – Wiesz, John, chyba tego nie wypiję. Muszę mieć trzeźwą głowę.

– Pewno. Żebyś mógł cały poddać się tym tajemniczym fluidom. – Rebus z poważną miną zamachał rękami, niby hipnotyzując Michaela, ale w jego szeroko rozwartych oczach był śmiech.

Jim Stevens zabrał z baru papierosy i wciąż odwrócony do braci Rebusów tyłem wyszedł z zadymionego i hałaśliwego pubu. Żałował, że nie było tam trochę ciszej. Tak, żeby mógł dosłyszeć, o czym rozmawiają. Rebus dostrzegł go w chwili, gdy Stevens wychodził.

– Chyba znam tego faceta – powiedział do brata, pokazując drzwi głową. – To reporter z miejscowego szmatławca.

Michael spróbował wymusić na sobie uśmiech i trwać w tym uśmiechu, miał jednak wrażenie, jakby cały jego świat legł w gruzach.

Sala bingo nazywała się Rio Grande i kiedyś była kinem. Usunięto z niej pierwsze dwanaście rzędów krzeseł, a na ich miejscu ustawiono tablice i stojaki do gry w bingo, jednak w głębi sali pozostało jeszcze wiele rzędów zakurzonych, czerwonych pluszowych foteli, widownię na balkonie zaś pozostawiono w ogóle nietkniętą. John Rebus oświadczył, że nie chce dekoncentrować brata i woli siedzieć na górze. Udał się na balkon w ślad za jakimś starszym małżeństwem. Fotele wyglądały na dość wygodne, kiedy jednak zasiadł w jednym z nich w drugim rzędzie, poczuł, jak sprężyny wbijają mu się w siedzenie. Powiercił się więc trochę, szukając wygodniejszej pozycji. Skończyło się na tym, że cały ciężar musiał przenieść na jeden pośladek.

Na parterze frekwencja była niezła, ale tu, na tym zapyziałym balkonie, siedziało tylko to starsze małżeństwo i on. Po chwili w przejściu między fotelami usłyszał kroki. Ten ktoś przez chwilę się zawahał, a potem do drugiego rzędu wsunęła się potężna kobieta. Rebus zmuszony był podnieść głowę i wtedy zobaczył, że kobieta uśmiecha się do niego.

– Nie przeszkodzi panu, jak tu usiądę? – zapytała. – Nie czeka pan na nikogo, prawda?

Miała twarz pełną nadziei. Rebus kiwnął głową z miłym uśmiechem.

– Tak myślałam – powiedziała, siadając obok niego, a on ponowił uśmiech.

W życiu nie widział, żeby Michael tyle się uśmiechał co dziś, w dodatku tak niepewnie. Czyżby spotkanie ze starszym bratem tak go wytrąciło z równowagi? Nie, musiało być coś jeszcze. Uśmiech Michaela przypominał uśmiech drobnego złodziejzaka znów przyłapanego na kradzieży. Musi z nim pogadać.

– Często tu przychodzę pograć w bingo. Więc, wie pan, pomyślałam sobie, że to może być dobry ubaw. Bo od czasu, kiedy zmarł mój mąż... – znacząca przerwa -...no cóż, już nie jest tak samo. Wie pan, lubię czasem wyskoczyć tu i tam. Każdy lubi, prawda? Więc pomyślałam sobie, że tu wpadnę. Nie wiem, co mi kazało przyjść tu na górę. Pewnie przeznaczenie. – Jej uśmiech był jeszcze bardziej promienny i Rebus też odpowiedział uśmiechem.

Miała trochę ponad czterdzistkę, była nieco zbyt mocno umalowana i wyperfumowana, ale poza tym nieźle zakonserwowana. Mówiła z takim zapałem, jakby od wielu dni nie miała się do kogo odezwać i jakby chciała sama sobie udowodnić, że wciąż jeszcze potrafi mówić, a ktoś inny potrafi tego słuchać i rozumieć. Rebusowi zrobiło się jej żal. Widział w niej coś z siebie, może niezbyt dużo, ale jednak.

– A co pan tu robi? – spytała, zmuszając go do rozmowy.

– Przyszedłem tylko na występ, tak jak pani. – Nie odważył się przyznać, że hipnotyzer jest jego bratem. To stworzyłoby zbyt wiele nowych tematów do konwersacji.

– Lubi pan takie przedstawienia?

– Nigdy przedtem na czymś takim nie byłem.

– Ja też nie. – Znów się uśmiechnęła, tym razem porozumiewawczo. Właśnie okazało się, że mają ze sobą coś wspólnego. Na szczęście światła przygasły – choć od początku nie świeciły zbyt jasno – a na estradę rzucony został punktowiec. Ktoś zapowiadał występ. Kobieta otworzyła torebkę, wyjęła z niej szeleszczące opakowanie landrynek i wyciągnęła je w kierunku Rebusa.

Rebus stwierdził z zaskoczeniem, że występ mu się podoba, choć bez porównania mniej niż kobiecie siedzącej obok. Kwiczała ze śmiechu, kiedy jeden z ochotników z widowni zdjął na estradzie spodnie i udawał, że pływa przejściem między fotelami. Innej ofierze eksperymentu wmówiono, że jest głodna jak wilk. Jeszcze innej, że jest zawodową striptizerką i ma występ. Kolejnej, że właśnie układa się do snu.

Mimo iż z zaciekawieniem oglądał występ, w pewnym momencie poczuł, że oczy mu się zamykają i ogarnia go senność. Był to rezultat zbyt dużej ilości wypitego alkoholu i zbyt małej ilości snu, a także ciepłej i dusznej atmosfery panującej na sali. Obudził go dopiero końcowy aplauz publiczności. Michael, nieco spocony w swym połyskliwym estradowym stroju, pławił się w oklaskach, jakby nie mógł się od nich oderwać i wracał na estradę, robiąc kolejny ukłon w chwili, gdy już niemal wszyscy opuszczali salę. Przed występem uprzedził Johna, że tuż po spektaklu musi szybko wracać do domu i nie zdążą się zobaczyć, wobec tego zadzwoni do niego później, by wysłuchać opinii brata na temat występu.

A John większość występu przespał.

Poczuł się jednak teraz odświeżony i sam siebie zaskoczył, przyjmując zaproszenie kobiety na „rozchodniaka” w miejscowym pubie. Wyszli z sali ramię w ramię, oboje uśmiechnięci. Rebus czuł się rozluźniony, jakby znów był dzieckiem. Kobieta traktowała go właściwie jak własnego syna, a on z zadowoleniem poddawał się jej serdecznościom. Jednego drinka i trzeba będzie wracać do domu. Na dziś wystarczy.

Jim Stevens widział, że wychodzą z sali. Wszystko robiło się coraz dziwniejsze. Najwyraźniej Rebus opuścił teraz brata, a w jego towarzystwie pojawiła się kobieta. Co to wszystko ma znaczyć? Na pewno trzeba będzie przy najbliższej okazji o wszystkim opowiedzieć Gill. Uśmiechając się do swych myśli, Stevens dopisał to sobie w głowie do listy rzeczy do zrobienia. Jak dotąd, dzisiejszy wieczór okazywał się całkiem owocny.

A więc, w którym momencie wieczoru ta relacja matka-syn przemieniła się w kontakt fizyczny? Może w tym pubie, kiedy jej krwawoczerwone paznokcie wbiły się w pewnej chwili w jego udo? A może już po wyjściu, kiedy w chłodnym powietrzu wieczoru zarzucił jej ręce wokół szyi i niezdarnie spróbował ją pocałować? Czy też dopiero tu, w tym jej nieco zatęchłym mieszkaniu z wiszącą w nim wciąż wonią jej męża, kiedy półleżąc na starej kanapie, wzajemnie wpychali sobie języki do ust?

Nieważne. Teraz za późno już żałować, i za wcześnie. Więc kiedy ona podążyła w kierunku sypialni, on człapie za nią. Rzuca się na ogromne dwuosobowe łóżce, sprężyste i zarzucone grubymi kołdrami i kapami. Patrzy, jak w ciemności się rozbiera. Łóżce przypomina mu trochę jego dziecinne łóżko, tyle że wtedy do zagrania miał jedynie termofor, stertę zapiaszczonych koców i jakąś ciężką kołdrę. Ciężką i duszącą, powodującą, że natychmiast czuł się zmęczony.

Nieważne.

Rebus nie był zachwycony jej ciężkim, klocowatym ciałem i zmuszał się do myślenia bardziej abstrakcyjnego. Jego dłonie na jej mocno już zwiędłych piersiach przywiodły mu na pamięć końcowe noce z Rhoną. Łydki miała grube, inne niż Gill, a jej twarz była zniszczona zbyt intensywnym życiem. Ale była kobietą i była z nim, więc uczynił z niej w myśli przedmiot pożądania i starał się obojgu dać chwilę szczęścia. Jednak obfitość i ciężar pościeli stłamsiły go, omotały jak klatka, spowodowały, iż poczuł się mały, schwytyany w potrzask i wyrwany ze świata. Próbował to zwalczyć, obraz tego jak z Gordonem Reeve siedzą w izolatce i słuchają wrzasków dookoła, ale mimo to trzymają się, cały czas się trzymają, wreszcie znów razem. Zwycięscy. Zwyciężeni. Straciwszy wszystko. Jego

serce biło w rytm jej pojękiwania, teraz dochodzącego jakby z oddali. Poczł, jak pierwsza fala absolutnej odrazy uderza go w żołądek, jakby dostał cios pałką, a jego dłonie zamykają się wokół miękkiego, poddającego się uciskowi gardła, które miał tuż pod sobą. Jej jęki nie przypominały już głosu ludzkiego, a bardziej marcowe wrzaski kota. Przesunął nieco dłonie, jego palce zacisnęły się. Zamknęli go wtedy i wyrzucili klucz. Popychali ku śmierci i podtruwali. Nie powinien wtedy przeżyć. Powinien umrzeć, tam w tej zwierzęcej klatce, polewany z węża ciśnieniowego i poddawany wiecznym przesłuchaniom. Mimo to przeżył. Przeżył. A teraz przyszła pora.

On sam, zupełnie sam

I te wrzaski

Wycie.

Rebus zdał sobie sprawę z chrapliwych dźwięków wydobywających się spod niego, a zaraz potem jego głowa stanęła w płomieniach. Upadł na ciężko dyszącą pod nim postać i stracił przytomność. Jakby ktoś pstryknął wyłącznik.

Obudził się w pomieszczeniu, gdzie wszystko było białe. Z wyglądu przypomniało mu to salę szpitalną, w której znalazł się wiele lat temu po załamaniu nerwowym. Z zewnątrz dochodziły jakieś przytłumione głosy. Usiadł i poczuł pulsujący ból w głowie. Co się stało? Chryste, ta kobieta, ta biedna kobieta. Próbował ją zabić! Był pijany, zbyt pijany. Dobry Boże, chyba próbował ją udusić. Dlaczego, na litość boską, zrobił coś takiego? Dlaczego?

Drzwi się otworzyły i stanął w nich lekarz.

– Aa, pan Rebus. Świetnie, że już się pan obudził. Właśnie przenosimy pana na inny oddział. Jak się pan czuje? Zmierzył mu puls.

– Myślmy, że to zwykłe wyczerpanie. Stan wyczerpania nerwowego. Pańska przyjaciółka, ta która zadzwoniła po pogotowie...

– Moja przyjaciółka?

– Tak, powiedziała nam, że pan zemdłał. A z tego, co nam mówią pańscy pracodawcy, wynika, że ostatnio pracował pan bardzo intensywnie przy śledztwie w sprawie tych strasznych morderstw. Jest pan po prostu wyczerpany. Potrzebny panu wypoczynek.

– A gdzie jest... ta moja przyjaciółka?

– Nie mam pojęcia. Pewnie w domu.

– I według niej po prostu zemdlałem?

– Tak jest.

Rebus poczuł jak ogarnia go ogromna fala ulgi. Nic im nie powiedziała. Nic im nie powiedziała. A potem znów mu zaczęło pulsować w głowie. Dłonie lekarza były owłosione i wyszorowane do czysta. Uśmiechając się, wsunął mu termometr do ust. Czy lekarz wiedział, co się działo tuż przed utratą przytomności? Czy ta kobieta ubrała go, zanim wezwała karetkę? Musi się z nią skontaktować. Nie znał jej dokładnego adresu, tylko orientacyjnie, ale kierowca karetki będzie wiedział, więc się od niego dowie.

Wyczerpanie. Rebus wcale nie czuł się wyczerpany. Zaczynał czuć się wręcz wypoczęty. Może nieco podenerwowany, ale z optymizmem patrzący w przyszłość. A może dali mu jakieś środki, kiedy spał?

– Czy mógłbym dostać gazetę? – wybełkotał przez termometr.

– Powiem salowej, żeby panu przyniosła. Czy jest ktoś, kogo powinniśmy powiadomić? Ktoś z rodziny albo z przyjaciół?

Przyszedł mu do głowy Michael.

– Nie – powiedział – nie mam nikogo. Chcę tylko gazetę.

– W porządku. – Lekarz wyjął termometr i zanotował wynik na karcie.

– Jak długo mnie tu zatrzymacie?

– Dwa, trzy dni. Może trzeba będzie sprowadzić psychoanalityka.

– Dajcie sobie spokój z psychoanalizą. Zorganizujcie mi tylko jakieś książki do czytania.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Rebus odprężył się i postanowił zostawić sprawy własnemu biegowi. Poleży tu i odpocznie, choć odpoczynek nie jest mu potrzebny, i niech się reszta głowi nad morderstwami. Pieprzyć ich wszystkich równo. Pieprzyć Andersena. Pieprzyć Wallace'a. Pieprzyć Gill Templera.

Ale potem przypomniał sobie swoje dłonie zaciskające się na tym zwiotczonym gardle i przeszedł go dreszcz. Było niemal tak, jakby jego umysł nie należał do niego. Czy on naprawdę miał zamiar udusić tę kobietę? Może jednak powinien porozmawiać z psychoanalitykiem? Kłębiące się pytania spowodowały, że głowa jeszcze mocniej go rozboleła. Starał się nie myśleć o niczym, jednak przed oczami uparcie stały mu trzy postacie: jego dawny przyjaciel Gordon Reeve, jego nowa kochanka Gill Templer i ta kobieta, z którą ją zdradził i którą niemal udusił. Cała trójka wirowała mu w głowie tak długo, aż obraz stracił ostrość, rozmył się, a on zapadł w sen.

– John!

Szybkim krokiem podeszła do łóżka, trzymając w dłoniach torbę z owocami i butelkę witaminizowanego napoju. Miała na, twarzy makijaż i ubrana była w ściśle prywatne rzeczy. Nachyliła się i musnęła wargami jego policzek, a on poczuł woń francuskich perfum, jednocześnie zerkając w głąb dekoltu jedwabnej bluzeczki. Poczuł lekki wyrzut sumienia.

– Cześć, pani inspektor – odpowiedział. – Proszę – dodał, unosząc róg kołdry. – Wskakuj.

Roześmiała się i przyciągnęła sobie bardzo oficjalnie wyglądające krzesło. Do sali zaczęli teraz wchodzić inni odwiedzający, wszyscy uśmiechnięci i mówiący przyciszonymi głosami w obliczu choroby, której on w sobie nie czuł.

– Jak się czujesz, John?

– Okropnie. Co mi przyniosłaś?

– Winogrona, banany, pomarańcze. Obawiam się, że nic specjalnie oryginalnego.

Rebus oderwał jedną kulkę z kiści winogron i wsadził ją sobie do ust, po czym odłożył na bok jakąś szmirowatą powieść, z którą się zmagał.

– Doprawdy sam już nie wiem, pani inspektor, do czego ja się muszę posuwać, żeby móc się z panią spotkać. – Rebus potrząsnął głową z rezygnacją.

Gill uśmiechnęła się, ale jakby niepewnie.

– Martwiliśmy się o ciebie. Co ci się stało?

– Zemdlałem. I to na dodatek w domu u znajomej. Ale to nic poważnego. Jeszcze parę tygodni życia mi zostało.

Tym razem uśmiech Gill był pełen ciepła.

– Mówią, że to z przepracowania. – Zrobiła przerwę. – Co to za pomysł z tą „panią inspektor”?

Rebus wzruszył ramionami, a potem przybrał nadąsany wyraz twarzy. Poczucie winy mieszało mu się w głowie z poczuciem krzywdy, jaką mu zrobiła, odpychając go, krzywdy, od której wszystko się zaczęło. Postanowił powrócić więc do roli zboląłego pacjenta i bezwładnie opadł na poduszkę.

– Jestem ciężko chory, Gill. Zbyt chory, by odpowiadać na twoje pytania.

– Skoro tak, to dam ci też spokój z tymi papierosami od Jacka Mortona.

Rebus ponownie usiadł.

– Boże, pobłogosław temu człowiekowi. Gdzie one są?

Wyciągnęła dwie paczki z kieszeni żakietu i wsunęła je pod poduszkę.

Chwycił ją za rękę.

– Tęskniłem za tobą, Gill.

Uśmiechnęła się i nie cofnęła ręki.

Jako że jednym z przywilejów policji były odwiedziny bez ograniczeń czasowych, Gill została u Rebusa całe dwie godziny, opowiadając mu o swojej przeszłości i wypytyując o jego. Urodziła się w bazie lotniczej w Wiltshire tuż po wojnie. Powiedziała Rebusowi, że jej ojciec był inżynierem lotnictwa zatrudnionym w RAF-ie.

– A mój tata – powiedział Rebus – był w wojsku w czasie wojny. Zostałem poczęty podczas jednej z jego ostatnich przepustek. Z zawodu był estradowym hipnotyzerem. – Na tę informację ludzie zazwyczaj reagowali zdumionym uniesieniem brwi, jednak Gill Templer do nich się nie zaliczała. – Występował w różnych rewiach i kabaretach, a latem wyjeżdżał do Blackpool, do Ayr czy do innych podobnych miejscowości lotniskowych, więc wakacje mieliśmy zawsze zagwarantowane gdzieś poza Fife.

Siedziała przy łóżku z głową przekrzywioną na bok i z przyjemnością słuchała tych opowieści. W sali znów było cicho, bo pozostali goście na dźwięk dzwonka ogłaszającego koniec odwiedzin karnie ją opuścili. Pojawiła się siostra pchająca przed sobą wózek, na którym stał ogromny poobijany dzban z herbatą. Gill obdarowana została filiżanką i porozumiewawczym, siostrzanym uśmiechem.

– Miła dziewczyna, ta siostra – powiedział Rebus. Dostał od niej dwie tabletki, niebieską i brązową, i teraz czuł ogarniającą go senność. – Przypomina mi jedną dziewczynę, którą znałem, kiedy byłem w komandosach.

– Jak długo byłeś w komandosach, John?

– Sześć lat. Nie, zaraz, osiem.

– I dlaczego odszedłeś?

Dlaczego odszedłeś? Rhona też go wciąż o to pytała, z natarczywością dodatkowo pobudzoną przeświadczeniem, że coś przed nią ukrywa, że chowa w sobie jakąś straszną tajemnicę.

– Tak naprawdę, to nie wiem. To było tak dawno, że już nie pamiętam. Wzięli mnie na specjalne przeszkolenie i nie bardzo mi to leżało.

I tak było naprawdę. Nie chciał niczego pamiętać z czasów tego szkolenia: fetoru strachu i nieufności, ciągłych wrzasków, wrzasków wciąż tkwiących w jego podświadomości. *Wypuście mnie!* I tego echa dudniącego w samotnej celi.

– No cóż, ja natomiast pamiętam, że w centrali czeka na mnie praca przy śledztwie w sprawie morderstw.

– Co mi przypomina – rzekł Rebus – że wczoraj wieczorem spotkałem twojego znajomego. Tego reportera, chyba Stevens, prawda? Był w pubie w tym samym czasie co ja. Dziwne.

– Wcale nie takie dziwne, To dla niego typowe pole działań. Zabawne, ale pod pewnymi względami jesteście do siebie podobni. Tyle, że on jest mniej sexy. – Uśmiechnęła się, wstała z metalowego krzesła i znów go cmoknęła w policzek. – Spróbuję jeszcze wpaść, zanim cię wypiszą, ale wiesz, jak to u nas jest. Nic wam nie mogę obiecać na pewno, sierżancie Rebus.

Stojąc, wydała się Rebusowi wyższa, niż ją zapamiętał. Przy następnym pocałunku, tym razem prosto w usta, jej włosy opadły mu na twarz, a on znów zagapił się w ciemną szczelinę między jej piersiami. Nagle poczuł się zmęczony, bardzo zmęczony. Walczył, by nie zamknąć oczu, kiedy szła przez salę, stukając obcasami po wyłożonej terakotą podłodze, po której pielęgniarki w pantoflach na gumowych podszewkach przemieszczały się bezszelestnie jak duchy. Uniósł się nieco na łóżku, by móc popatrzeć na jej oddalające się nogi. Nogi miała zgrabne. Tyle zapamiętał. Pamiętał też, jak tymi nogami go obejmowała, opierając stopy na jego pośladkach. I pamiętał, jak jej włosy niczym wodna kaskada spływały na poduszkę. I jej głos świszczący mu w uszach: „Och tak, John, och tak, tak, tak”.

Dlaczego odszedłeś z wojska?

Odwróciła się w trakcie dławiących spazmów orgazmu.

Dlaczego, John?

„Och, och, och, och”.

Och tak, bezpieczna ucieczka w sen.

Wydawcy z satysfakcją obserwowali wpływ Dusiciela z Edynburga na nakłady ich gazet. Podobał im się też niemal organiczny rozrost całej sprawy, jakby ją ktoś świadomie pielęgnował. Okoliczności morderstwa Nicoli Turner były niemal identyczne jak poprzednio. Wyglądało na to, że przed uduszeniem dziewczynki sznurem morderca zawiązał na nim supeł. Ten supeł wbił się potem w gardło ofiary i dodatkowo je pokiereszował. Policja nie uważała, by miało to jakieś istotniejsze znaczenie dla sprawy. Zbyt dużo czasu i energii szło na poszukiwania niebieskiego forda escorta, by przejmować się takim drobnym technicznym szczegółem morderstwa. Sprawdzano każdego niebieskiego escorta w okolicy i przepytywano każdego właściciela lub kierowcę.

Gill Templer poinformowała prasę o poszukiwaniach, w nadziei, że wywoła to silny oddźwięk społeczny. Nie omyliła się: sąsiedzi zaczęli donosić na sąsiadów, ojcowie na synów, żony na mężów, a mężowie na żony. W sumie trzeba było sprawdzić ponad dwieście niebieskich escortów. Potem, jeśli nic z tego nie wyniknie, trzeba je będzie sprawdzić ponownie, a następnie akcję sprawdzania rozszerzyć na inne kolory fordów escortów, a w późniejszej kolejności na jasnoniebieskie samochody innych marek. Wszystko to mogło trwać miesiące, a w każdym razie tygodnie.

Jack Morton z kolejnym odbitym na ksero kawałkiem listy w kieszeni odwiedził lekarza i poskarżył się na opuchliznę stóp. Lekarz uznał, że przyczyną jest zbyt intensywne chodzenie w tanim, nie trzymającym właściwie stopy obuwiu. Tyle, to Morton wiedział sam. Miał za sobą już tak wiele rozmów z potencjalnymi podejrzanymi, że zlewali mu się w jedną masę. Wszyscy wyglądali tak samo i wszyscy tak samo się zachowywali: nerwowo, poważnie i niewinnie. Gdybyż tylko Dusiciel zechciał popełnić jakiś błąd. Jak dotąd nie było właściwie żadnych poszlak godnych uwagi. Morton podejrzewał, że pomysł z samochodem też okaże się fałszywym tropem. Ani śladu jakichkolwiek poszlak. Przypomniawszy sobie te anonimy do Johna. „Pełno wszędzie poszlak”. Czy w tej sprawie też tak może być? Czy to możliwe, że poszlaki są zbyt oczywiste lub zbyt abstrakcyjne, by móc je zauważyć? Rzadko – niesłychanie rzadko – zdarzało się śledztwo w sprawie o morderstwo, w którym nie byłoby jakiegoś punktu zaczepienia, jakiejś wyraźnej poszlaki, tyle że gdzieś ukrytej i czekającej na zauważenie. Ale niech mnie szlag trafi, pomyślał, jeśli wiem, gdzie jej szukać w tym dochodzeniu. Głównie dlatego poszedł do lekarza – w nadziei, że uzyska wyrazy współczucia i kilka dni zwolnienia. A Rebusowi znów się udało, cholernemu szczęściarzowi. Morton zazdrościł Rebusowi jego choroby.

Zaparkował przed wejściem do biblioteki na podwójnej żółtej linii i wszedł do środka. Ogromny hol wejściowy przypomniawszy mu czasy, kiedy sam jako dziecko korzystał z biblioteki i przychodził tu, ściskając pod pachą książki z obrazkami wypożyczone z działu dziecięcego. Wtedy ten dział był na dole. Ciekawe czy tak zostało. Dostawał od matki pieniądze na autobus i przyjeżdżał do śródmieścia, oficjalnie po to, by wymienić książki w bibliotece, ale tak naprawdę, by przez godzinę lub dwie powłóczyć się po ulicach i posmakować życia, które go czeka, kiedy dorośnie i będzie naprawdę wolny. Miał zwyczaj wypatrywać amerykańskich turystów i podglądać ich butną pewność siebie i ich pękate portfele oraz takie same brzuchy. Widział, jak obfotografowują pomnik Greyfriars Bobby [Greyfriars Bobby – pomnik szkockiego teriera, który po śmierci swego pana, policjanta Johna Graya, przez 14 lat warował przy jego grobie.] na kościelnym dziedzińcu. Sam wielokrotnie go oglądał, ale niczego szczególnego nie odczuwał. Znał z lektury historię Sygnatariuszy [Chodzi o Sygnatariuszy Porozumienia Kościelnego z 1638 roku wymierzonego przeciwko obcym (angielskim) wpływom religijnym.] i diakona Brodie, czytywał o publicznych egzekucjach na High Street i z zadumą myślał o mieście i kraju, w którym przyszło mu żyć. Potrząsnął głową, by uwolnić się od wspomnień, i podszedł do stoiska informacji.

– Dzień dobry panu.

Odwrócił się i zobaczył dziewczynkę, a właściwie młodą kobietę, stojącą obok z książką przyciśniętą do drobnych piersi. Zmarszczył czoło.

– To ja, Samantha Rebus.

Oczy rozwarły mu się szeroko ze zdumienia.

– Boże jedyny, rzeczywiście. No, no. Ależ wyrosłaś od czasu, kiedy cię ostatni raz widziałem. Musiało to być rok albo i dwa temu. Co u ciebie?

– Wszystko w porządku, dziękuję. Jestem tu z mamą. A pan służbowo?

– Coś w tym rodzaju. – Morton czuł, jak świdruje go wzrokiem. Mój Boże, oczy ma zupełnie jak ojciec.

Wyrażna spuścizna po Rebusie.

– A co słyhać u taty?

Powiedzieć jej, czy nie mówić. Właściwie, dlaczego nie? Z drugiej strony, dlaczego ma się dowiadywać od niego?

– Wszystko w porządku, o ile mi wiadomo – powiedział, mając świadomość, że to prawda tylko w siedemdziesięciu procentach.

– Idę do działu młodzieżowego. Mama siedzi w czytelni, ale tam jest strasznie nudno.

– To chodźmy razem. Właśnie tam się wybierałem.

Uśmiechnęła się do niego i do myśli snujących się po jej nastoletniej głowie, a Jack Morton pomyślał, że chyba jednak nie jest podobna do ojca. Jest na to zbyt miła i zbyt dobrze wychowana.

Policji zgłoszono zaginięcie czwartej dziewczynki. Wynik końcowy był praktycznie przesądzony. Żaden bukmacher nie przyjąłby zakładu.

– Musimy wykazać się wyjątkową czujnością – podkreślił Anderson. – Dziś wieczorem włączamy do akcji dodatkowe siły. Pamiętajcie – obecni na odprawie policjanci sprawiali wrażenie znużonych i zniechęconych – że jeśli zamorduje tę ofiarę, to będzie chciał się pozbyć ciała, więc jeżeli uda nam się go na tym przyłapać, albo ktoś go zauważy – wystarczy jeden świadek – to już jest nasz. – Anderson wałnął pięścią w otwartą dłoń, jednak nikogo to zbyt nie porwało. Jak dotąd Dusicielowi udało się z powodzeniem pozbyć trzech ciał w trzech różnych rejonach miasta: Ogangs, Haymarket, Colinton. Przecież policja nie może być wszędzie (choć mieszkańcom ostatnio zdawało się, że tak jest), choćby nie wiadomo jak się starała. – I tak jak przedtem – ciągnął inspektor, zerkając do akt – to ostatecznie uprowadzenie wydaje się nie mieć żadnych cech łączących je z wcześniejszymi przypadkami. Ofiara nazywa się Helen Abbot. Ma osiem lat, więc jak widzicie, jest młodsza od pozostałych. Jasnobrązowe włosy do ramion. Widziana po raz ostatni w towarzystwie matki w sklepie na Princes Street. Matka mówi, że w pewnym momencie dziewczynka po prostu znikła. Chwilę wcześniej była obok, chwilę później już jej nie było, podobnie jak ofiara numer dwa.

Analizując to po czasie, Gill Templer doszła do wniosku, że to bardzo dziwne. Przecież niemożliwe, by dziewczynki uprowadzono wewnątrz sklepów. Coś takiego zapewne nie obyło się bez krzyków i bez świadków. Ktoś zeznał, że dziewczynkę z opisu przypominającą Mary Andrews – ofiarę numer dwa – widział wchodzącą po schodach prowadzących od Galerii Narodowej na The Mound [sztuczna grobla w centrum Edynburga służąca jako popularny deptak.]. Szła sama i wyglądała na uradowaną. A jeśli tak, pomyślała Gill, to znaczy że się urwała matce. Tylko dlaczego? Czyżby na jakies potajemne spotkanie z kimś, kogo znała i kto okazał się jej mordercą? Jeśli tak, to należałoby przyjąć, że wszystkie ofiary znały swego mordercę, a zatem musiało istnieć coś, co wszystkie je łączyło. Chodziły do różnych szkół, miały różnych przyjaciół, były w różnym wieku. Cóż więc mogło być tym wspólnym elementem łączącym wszystkie dziewczynki?

Poddała się, kiedy rozboleła ją głowa. Ponadto dojechała właśnie do ulicy Johna i co innego miała teraz na głowie. Wysłał ją tu po czyste rzeczy, żeby mieć się w co ubrać, kiedy go wypiszą ze szpitala. Poprosił też, by sprawdziła, czy nie czeka na niego jakaś pilna korespondencja i czy działa centralne ogrzewanie. Dał jej klucz do mieszkania i kiedy teraz wchodziła na klatkę schodową, poczuła więź łączącą ją z Reusem. Ciekawe, czy wyjdzie z tego ich związku coś poważnego. Był fajnym człowiekiem, tylko trochę znerwicowanym i zamkniętym w sobie. Ale może właśnie to ją w nim pociągało.

Otworzyła drzwi i zgarnęła korespondencję z podłogi przykrytej wykładziną dywanową, po czym szybko rozejrzała się po mieszkaniu. Stając przed drzwiami sypialni, przypomniała sobie namiętność, jaka owładnęła nimi tamtej nocy, a której woń wciąż zdawała się wisieć w powietrzu.

Płomyk w piecu centralnego palił się. Zdziwił się, jak mu to powie. Ależ ma tu mnóstwo książek. Nic dziwnego, przecież jego żona była nauczycielką angielskiego. Podniosła kilka z podłogi i ustawiła na pustej półce regału. W kuchni zrobiła kawę i usiadła, by ją wypić i rzucić okiem na korespondencję. Jeden rachunek, jedna ulotka reklamowa i jeden list zaadresowany na maszynie i wysłany w Edynburgu trzy dni temu. Wsadziła wszystko do torebki i poszła poszukać mu czegoś do ubrania. Zauważyła, że pokój Samantha wciąż jest zamknięty na klucz. Wspomnienia bezpiecznie trzymane pod kluczem. Biedny John.

Jim Stevens miał o wiele za dużo do roboty. Dusiciel z Edynburga stał się tematem przesłaniającym wszystko inne. Nie można było pozwolić sobie na odpuszczenie tego drania, nawet jeśli człowiekowi zdawało się, że ma coś ważniejszego do zrobienia. Stevens miał do pomocy jeszcze trójkę reporterów, z którymi pisał codzienne notatki i obszerniejsze artykuły. Temat okrucieństwa wobec dzieci był w dzisiejszej Wielkiej Brytanii także tematem na

dzień jutrzejszy. Dotychczasowe ustalenia były wystarczająco przerażające, jednak jeszcze bardziej przerażające było pozornie beczynne oczekiwanie na pojawienie się kolejnej ofiary, czekanie na następne zaginięcie. Edynburg opustoszał niczym miasto-upiór. Dzieci trzymano w domach, a wypuszczone przemykały strachliwie po ulicach jak ścigane zwierzęta. Stevens chciałby móc poświęcić więcej czasu i uwagi sprawie narkotykowej, coraz bogatszemu materiałowi z nią związanemu i podejrzanych powiązaniach z policją. Chciałby, ale nie wystarczało mu na to czasu. Przez cały czas miał na głowie Toma Jamesona, który kręcił się po redakcji i bez przerwy go poganiał. „Gdzie ten artykuł, Jim?” „Najwyższy czas, żebyś zaczął na sobie zarabiać, Jim”. „Kiedy następna konferencja prasowa, Jim?” Pod koniec każdego kolejnego dnia Stevens czuł się mocno wypalony. Uznał więc, że śledztwo w sprawie Rebusa trzeba chwilowo zawiesić. Było to wyjątkowo niefortunne, zaangażowanie bowiem wszystkich sił policyjnych w sprawę morderstw zostawiało wolne pole dla innych przestępstw, w tym także dla handlu narkotykami. Dla edynburskiej mafii musiał to być teraz okres żniw. Wykorzystał w druku cynk na temat „burdelu” w Leith, mając nadzieję, że w zamian ostaną mu dostarczone jakieś nowe informacje, jednak wyglądało na to, że szefowie narkotykowi nie kwapią się do podjęcia takiej współpracy. No to pieprzyć ich. Jeszcze przyjdzie jego pora.

Kiedy zjawiła się na oddziale, Rebus pochłonięty był czytaniem Biblii, dostarczonej na jego życzenie przez szpital. Kiedy prośba dotarła do siostry oddziałowej, przyszła do niego i spytała, czy życzy sobie księdza lub pastora, jednak zdecydowanie odmówił. Miał wszystko, czego potrzebował, wybierając sobie co ciekawsze fragmenty ze Starego Testamentu i odświeżając w pamięci potęgę ich moralnego przesłania. Przeczytał historie Mojżesza, Samsona i Dawida, a potem przeszedł do Księgi Hioba. Z niej popłynęła do niego siła, z jaką nigdy wcześniej się nie zetknął.

*Gdy nagła powódź zabija
drwi z cierpień niewinnego
ziemię dał w ręce grzeszników
sędziom zakrywa oblicza
Jeśli nie On – to kto właściwie?*

*Jeśli zapomnę o męce
odmienię, rozjaśnię oblicze
drzę na myśl o cierpieniu
pewny że mnie nie uwolni.
Jestem grzesznikiem, przyznaję
więc po co się męczę na próżno
choćbym ługiem umył swe ręce.*

Rebus poczuł dreszcz na plecach, choć w sali szpitalnej było aż nazbyt gorąco, a jego wyschnięte gardło domagało się wody. Uniósł głowę, by nalać sobie do plastikowej szklanki trochę letniej cieczy i wtedy zobaczył zbliżającą się do niego Gill, której obcasy tym razem nieco mniej hałasowały. Szła z uśmiechem na twarzy, wnosząc z sobą na salę nieco optymizmu. Kilku pacjentów popatrzyło na nią z uznaniem. Rebus poczuł radość, że już dziś stąd wychodzi. Odłożył Biblię i ucałował Gill w kark.

– Co tam masz?

Wziął od niej paczkę i znalazł w niej ubranie na zmianę.

– Dzięki – powiedział. – Bałem się, że ta koszula będzie zbyt brudna.

– I była. – Roześmiała się i przyciągnęła krzesło do łóżka. – Nie tylko ona. Musiałam wszystkie twoje rzeczy wyprać i wyprasować. Bez tego mogłyby stać się groźne dla zdrowia.

– Jesteś aniołem – powiedział i odłożył paczkę na bok.

– A propos aniołów, co czytałeś w księdze? – Stuknęła palcem w czerwoną sztuczną skórę, w którą obłożona była Biblia.

– Nic specjalnego. Akurat Księgę Hioba. Kiedyś już czytałem Biblię, bardzo dawno temu. Ale teraz wydaje mi się bardziej przerażająca. Człowiek, który zaczyna wątpić, który występuje przeciwko Bogu, który oczekuje odzewu i który go otrzymuje. „Bóg dał ziemię w ręce grzeszników”, mówi Hiob w pewnym momencie, a potem

stwierdza: „Więc po co się męczę na próżno?”

– To ciekawe. Ale jednak mimo to nadal się męczysz?

– Tak, i to jest właśnie niezwykłe.

Podjechał wózek z herbatą i pielęgniarka podała Gill kubek. Postawiła też talerz herbatników.

– Przyniosłam ci korespondencję z mieszkania, a tu jest klucz. – Wyciągnęła w jego kierunku pojedynczy kluczyk yale, jednak on przecząco potrząsnął głową.

– Zatrzymaj go – powiedział. – Mam drugi.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– No dobrze – odparła w końcu. – Zatrzymam. Dzięki. – Podała mu trzy listy zabrane z mieszkania. Przejrzenie ich zajęło mu moment.

– Widzę, że zaczął je teraz wysyłać pocztą – stwierdził Rebus, rozrywając kopertę. – Ten facet mnie zadreńczy. Nazwałem go pan Supeł. Mój osobisty wariat.

Gill z zainteresowaniem patrzyła, jak Rebus czyta list. Tym razem był nieco dłuższy niż zwykle.

WCIAŻ NICZEGO SIĘ NIE DOMYŚLASZ, PRAWDA? NIC CI NIE PRZYCHODZI DO GŁOWY. MASZ W GŁOWIE PUSTKĘ. A PRAWIE JEST JUŻ PO WSZYSTKIM, PRAWIE PO WSZYSTKIM. I TYLKO NIE MÓW, ŻE NIE DAŁEM CI SZANSY. TEGO NA PEWNO NIE MOŻESZ POWIEDZIEĆ. PODPISANO

Rebus wyciągnął z koperty krzyżyk zrobiony z zapalek.

– Aha, więc dziś, jak widać, mamy pana Krzyżyka. No cóż, dzięki Bogu, że jest już prawie po wszystkim. Pewnie mu się znudziło.

– Co to wszystko znaczy, John?

– Nie mówiłem ci o tych anonimach? To nic rewelacyjnego.

– Od jak dawna je dostajesz? – Po obejrzeniu listu, Gill przyglądała się teraz kopercie.

– Od sześciu tygodni. Może ciut dłużej. A bo co?

– Tyle tylko, że ten list nadano w dniu, w którym zaginęła Helen Abbot.

– Mhm? – Rebus wyciągnął rękę po kopertę i popatrzył na stempel pocztowy. Było na nim napisane: „Edynburg, Lothian, Fife, Pogranicze”. No cóż, dość duży teren. Znow przez głowę przemknął mu Michael.

– Pewnie nie pamiętasz dat, kiedy dostałeś poprzednie listy, co?

– Gill, do czego zmierzasz? – Popatrzył na nią i nagle miał przed sobą wpatrzoną w siebie badawczo twarz profesjonalnej policjantki. – Gill, na litość boską. Ta sprawa już nas wszystkich wytrąciła z równowagi. Zaczynamy wszędzie szukać upiorów.

– Jestem ciekawa, to wszystko – stwierdziła i ponownie przeczytała list.

Nie był napisany przez typowego świra, to nie był świrowaty styl. To ją najbardziej zaniepokoiło. Po zastanowieniu Rebus doszedł do wniosku, że chyba rzeczywiście listy pojawiały się równocześnie z kolejnymi zniknięciami. Czy znaczyło to, że cały czas miał pod nosem coś, co w jakiś sposób łączyło się z morderstwami? Czy znaczyło to, że był ślepy i przez cały czas miał klapki na oczach jak dorożkarski koń? Albo to, albo wszystko jest jakimś strasznym zbiegiem okoliczności.

– To tylko zbieg okoliczności, Gill.

– To powiedz mi, kiedy dostałeś te poprzednie listy.

– Nie pamiętam.

Nachyliła się nad nim, a przez szkła okularów jej oczy wydały mu się ogromne. Powiedziała spokojnym tonem:

– Czy ty coś przede mną ukrywasz?

– Skąd!

Wszyscy pacjenci na sali popatrzyli w kierunku jego zduszonego krzyku, a on poczuł jak policzki nabierają rumieńców.

– Nie – powiedział szeptem. – Niczego przed tobą nie ukrywam. A w każdym razie...

Tylko właściwie, skąd pewność? W ciągu tych lat aresztował tylu ludzi, tylu z nich postawił zarzuty, tyle razy się pomylił, narobił sobie tylu wrogów. Chyba by go żaden z nich tak nie prześladował? No chyba nie.

Z kartką i piórem w ręku przeglądali kolejne anonimy: data, treść, sposób dostarczenia. Gill zdjęła okulary i z westchnieniem roztarła sobie grzbiet nosa.

– To zbyt dużo jak na zbieg okoliczności, John.

W głębi duszy czuł, że ma rację. Wiedział, że pozory mylą i że nic nie dzieje się przypadkowo.

– Gill – powiedział po dłuższej chwili milczenia i uniósł kołdrę. – Wynośmy się stąd.

W czasie jazdy samochodem próbowała rozbudzić jego wyobraźnię pytaniami. Kto to może być? Co ich może łączyć? Dlaczego właśnie on?

– O co ci chodzi?! – wrzasnął w końcu. – Jestem podejrzany, czy jak?

Spojrzała mu głęboko w oczy, jakby starając się dotrzeć do ukrytej w głębi prawdy. Była rasową policjantką, a dobry policjant nie ufa nikomu. Patrzyła na niego jak na uczniaka, który został skarcony, ale który wciąż jeszcze chowa w zanadrzu jakieś sekrety i wciąż ma jeszcze grzechy do wyznania. Wyspowiadaj się, chłopcze.

Gill wiedziała, że na razie jest to tylko przeczucie, nie mające oparcia w faktach. Ale jednocześnie czuła, że coś w tym jest, że być może za tymi płonącymi oczami coś się kryje. Nie takie rzeczy widywała już podczas tylu lat służby w policji. Rzeczy o wiele dziwniejsze dzieją się na okrągło. Prawda jest zawsze dziwniejsza od fikcji, nikt nigdy nie jest całkowicie niewinny. Stąd ten wyraz winy na twarzy każdego przesłuchiwanego, obojętnie kogo. Każdy ma zawsze coś do ukrycia. Najczęściej jakieś drobiazgi, dodatkowo jeszcze rozmyte przez upływ lat. Żeby móc się dobrać do tego rodzaju przestępstw, trzeba by mieć Policję Myśli. Ale gdyby John... gdyby John Rebus miał być w jakiś sposób zamieszany w cały ten dramat, to wówczas... To było zbyt absurdalne, by nawet o tym myśleć.

– Oczywiście, że nie jesteś podejrzany – oznajmiła – ale z tego może wyniknąć coś ważnego, nie uważasz?

– To już zostawmy Andersenowi, niech on się tym martwi – odparł i zamilkł. Gill zaś czuła, że dygoce.

I wtedy przyszło jej coś do głowy: a jeśli on sam do siebie pisze te listy?

Poczuł ból w ramionach, ale spojrzał w dół i stwierdził, że mała przestała już walczyć. Nadchodzi taki błogosławiony moment, w którym odechciewa się już żyć i w którym umysł i ciało przyjmują to do wiadomości. To wspaniały moment błęgiego spokoju, najpiękniejszy i najspokojniejszy moment całego życia. Wiele lat temu on sam próbował popełnić samobójstwo i znał rozkosz tej chwili. Ale potem w szpitalu tak go potraktowali, że nic mu z tego nie wyszło. Przywrócili mu ochotę do życia, a teraz on im się odwdzięcza, wszystkim im się odwdzięcza. Dostrzegął ironię zawartą w historii swego życia, więc zachichotał, zrywając taśmę z ust Helen Abbot, a następnie małymi nożyczkami rozciął jej więzy. Z kieszeni spodni wyciągnął mały aparacik i pstryknął jej jeszcze jedno zdjęcie, coś w rodzaju memento mori. Jeśli go kiedyś złapią, to te zdjęcia staną się dowodem koronnym przeciwko niemu, jednak nigdy nie będą mogli nazwać go zbrojcem seksualnym. Seks nie ma nic wspólnego z tym, co robi; te dziewczynki to tylko pionki, których los był im pisany już z chwilą chrztu. Ale następna i ostatnia będzie tą, o którą naprawdę chodzi. Jeśli tylko się uda, to zajmie się nią jeszcze dzisiaj. Znów zachichotał. Cała ta gra jest jeszcze lepsza, niż kółko i krzyżyk. Przecież wygrywa i tu i tu.

Inspektor William Anderson kochał brać udział w pogoni i miotać się między wskazaniem instynktu a mozolnego śledztwa. Lubił też czuć za sobą poparcie całego wydziału. Rzucając polecenia podwładnym i narzucając im swoje koncepcje i strategię działania, był w swoim żywiole.

Wolałyby oczywiście, żeby Dusiciel był już pod kluczem – to jasne. Nie jest przecież sadystą. Prawo należy respektować. Niemniej, im dłużej to wszystko trwało, z tym większą satysfakcją płał się w oczekiwaniu na sukces, satysfakcją, jaką dawało dowodzenie całą akcją.

Dusiciel czasami zostawiał jednak jakieś ślady, a to było dla Andersona najważniejsze. Najpierw ten niebieski ford escort, teraz nowa teoria, że był kiedyś w wojsku lub wciąż jeszcze w nim jest, oparta na sposobie wiązania węzłów na sznurze używanym do duszenia. Tego rodzaju strzępy informacji w pewnym momencie doprowadzą ich do mordercy i pozwolą go aresztować. A wówczas Anderson będzie przywoził swej ekipie zarówno w sensie fizycznym, jak i psychicznym. Zrobią z nim kolejny wywiad w telewizji, w prasie ukaże się jego następne udane zdjęcie (był dość fotogeniczny). O tak, zwycięstwo będzie słodkie. Pod warunkiem, oczywiście, że Dusiciel nie rozplynie się nagle we mgle, tak jak to się stało z wieloma przestępcami przed nim. Takiej ewentualności w ogóle nie chciał brać pod uwagę; nogi robiły mu się wtedy jak z waty.

Nie to, żeby Rebusa jakoś specjalnie nie lubił. W sumie był z niego niezły gliniarz, może z troszkę zbyt drastycznymi metodami działania. Wiedział też, że przeżywa kryzys w życiu osobistym. Powiedziano mu nawet, że ta kobieta, z którą teraz mieszka jego syn, to była żona Rebusa. Wolał o tym nie myśleć. Kiedy Andy trzasnął drzwiami, opuszczając dom rodzinny, w tym samym momencie jego ojciec wyrzucił go ze swego życia. Jak można w dzisiejszych czasach poważnie traktować pisanie poezji? Toż to kompletna bzdura. A potem jeszcze na dodatek wprowadzić się do żony Rebusa... Nie, to nieprawda, że Rebusa nie lubi, jednak kiedy go zobaczył, jak idzie w towarzystwie tej ładnej rzeczniczki prasowej, poczuł jak mu się coś w żołądku przewraca. Oparł się o krawędź biurka, którego właściciel akurat miał wolne.

– Miło cię znów powitać, John. Dobrze się czujesz?

Anderson wyciągnął ku niemu rękę, więc zaskoczony Rebus musiał ją uścisnąć.

– W porządku, panie inspektorze – odpowiedział.

– Panie inspektorze – zagadnęła Gill Templer – możemy z panem chwilę porozmawiać? Zdarzyło się coś nowego.

– Raptem ślad czegoś nowego – wtrącił Rebus i popatrzył na Gill.

Anderson spojrzał kolejno na oboje.

– Więc chodźmy do mnie – powiedział.

Gill przedstawiła swoją wersję, a Anderson, czując się ważny i chroniony przez swoje biurko, słuchał i od czasu do czasu rzucał spojrzenie na Rebusa, który reagował na nie przepraszającym uśmiechem. Przepraszam, mówił uśmiech, że zwracamy panu głowę.

– A wy, Rebus – powiedział Anderson, kiedy Gill skończyła swoją opowieść – co wy na to wszystko? Czy jest ktoś, taki, kto mógłby chcieć was informować o swoich zamiarach? Chodzi mi o to, czy to możliwe, że Dusiciel zna was osobiście?

Rebus wzruszył ramionami, uśmiechnął się i nie przestawał się uśmiechać.

Jack Morton, siedząc w samochodzie, zrobił notatkę na formularzu raportu „Wizyta u podejrzanego”. Podejrzany przesłuchany. Zachowanie podejrzanego: obojętne, pomocne. Znowu ślepa uliczka, chciałoby się dodać. Jeszcze jedna, kurwa, ślepa uliczka. Zbliżająca się do jego samochodu strażniczka miejska próbowała go przerazić samym spojrzeniem. Westchnął, odłożył długopis i sięgnął do kieszeni po legitymację. Znowu jeden z tych cholernych dni.

Rhona Phillips miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, jako że był koniec maja i strugi deszczu przecinały horyzont jak na obrazie wiejskiego malarza. Pocałowała na pożegnanie swego kędzierzawego kochasia-poetę, siedzącego przez telewizorem i gapiącego się na popołudniowe programy, i wyszła z domu, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczyków do samochodu. Od pewnego czasu odbierała Sammy ze szkoły, mimo iż od szkoły do domu było zaledwie około dwóch kilometrów. Zabierała ją też z sobą w porze lunchu do biblioteki i nie spuszczała

z niej oka. Póki ten szaleniec jest na wolności, nie można ryzykować. Podbiegła do samochodu, wsiadła i zatrzasnęła drzwiczki. Deszcze padające w Edynburgu są jak dopust boży. Moczą ludzi do kości, przesiąkają do budynków i wspomnień turystów. Padają całymi dniami, rozbryzgują się z kałuż stojących na drogach, rozbijają małżeństwa, ziębia, zabijają, są wszechobecne. Typowa treść widokówki wysyłanej z Edynburga przez turystę: „Edynburg jest śliczny. Ludzie raczej z rezerwą. Wczoraj zwiedziłem zamek i widziałem pomnik Scotta. Miasto jest bardzo małe, właściwie miasteczko. Można by je schować w środku Nowego Jorku i nikt by tego nie zauważył. Pogoda mogłaby być lepsza”.

Pogoda mogłaby być lepsza. Oto sztuka eufemizmów w całej krasie. Wstrętny, obrzydliwy deszcz. I jakże typowy w dniu, kiedy ma się wolne. Równie typowy jak kłótnia z Andym, który siedzi teraz nadąsany w fotelu, z nogami podwiniętymi pod siebie. Jeden z tych przeklętych dni. A musi jeszcze dziś wieczór wypełnić arkusze ocen. Bogu dzięki, że już początek egzaminów.

Dzięki temu dzieci w szkole trochę się wyciszą; starsze – bo dopadła je już przedegzaminacyjna trema lub apatia, młodsze – bo po twarzach swych starszych kolegów widzą, co je czeka w przyszłości. Zaczyna się teraz wspaniała pora roku. Niedługo taka sama trema dotyczyć będzie Sammy. Samantha, jak oficjalnie nazywała teraz tę niemal już kobietę. Ją, jako matkę, gryźć będzie inna trema, inne lęki. Lęk przed dojrzewaniem, lęk przed nowymi doświadczeniami.

Siedząc w swoim escorcie, obserwował jak tyłem wyjeżdża spod domu. Doskonale. Teraz musi odczekać jakieś piętnaście minut. Kiedy jej samochód zniknął z pola widzenia, podjechał pod dom i zatrzymał się. Dokładnie przyjrzał się oknom domu. Ten jej fagas na pewno siedzi tam teraz samotnie. Wysiadł z samochodu i podszedł do frontowych drzwi.

Po spotkaniu, które nie zakończyło się żadnymi konkretnymi ustaleniami, Rebus wrócił do sali operacyjnej i rozejrzał wokół. Nie miał pojęcia, że Anderson właśnie w tej chwili zarządza, by go śledzono. Sala operacyjna wyglądała, jakby sama przeszła operację. Każdy kawałek wolnego miejsca był zawalony papierami, niewielki komputer wciśnięto w narożnik sali, a każdy centymetr powierzchni ścian pokrywały rozliczne wykresy i tabele.

– Idę na odprawę – powiedziała Gill. – Zobaczymy się później. Słuchaj, ja myślę, że to jednak ma jakiś związek z tobą. Możesz to nazwać kobiecą intuicją, możesz to nazwać policyjnym „nosem”, możesz to nazwać, jak ci się żywnie podoba, ale potraktuj to poważnie. Przemyśl to. Zastanów się, kto może żywić do ciebie taką urazę. Proszę cię.

Kiwnął głową i patrzył, jak się oddala w kierunku swojego biura w innej części budynku. Rebus właściwie nie wiedział, gdzie teraz jest jego biuro. Cała sala operacyjna wyglądała trochę inaczej, tak jakby poprzestawiano biurka albo je złączono razem. Na biurku obok zadzwonił telefon. Mimo iż na sali było mnóstwo innych ludzi, Rebus podniósł słuchawkę, próbując w ten sposób ponownie włączyć się w śledztwo. W duchu modlił się, by samemu nie stać się przedmiotem śledztwa. Modlił się, zapominając, czym jest modlitwa.

– Sala operacyjna – powiedział do słuchawki. – Detektyw sierżant Rebus przy telefonie.

– Rebus? Co za dziwne nazwisko. – Głos w słuchawce był stary, ale rzeński, i na pewno należał do osoby wykształconej. – Rebus – powtórzył dzwoniący, jakby coś sobie zapisywał. Rebus gapił się na aparat.

– Kto mówi? – spytał.

– Ach tak, moje nazwisko Michael Eiser, przeliteruję: E-I-S-E-R, jestem profesorem literatury angielskiej na uniwersytecie.

– Dzień dobry panu. – Rebus chwycił ołówek i zanotował nazwisko. – Czym mogę panu służyć?

– No cóż, panie sierżancie, myślę, że to bardziej ja będę mógł panu się czymś przysłużyć, o ile oczywiście się nie mylę.

Jeśli to nie jakiś kawał, to Rebus dokładnie wyobrażał sobie dzwoniącego: włosy w nieładzie, muszka pod brodą, wymięty tweedowy garnitur, na nogach stare buty, mówiąc, obficie gestykuluje.

– Widzi pan, interesuję się tematem gier słownych. Nawiasem mówiąc, jestem w trakcie pisania książki na ten temat. Jej tytuł brzmi *Tajniki egzegezy słowotwórstwa transcendentnego*. Dostrzega pan w tym grę słowną? To się nazywa akrostych. Pierwsze litery każdego słowa układają się w inne słowo – w tym przypadku w słowo „test”. Jest to gra tak stara jak cała literatura. Tyle, że w mojej książce zajmuję się przykładami z bliższych nam czasów. Nabokow, Burgess i im podobni. Oczywiście akrostych to tylko jeden drobny fragment z całej masy pomysłów, jakie autorzy stosują, by rozbawić, omamić lub pociągnąć za sobą swych czytelników.

Rebus próbował mu przerwać, ale z równym powodzeniem mógłby starać się powstrzymać szarżującego byka. Musiał więc słuchać, zastanawiając się, czy to znów jakiś wariat i czy nie powinien – ściśle wbrew procedurze – po prostu odłożyć słuchawki. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie. A tył czaszki rozsadzał mu ból.

– ...i chodzi o to, panie sierżancie Rebus, że zupełnie przypadkowo zauważyłem w doborze ofiar tego mordercy pewną prawidłowość.

Rebus przysiadł na krawędzi biurka i ścisnął w dłoni ołówek, jakby chciał go zmiażdżyć.

– Doprawdy? – powiedział.

– No tak. Spisałem sobie tu na kartce nazwiska wszystkich ofiar. Może można było wpaść na to wcześniej, ale dopiero dzisiaj w jednej z gazet zobaczyłem artykuł, w którym wszystkie te biedne dziewczęta wymieniono razem. Bo wie pan, zazwyczaj czytam „Timesa”, ale akurat dziś rano go zabrakło, więc kupiłem jakąś inną gazetę, no i tam to zobaczyłem. Możliwe, że nic z tego nie wynika, może to czysty zbieg okoliczności, ale może akurat nie. To już wy, panowie, będziecie musieli zdecydować. Ja tylko rzucam taki pomysł.

Do sali wkroczył właśnie Jack Morton jak zwykle otoczony chmurą dymu, a dojrawszy Rebusa, zamachał do niego ręką. Wyglądał na padniętego. Wszyscy wokół wyglądali na padniętych, tylko jemu, świeżemu i wypoczętemu po kilku dniach leżenia w szpitalu trafiło się, że musiał odebrać telefon i wysłuchiwać bajdurzenia jakiegoś wariata.

– I co to za pomysł, panie profesorze?

– Nie dostrzega pan? Nazwiska kolejnych ofiar to Sandra Adams, Mary Andrews, Nicola Turner i Helen Abbot.

– Jack doczłapał do Rebusa. – Jeśli te nazwiska potraktujemy jako akrostych – mówił dalej głos – to pierwsze litery układają się w następne imię – Samantha. Więc może to imię następnej ofiary? Ale może to czysty przypadek, doszukiwanie się czegoś tam, gdzie nic nie ma.

Rebus bez słowa rzucił słuchawkę, w sekundę zeskoczył z biurka i chwycił Mortona za krawat. Morton sapnął i papieros wypadł mu z ust.

– Masz tu samochód, Jack?

Wciąż jeszcze lekko się krztusząc, Morton kiwnął głową potakująco.

Jezu Chryste, Jezu Chryste... Więc to wszystko prawda. Więc to wszystko dotyczy jego. Samantha. Wszystkie sygnały, wszystkie poszlaki, wszystkie te morderstwa były jedynie komunikatem dla niego. Jezu Chryste, pomóż. Błagam, pomóż mi.

Jego córka ma być następną ofiarą Dusiciela.

Rhona zauważyła samochód zaparkowany przed domem, ale się nad tym nie zastanawiała. Chciała jak najszybciej uciec z tej ulewy. Podbiegła do drzwi wejściowych, za nią, powłócząc nogami, szła Samantha. Kluczem otworzyła drzwi.

– Ale straszna pogoda! – krzyknęła w kierunku salonu. Zrzuciła z siebie płaszcz i skierowała się do pokoju, z którego wciąż dochodził dźwięk telewizora. Na fotelu przed telewizorem siedział Andy. Ręce miał związane do tyłu, a usta zaklejone wielkim kawałkiem taśmy samoprzylepnej. Na szyi wciąż jeszcze zwisał mu kawałek szpagatu.

Rhona miała właśnie wydobyć z siebie najbardziej przeraźliwy krzyk swego życia, kiedy coś ciężkiego uderzyło ją w tył głowy. Runęła do przodu i padając na nogi martwego kochanka, straciła przytomność.

– Witaj, Samantha – powiedział znajomy głos. Pod maską zasłaniającą jego twarz nie widać było uśmiechu, który na niej zagościł.

Samochód Mortona pędził przez miasto, migając niebieskim światłem, jakby go całe piekło goniło. Po drodze Rebus próbował mu wyjaśnić, co się stało, był jednak zbyt zdenerwowany, by opowieść mogła być w pełni sensowna, a Jack Morton zbyt skoncentrowany na lawirowaniu w ruchu ulicznym, by uważnie jej słuchać. Poprosili przez radio o pomoc: jeden radiowóz do szkoły, na wypadek, gdyby jeszcze tam była, i dwa radiowozy do domu z ostrzeżeniem, że mogą się tam natknąć na Dusiciela. Należy więc zachować maksymalną ostrożność.

Pędząc po Queensferry Road, samochód osiągnął sto pięćdziesiąt na godzinę, potem wykonał szalony skręt tuż przed samochodami nadjeżdżającymi z naprzeciwka i wjechał w pogodnie prezentujące się osiedle, gdzie mieszkała teraz Rhona z Samantha i kochankiem.

– Skręć tu w prawo! – zawołał Rebus, przekrzykując wycie silnika, w myśli rozpaczliwie trzymając się nadziei. Za zakrętem zobaczyli, że przed domem stoją już dwa policyjne radiowozy, a na podjeździe, niemalże symbolizując

daremność ich wysiłków, stoi zaparkowany samochód Rhony.

Chcieli mu dać środki uspokajające, ale nie chciał przyjąć żadnych lekarstw. Chcieli, żeby wrócił do domu, ale ich nie posłuchał. Jak może wracać do domu, jeśli gdzieś tu na górze leży Rhona. Uprowadzenie córki spowodowało, że całe jego życie legło w gruzach, rozpadając się jak domek z kart. Bezustannie krążył po szpitalnej poczekalni. Czuję się dobrze, oświadczył im, w porządku. Wiedział, że Gill i Anderson są gdzieś na korytarzu. Biedny Anderson. Przez brudne szyby okienne widział kręcące się na zewnątrz pielęgniarki. Pokrzykiwały i śmiały się, a ich fartuchy powiewały na zacinającym deszczem wietrze jak w scenie ze starego filmu z Draculą. Jak one mogą się śmiać? Na drzewa z wolna opadała mgła, a roześmiane pielęgniarki, niepomne na cierpienia świata, wtapiały się w tę mgłę, jakby stary Edynburg wysłał je do swojego świata przeszłości i wraz z nimi zabierał cały śmiech.

Robiło się już ciemno i po słońcu schowanym za grubą warstwą chmur pozostało jedynie wspomnienie. Taki koloryt nieba musieli znać dawni malarze tworzący religijne obrazy, musieli z nim obcować na co dzień i odbierać słońce rozświetlające chmury jako widomą oznakę obecności Boga, jako symbol potęgi stworzenia. Ale Rebus nie był malarzem. Jego oczy dostrzegały piękno w słowie drukowanym, nie w naturze. I teraz w tej poczekalni szpitalnej zdał sobie nagle sprawę, że jego całe życie oparte było na doznaniach wtórnych – na przeczytanych cudzych przemyśleniach – kosztem doznań rzeczywistych.

No więc teraz znów miał okazję stanąć z nimi twarzą w twarz: znów był w komandosach, znów był w SAS z twarzą wymiętą zmęczeniem, z bolącym mózgiem, z naprężonym każdym mięśniem.

Poczuł, że znów zaczyna fantazjować i przykleił się dłońmi do ściany, jakby poddając się rewizji. Sammy jest gdzieś tam w rękach szaleńca, a on traci czas na wymyślanie retorycznych figur i metafor. Tak nie można.

Na korytarzu Gill pilnowała Williama Andersona. Jemu też kazano pójść do domu. Lekarz zbadał go po przeżytym szoku i zaproponował, by położył się do łóżka.

– Zostanę tutaj – ze spokojną determinacją odpowiedział Anderson. – Jeśli to wszystko ma jakiś związek z Rebusem, to chcę być w jego pobliżu. Czuję się dobrze, naprawdę. – Ale wcale tak nie było. Czuł się otumaniony, pełen skruchy i mocno w tym wszystkim zagubiony. – Nie mogę w to uwierzyć – zwrócił się do Gill. – Wprost nie mogę uwierzyć, że to był tylko wstęp do uprowadzenia córki Rebusa. To brzmi zbyt fantastycznie. Ten człowiek musi być chory umysłowo. A John musi podejrzewać, kto się za tym wszystkim kryje.

Gill Templer myślała o tym samym.

– Dlaczego on nam nic nie powiedział – mówił dalej Anderson. A potem, bez ostrzeżenia i bez żadnej ostentacji, nagle znów stał się ojcem i zaczął cicho szlochać. – Andy – szepnął. – Mój Andy. – Schował twarz w dłonie i pozwolił, by Gill położyła mu rękę na opuszczonych ramionach.

John Rebus patrzył na zapadającą ciemność i dumał o swoim małżeństwie i swojej córce. O swojej córce Sammy.

Dla tych, którzy czytają między razami.

Co to było, co wyrzucił z pamięci? Co to było, czego jego umysł pozbył się lata temu w trakcie spacerów po brzegu morskim w Fife, po przeżytym załamaniu, kiedy ostatecznie zatrzasnął za sobą drzwi do przeszłości. Jednak okazuje się, że to nie takie łatwe. Niepożądany gość dość długo czekał, nim ponownie zdecydował się wdrzeć w życie Rebusa. Stopa wetknięta w szparę drzwi prowadzących do świadomości. I co mu teraz po tym całym czytaniu? Albo po wierze, choć zawieszona u niego na cieniutkiej nitce? Samantha. Sammy, jego córka. Boże, spraw, by była bezpieczna. Dobry Boże, pozwól jej żyć.

John, ty przecież musisz wiedzieć, kto to jest.

Ale John potrząsnął tylko głową, strząsając łzy na spodnie. Nie wie, nie wie. Pan Supeł. Pan Krzyż. Nazwiska nic już nie znaczą. Supły i krzyże. Przysyłano mu przecież supełki i krzyżyki, kawałki sznurka i zapalki, i jakies brednie, jak je nazwał Jack Morton. I to wszystko. Boże święty.

Wyszedł na korytarz i podszedł do Andersona, który stał tam bez ruchu, jak strzęp człowieka. Obaj mężczyźni objęli się, wzajemnie dodając sobie otuchy; dwaj wrogowie, którzy stwierdzają, że są przecież po tej samej stronie. Uścisnęli się i z oczu obu popłynęły łzy. Znalazło ujście to, co od lat tkwiło w nich zakorkowane. Udawanie, że ludzka niedola ich nie wzrusza i pozostawia obojętnymi. Teraz mogli się wreszcie przyznać: byli ludźmi, takimi jak inni.

Wreszcie, kiedy zapewniono go, że Rhona doznała jedynie pęknięcia czaszki i wpuszczono go do niej na chwilę, by popatrzeć jak leży z maską tlenową na twarzy, Rebus pozwolił się odwieźć do domu. Rhona wyjdzie

z tego. To już coś. Jednak Andy Anderson leży już gdzieś na stole w prosektorium, a lekarze grzebią w tym, co z niego zostało. Biedny pieprzony Anderson. Biedny jako człowiek, jako ojciec i jako gliniarz. Cała sprawa stawiała się nieznośnie osobista. Przybierała znacznie większe rozmiary, niż zakładali. I stawiała się sprawą honoru.

W końcu mieli jego opis od naocznego świadka, niezbyt dokładny, ale zawsze. Jedna z sąsiadek widziała, jak wynosił nieruchomą postać dziewczynki do samochodu. Samochód był w jasnym kolorze, powiedziała. Taki zwyczajny z wyglądu. Mężczyzna z wyglądu też był zwyczajny. Niezbyt wysoki, twarz skupiona. Spieszył się. Specjalnie mu się nie przyglądała.

Andersena wycofano ze sprawy, podobnie jak Rebusa. Teraz sprawa zyskała nowy wymiar: Dusiciel wdarł się do prywatnego domu i dopuścił się w nim morderstwa. Teraz przekroczył już wszelkie granice. Reporterzy i ekipy telewizyjne czatujące pod szpitalem żądały informacji. Komisarz Wallace obiecał zorganizowanie konferencji prasowej. Czytelnicy gazet i wszelkiego autoramentu podglądacze chcieli znać jak najwięcej szczegółów. Sprawa stała się sensacją medialną. Edynburg stał się przestępczą stolicą Europy. Syn szefa wydziału policji zamordowany, córka sierżanta policji uprowadzona, a być może też zamordowana.

Cóż mu pozostało innego, niż siedzieć i czekać na następny list? Mimo wszystko czuł się lepiej we własnym mieszkaniu, bez względu na to, jak ponuro i pusto w nim było, bez względu na to, jak bardzo przypominało mu ono celę więzienną. Gill obiecała, że po skończonej konferencji prasowej go odwiedzi. Pod jego kamienicą będzie stał nieoznakowany samochód policyjny, tak na wszelki wypadek, bo kto wie, na ile osobiste mogą się okazać dalsze działania Dusiciela.

Rebus nie wiedział, że jednocześnie w komendzie odbywa się skrupulatne przeglądanie jego akt osobistych, a cała jego przeszłość jest szczegółowo analizowana. W tej przeszłości musi być gdzieś ślad Dusiciela, po prostu musi.

Oczywiście, że musi. Rebus miał świadomość, że jedynie w jego rękach znajduje się klucz do całej zagadki. Jednak klucz zdawał się być schowany w szufladzie zamkniętej na ten sam klucz. Jedyne co mu zostało, to starać się siłą wyłamać tę zamkniętą w nim przeszłość.

Gill Templer zadzwoniła do brata Rebusa i mimo iż wiedziała, że John będzie z tego niezadowolony, zażądała by Michael natychmiast przyjechał do Edynburga i zajął się bratem. W końcu jest jedyną rodziną Rebusa. W głosie Michaela słychać było przez telefon nerwowość, ale także niepokój. Potem wróciła myślą do akrostychu. A więc jednak pan profesor się nie mylił. Próbowali go teraz odnaleźć, by go szczegółowiej przesłuchać. Też tylko na wszelki wypadek. Pomyślała, że jeżeli Dusiciel potrafił tak to zaplanować, to musiał mieć dostęp do jakiejś listy nazwisk, z której mógł wybierać pasujące mu ofiary, zatem kim on może być? Jakimś pracownikiem administracji publicznej? Nauczycielem? Kimś spokojnie siedzącym przy jakimś komputerze? Było wiele różnych możliwości i wszystkie trzeba będzie po kolei sprawdzić. W pierwszej kolejności Gill zaproponowała przesłuchanie wszystkich mieszkańców Edynburga, których brzmienie nazwisk kojarzy się z supłem albo krzyżem. Był to chybiony strzał, ale jak dotąd wszystko co dotyczyło tej sprawy, przypominało szamotaninę po omacku.

Poza tym miała na głowie konferencję prasową. Dla wygody zorganizowano ją w budynku administracji szpitalnej. Sala była tak wypełniona, że zostały już tylko miejsca stojące pod tylną ścianą. Brytyjscy widzowie i czytelnicy gazet zaczęli już rozpoznawać twarz Gill Templer, po ludzku zatroskaną i pozbawioną uśmiechu. Jej twarz stawiała się równie dobrze znana jak twarze sprawozdawców telewizyjnych i reporterów prasowych. Jednak dziś wieczorem konferencję miał poprowadzić osobiście komisarz. Liczyła na to, że nie potrwa zbyt długo. Chciała odwiedzić Rebusa. A może jeszcze bardziej chciała porozmawiać z jego bratem. Ktoś przecież musi znać przeszłość Johna. Najwyraźniej nigdy nikomu z policji nie opowiadał o przeżyciach w wojsku. Czy więc klucz do zagadki leży właśnie tam? A może w jego małżeństwie? Słuchała głosu komisarza. Aparaty fotograficzne pstrykały, a salę spowijał coraz gęstszy dym.

No i ten Jim Stevens, którego teraz widziała na sali uśmiechającego się półgębkiem, jakby coś wiedział. Gill czuła coraz większy niepokój. Mimo iż pióro w jego dłoni coś pisało w notatniku, przez chwilę nie spuszczał z niej wzroku. Miała w pamięci ten nieudany wieczór, który kiedyś razem spędzili, i ten znacznie bardziej udany wieczór z Johnem Rebusem. Dlaczego wszyscy mężczyźni w jej życiu muszą być tacy skomplikowani? Może dlatego, że to ją pociąga. Ale sprawa morderstw nie stawiała się coraz bardziej złożona. Stawała się coraz prostsza.

Jim Stevens bez specjalnego zainteresowania słuchał przekazywanych przez policję informacji i myślał, jak bardzo ta cała sprawa się komplikuje. Rebus i Rebus, narkotyki i morderstwa, anonimowe listy zakończone

uprowadzeniem córki. Musi dowiedzieć się czegoś więcej, niż wynika to z oficjalnej wersji policji, a najlepsza droga do tego prowadzi przez Gill Templera i dokonanie z nią handlu wymiennego na informacje. Jeśli narkotyki i uprowadzenie są ze sobą powiązane, co wydaje się bardzo prawdopodobne, to znaczy, że jeden z braci Rebus łamie zasady gry. Może Gill Templer będzie wiedziała coś więcej.

Podszedł do niej od tyłu, w chwili gdy opuszczała budynek. Czowała, że to on, ale tym razem sama miała ochotę porozmawiać.

– Cześć, Jim. Podwieźć cię gdzieś?

Uznał, że to dobry pomysł. Może go wysadzić przy pubie, chyba że mógłby się na chwilę spotkać z Rebusem, co oczywiście wolałby zrobić. Nie, to trudno. Wsiadł i ruszyli.

– Ta sprawa z każdą chwilą staje się coraz bardziej tajemnicza, nie uważasz?

Z uwagą prowadziła i wydawało się, że rozważa jego pytanie. W istocie czekała, by się nieco bardziej przed nią otworzył, traktując jej milczenie jako sygnał, że coś przed nim ukrywa, że ma w zanadru coś, czym będzie mogła z nim pohandlować.

– Wygląda na to, że wszystko kręci się wokół Rebusa. To bardzo ciekawe.

Gill wyczuła, że szykuje się do zagrania swojej karty.

– Więc... – ciągnął, zapalając papierosa – nie przeszkodzi ci, jak zapalę?

– Nie – powiedziała spokojnie, choć w środku była jak podłączona do prądu.

– Dzięki. Więc jest to o tyle ciekawe, że Rebus zamieszany jest też w inną sprawę, nad którą aktualnie pracuję. Zatrzymała samochód na czerwonym świetle, ale nawet przez chwilę nie spuściła wzroku z drogi.

– Czy chciałabyś coś usłyszeć o tej drugiej sprawie?

Czy chciałaby? No jasne. Tylko co w zamian...

– Tak, to bardzo ciekawa postać, pan sierżant Rebus. I ten jego brat.

– Jego brat?

– Tak, na pewno o nim słyszałaś, Michael Rebus, ten hipnotyzer. Ciekawa para braci.

– Doprawdy?

– Słuchaj, Gill, wyłóżmy karty na stół.

– Miałam nadzieję, że to zrobisz. – Wrzuciła bieg i ruszyła spod świateł.

– Czy prowadzone jest przeciwko Rebusowi śledztwo w jakiejś sprawie? To chciałbym wiedzieć. Chodzi mi o to, czy wiecie już, kto za tym wszystkim stoi, tylko tego nie ujawniacie?

Teraz spojrzała na niego.

– Tak się nie robi, Jim.

Parsknął.

– Gill, może ty tak nie robisz, ale nie udawaj, że takie rzeczy się nie zdarzają. Po prostu jestem ciekaw, czy może coś słyszałaś, może masz jakieś przecieki z góry. Na przykład coś w rodzaju, że ktoś zawałił sprawę, dopuszczając do tego, co się wydarzyło.

Jim Stevens wpatrywał się teraz bardzo uważnie w jej twarz i strzelał w ciemno, w nadziei, że któryś strzał okaże się celny. Wyglądało jednak, że nie połknęła przynęty. Trudno. Może rzeczywiście nic nie wie. To wcale nie musi znaczyć, że jego teorie są fałszywe. Może to tylko oznaczać, że cała ta rozgrywka przekracza kompetencje Gill.

– Jim, co wiesz o Johnie Rebusie? Bo wiesz, to może być coś ważnego. A jeśli uznamy, że ukrywasz przed nami istotne informacje, to możemy cię wezwać i...

Stevens cmoknął parę razy i pokręcił głową.

– Ale przecież wiemy, że nic z tego, prawda? Po prostu tak się nie robi.

Znów na niego popatrzyła.

– Zawsze mogłabym stworzyć precedens – odparła.

Przyjrzał się jej badawczo. Pomyślał, że właściwie to może by i mogła.

– Tu już wystarczy – powiedział, wskazując ręką przez okno. Popiół z papierosa obsypał mu krawat.

Gill zatrzymała samochód i patrzyła, jak wysiada. Po zatrzasknięciu drzwi wsadził głowę do środka.

– Zawsze możemy zrobić handel wymienny. Znasz mój numer.

Tak, znała jego numer. Dawno, dawno temu zapisał go jej; tak dawno, że teraz znaleźli się już po przeciwległych stronach muru, a ona z trudem go rozumiała. Co on takiego mógł wiedzieć o Johnie? Albo o Michaelu? Jadąc do mieszkania Johna, pomyślała z nadzieją, że może tam się czegoś dowie.

John Rebus przeczytał kilka stron z *Biblii Dobrych Wiadomości*, ale odłożył ją, kiedy zdał sobie sprawę, że nie rozumie tego, co czyta. Potem zaczął się modlić, zasłaniając oczy dłońmi zwiniętymi w pięści. A później chodził po mieszkaniu i kolejno dotykał przedmiotów. Tak samo było przed pierwszym załamaniem, lecz teraz już się nie bał. Niech sobie przychodzi jak chce, wszystko mi jedno. Jego wola walki wyczerpała się. Bez oporu podda się wyrokowi złowrogiemu stwórcy.

Przy drzwiach odezwał się dzwonek. Nie zareagował. Za chwilę pójda sobie i zostawią go w spokoju z jego rozpaczą i bezsilną wściekłością w tym pokrytym kurzem mieszkaniu. Dzwonek zabrzączał ponownie, tym razem bardziej natarczywie. Klnąc na głos, podszedł do drzwi i otworzył. W drzwiach stał Michael.

– John – rzekł. – Przyjechałem najszybciej, jak mogłem.

– Mickey, skąd się tu wzięłeś? – Wpuścił brata do środka.

– Ktoś do mnie zadzwonił, jakaś kobieta. Wszystko mi opowiedziała. To straszne, John. Naprawdę straszne. – Położył rękę na ramieniu brata. Rebusa przeszedł dreszcz i uprzytomnił sobie, że od dawna nie czuł na sobie dotyku drugiego człowieka, braterskiego gestu współczucia. – Na dole zaczęło mnie dwóch goryli. Wygląda, że cię tu pilnie strzegą.

– Taka jest procedura – odpowiedział Rebus.

Może i procedura, pomyślał Michael. Wiedział, że kiedy go tak obmacywali, musiał sprawiać wrażenie wystraszonego i pełnego skruchy. Dużo myślał o tym telefonie, zastanawiając się, czy to nie jakaś pułapka. Wysłuchał lokalnych wiadomości przez radio, w których powiedzieli o uprowadzeniu i morderstwie. Więc jednak to prawda. Wsiadł wtedy w samochód i pojechał jak do jaskini lwa, cały czas mając świadomość, że powinien się trzymać od brata z daleka; wiedział, że go zabiją, jeśli się dowiedzą, i zastanawiał się, czy to uprowadzenie może mieć jakiś związek z nim samym. Czy to może ma być ostrzeżenie dla obu braci? Trudno powiedzieć. A kiedy z mroku klatki schodowej wyłoniło się tych dwóch goryli, pomyślał, że już po nim. Najpierw, że to gangsterzy, którzy chcą go ukatrupić; potem, że to policja, która chce go aresztować. Okazuje się teraz, że ani to, ani to, tylko „procedura”.

– Mówisz, że dzwoniła do ciebie jakaś kobieta? Pamiętasz jej nazwisko? Zresztą nieważne, i tak wiem kto.

Usiedli w salonie. Michael zdjął skózaną kurtkę na baranku i z kieszeni wyciągnął butelkę whisky.

– Przyda się? – spytał.

– Nie zaszkodzi.

Rebus poszedł do kuchni po szklanki, a Michael rozejrzał się po pokoju.

– Ładnie tu – zawołał.

– Trochę za duże, jak na moje potrzeby – rzekł Rebus.

Z kuchni rozległ się szloch. Michael przeszedł do kuchni i zobaczył, że brat pochylony nad zlewem żałośnie płacze.

– John – powiedział, obejmując go – już dobrze. Wszystko będzie dobrze. – Poczul, jak w środku wzbiera w nim poczucie winy.

Rebus obmacał się w poszukiwaniu chustki, znalazł ją, przetań lzy i głośno wysmarkał nos.

– Łatwo ci mówić – parsknął i spróbował się uśmiechnąć. – Poganiin jesteś.

Rozparci w fotelach, gapiąc się w milczeniu na pokryty cieniem sufit, wypili wspólnie pół butelki whisky. Rebus miał zaczerwienione oczy i piekły go powieki. Od czasu do czasu pociągał nosem i wycierał go sobie wierzchem dłoni. Michael poczul się tak, jakby znów byli chłopcami, tyle że ich role się teraz odwróciły. Nigdy nie byli z sobą zbyt blisko, ale w ich stosunkach uczucia zawsze brały górę nad realiami. Dobrze pamiętał kilka bójek z placu zabaw, które John przejmował na siebie. Znów poczul ogarniające go poczucie winy. Przebiegł po nim lekki dreszcz. Powinien koniecznie się wycofać z tej zabawy, tyle że chyba siedzi w niej już zbyt głęboko, a jeśli teraz nieświadomie wciągnął jeszcze w to Johna... Aż strach o czymś takim myśleć. Musi się spotkać z tamtym człowiekiem i wszystko mu wyjaśnić. Tylko jak to zrobić? Nie znał jego adresu ani numeru telefonu. Za każdym razem on kontaktował się z nim, nigdy odwrotnie. Jak się nad tym zastanowić, to wszystko zakrawało na farsę. Albo na koszmar.

– Podobał ci się wtedy mój występ?

Rebus zmusił się, by sięgnąć pamięcią do tamtego wieczoru, do tej wyperfumowanej samotnej kobiety, do

swoich palców zaciśniętych na jej gardle, do sceny, która stała się początkiem jego końca.

– Tak, był ciekawy. – Zdaje się, że go chyba przespał. Nieważne.

Znów zapadła cisza przerywana jedynie odgłosami ruchu ulicznego za oknem i dochodzącymi z oddali pojedynczymi pijackimi wrzaskami.

– Twierdzą, że to ktoś, kto żywi do mnie jakąś urazę – powiedział w końcu Rebus.

– Oo! A jest tak?

– Nie wiem. Na to wygląda.

– Ale przecież, gdyby tak było, to musiałbyś wiedzieć.

Rebus potrząsnął głową.

– W tym rzecz, Michael. Nie pamiętam.

Michael wyprostował się w fotelu.

– Czego mianowicie nie pamiętasz?

– Czegoś. Nie wiem czego. Po prostu czegoś. Gdybym wiedział czego, to by znaczyło, że pamiętam, prawda? Ale w mojej pamięci jest luka. Wiem, że jest. Wiem, że jest coś, co powinienem pamiętać.

– Coś, co dotyczy twojej przeszłości? – Michael uniósł się i lekko pochylił do przodu. Więc może jednak to nie ma nic wspólnego z nim. Może dotyczy czegoś innego, kogoś innego. Poczł przyływ nadziei.

– Tak, przeszłości. Ale nie pamiętam czego. – Rebus potarł sobie czoło, jakby było kryształową kulą, w której szuka odpowiedzi.

Michael sięgnął do kieszeni.

– Mogę ci pomóc, żebyś sobie przypomniał – powiedział.

– W jaki sposób?

– W taki. – Michael trzymał w palcach srebrną monetę. – Pamiętasz, co ci mówiłem. Codziennie przenoszę moich pacjentów do ich poprzedniego życia. Przeniesienie cię do prawdziwej przeszłości z twojego prawdziwego życia powinno być jeszcze łatwiejsze.

Teraz z kolei wyprostował się Rebus. Potrząsnął głową, jakby chcąc oczyścić ją z oparów whisky.

– No to już – powiedział. – Co mam robić? – Człł jednocześnie, że wewnętrzny głos ostrzega: „Nie rób tego, nie chcesz wiedzieć”.

Chciał wiedzieć.

Michael podszedł do niego.

– Rozsiądź się wygodnie. Odpręż się. Nie dotykaj więcej whisky. Tylko pamiętaj, nie każdy jest podatny na hipnozę. Więc nie zmuszaj się. Nie rób nic na siłę. Jeśli ma się udać, to uda się bez względu na to, czy się będziesz starał, czy nie. Wystarczy, żebyś się odprężył, John. Rozluźnij się.

Zadzwoił dzwonek do drzwi.

– Nie zwracaj na to uwagi – powiedział Rebus, ale Michael już zdążył wyjść z pokoju. Z przedpokoju słychać było jakieś głosy, po chwili Michael wrócił do pokoju, a w ślad za nim wkroczyła Gill.

– Coś mi się widzi, że to chyba ta pani od telefonu – oznajmił Michael.

– Jak się czujesz, John? – Na jej twarzy malował się obraz troski i niepokoju.

– W porządku. Posłuchaj, to jest mój brat, Michael. Jest hipnotyzerem. Ma zamiar wprowadzić mnie w trans – tak to się chyba nazywa, prawda, Mickey? – i odblokować moją pamięć. Może powinnaś zrobić jakieś notatki, czy coś w tym rodzaju.

Gill patrzyła na obu braci odrobinę zmieszana. Ciekawa para braci – tak ich nazwał Jim Stevens. Miała za sobą szesnaście godzin pracy, a teraz jeszcze coś takiego. Mimo to uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– A czy dziewczynie nie należy się najpierw coś do picia?

Teraz uśmiechnął się John.

– Poczęstuj się – powiedział. – Do picia jest whisky albo whisky z wodą, albo woda. Dalej, Mickey. Bierz się do roboty. Gdzieś tam jest Sammy. Może nie jest jeszcze za późno.

Michael rozstawił szeroko nogi i lekko pochylił się nad bratem. Wyglądało, jakby chciał go połknąć. Miał wzrok wbity wprost w oczy Rebusa, a jego usta poruszały się, będąc jakby lustrzanym odbiciem ust brata. Tak przynajmniej odebrała to Gill, kiedy nalewała sobie whisky. Michael uniósł do góry monetę i lekko nią obracając, szukał w niej odbicia niskowatowej żarówki oświetlającej pokój. W końcu udało mu się rzucić odbłask na oczy Johna, podczas gdy jego źrenice rozszerzały się i zwężały. Michael był niemal pewien, że brat okaże się podatny. W każdym razie miał taką nadzieję.

– Teraz, John, posłuchaj mnie uważnie. Wsłuchaj się w mój głos. Patrz na monetę. Patrz, jak błyszczy i wiruje. Obserwuj jej wirowanie. Czy widzisz, jak ona wiruje? Odpręż się i słuchaj tego, co mówię. I patrz, jak wiruje, patrz, jak błyszczy.

Przez chwilę wydawało się, że nic z tego. Być może więzy rodzinne spowodują, że John okaże się odporny na głos brata, na moc zawartej w nim sugestii. Ale potem Michael dostrzegł, że wyraz oczu brata zmienia się w sposób dla niewtajemniczonych niedostrzegalny. Ale Michael był wtajemniczony. Ojciec dobrze go wyszkolił. Jego brat zapadał już w niebyt, pociągnięty błyskiem monety przenosił się zgodnie z wolą Michaela. Zdany na jego władanie. Jak zawsze w tym momencie, Michael poczuł na plecach lekki dreszcz: na tym polegała jego władza, władza całkowita i niepodważalna. Mógł ze swymi pacjentami robić wszystko, co chciał, dosłownie wszystko.

– Michael – szepnęła Gill – spytaj go, dlaczego odszedł z wojska.

Michael przełknął ślinę, lekko zwilżając sobie gardło. Tak, to dobre pytanie. Sam chciał o to zapytać.

– John...? John? Powiedz, dlaczego odszedłeś z wojska? Co się stało, John? Dlaczego odszedłeś z wojska? Opowiedz nam o tym.

I powoli, jakby na nowo ucząc się słów zapomnianych lub nigdy nieznanych, Rebus zaczął opowiadać swoją historię. Gill rzuciła się do torebki po długopis i notatnik. Michael powoli sączył whisky.

Oboje słuchali.

Część czwarta

KRZYŻ

Od osiemnastego roku życia służyłem w Brygadzie Spadochronowej, potem jednak postanowiłem przenieść się do Special Air Service. Dlaczego to zrobiłem? Dlaczego w ogóle ktoś jest gotów zgodzić się na obniżenie uposażenia i wstąpienie do SAS? Nie umiem na to odpowiedzieć. Wiem tyle, że znalazłem się w Herefordshire, w obozie szkoleniowym SAS. Nazwałem go Krzyżem, bo wszyscy wokół mnie ostrzegali, że będą tam chcieli mnie ukrzyżować. Rzeczywiście, wraz z pozostałymi ochotnikami w trakcie musztry, szkolenia, sprawdzianów i ćwiczeń przeszedłem piekło. Doprowadzali nas wszystkich do kresu wytrzymałości. Szkolili nas na zabójców.

W tamtych czasach dużo się mówiło o możliwym wybuchu wojny domowej w Ulsterze i o tym, że to na SAS spadnie obowiązek walki z buntownikami. Potem nadszedł dzień promocji. Wręczyli nam nowe berety i nowe odznaki. Byliśmy teraz członkami SAS. Ale na tym się nie skończyło. Do dowódcy wezwano Gordona Reeve'a i mnie. Poinformowano nas, że zostaliśmy uznani za najlepszych rekrutów z całego rocznika. Oznaczało to jeszcze dodatkowe dwa lata szkolenia, ale potem miała nas czekać świetlana przyszłość.

Kiedy wyszliśmy z dowództwa, Reeve powiedział:

– Słuchaj, dotarły do mnie różne pogłoski. Podśluchałem rozmowę paru oficerów. Mają wobec nas wielkie plany, Johnny. Wielkie. Zapamiętaj moje słowa.

Parę tygodni później wysłali nas na kurs przetrwania, w trakcie którego inni mieli za zadanie osaczyć nas i schwytać, a po schwytaniu za wszelką cenę wydobyć z nas szczegóły naszej misji. Musieliśmy sami zdobywać dla siebie pożywienie, chwytając w sidła lub polując na zwierzynę, musieliśmy całymi dniami kryć się przed pościgiem i przemykać ukradkiem nocą po bezludnych wrzosowiskach. Cały program był pomyślany dla nas dwóch, ale tym razem współdziałało z nami jeszcze dwóch innych.

– Wymyślili dla nas coś ekstra – powtarzał ciągle Reeve. – Czuję to przez skórę.

Założyliśmy obozowisko i ledwo zdążyliśmy się wślizgnąć do śpiworów na dwugodzinną drzemkę, kiedy nasz wartownik wsadził nos do szafasu.

– Nie wiem, jak mam wam to powiedzieć – zaczął i zaraz potem wszędzie wokół rozbłyły światła, zaroilo się od uzbrojonych ludzi, nasz szafas został rozwalony, a my dwaj pobici niemal do nieprzytomności. Wokół rozbrzmiewały rozmowy w obcych językach, a twarze napastników skrywał blask pochodni. Cios kolbą w nerki uświadomił mi, że to się dzieje naprawdę. Naprawdę!

Cela, w której mnie zamknięto, też była jak najbardziej prawdziwa. Śmierdziała krwią, fekaliami i nie wiem, czym tam jeszcze. W środku znajdował się tylko śmierdzący materac i żywy karaluch. I to wszystko. Położyłem się na wilgotnym materacu i próbowałem usnąć, bo wiedziałem, że sen będzie pierwszą rzeczą, jakiej będą chcieli nas pozbawić.

Nagle zapalane w celi oślepiająco jasne światło zaczęło wwiercać się w mózg. A potem rozległ się hałas – odgłosy bicia i wrzaski towarzyszące przesłuchiowaniu kogoś w sąsiedniej celi.

– Zostawcie go, wy bydlaki! Łby wam pourybam, skurwiele! – wrzasnąłem.

Zacząłem walić w ścianę pięściami i butami, i po chwili hałasy ucichły. Usłyszałem, jak zatraskują się drzwi i jak obok stalowych drzwi mojej celi ciągną po podłodze czyjeś ciało, potem zapadła cisza. Wiedziałem, że przyjdzie kolej i na mnie.

I tak trwałem, mijały godziny i dni o głodzie i pragnieniu, a za każdym razem, kiedy próbowałem zamknąć oczy ze ścian i sufitu dobywał się przeraźliwy świst podobny do tego, jaki wydaje źle dostrojone radio. Leżałem i zatykałem sobie uszy rękami.

Kurwa mać, kurwa mać, kurwa mać...

Oczekiwano, że pęknę, ale wiedziałem, że jeśli teraz się załamie, to wszystko pójdzie na marne, te miesiące męczarni podczas szkolenia. Więc na głos śpiewałem piosenki i paznokciami wydrapałem na pokrytej pleśnią ścianie celi moje nazwisko w postaci anagramu: BRUSE. W myśli grałem w różne gry, wymyślałem hasła do krzyżówek i jakieś zabawy językowe. Walkę o przetrwanie obracałem w grę. To gra, gra, gra. Wciąż pamiętałem, że niezależnie od tego jak bardzo mnie tu będą dręczyć, wszystko to tylko gra.

Myślałem też o Gordonie, który to przewidział. Rzeczywiście wymyślili dla nas coś ekstra. Reeve był jedynym człowiekiem w całej jednostce, którego mogłem nazywać przyjacielem. Zastanawiałem się, czy to właśnie jego ciało ciągnięto wtedy koło drzwi mojej celi. I modliłem się za niego.

Aż pewnego dnia przyniesiono mi jedzenie i kubek jakiegoś brązowego płynu. Jedzenie wyglądało tak, jakby zdrapali je z dna błotnistej kałuży. Wepchnęli to przez otwór, który na moment pojawił się w drzwiach mojej celi

i równie szybko zniknął. Wyobraziłem sobie, że te zimne pomyje to befsztyk z dwiema jarzynkami po bokach i włożyłem łyżkę tego świństwa do ust, ale natychmiast wyplułem. Maż miała żelazisty smak. Udałem, że wycieram usta rękawem. Byłem pewien, że mnie obserwują.

– Moje gratulacje dla szefa kuchni – zawołałem.

Chwilę później poczułem, że tracę świadomość i usypiam.

Znajdowałem się w powietrzu. Nie było cienia wątpliwości. Siedziałem we wnętrzu helikoptera i czułem pęd powietrza. Powoli odzyskiwałem świadomość, ale kiedy otworzyłem oczy, wokół panowały ciemności. Głowę miałem owiniętą czymś w rodzaju worka, a ręce związane z tyłu. Czułem, jak helikopter opada, znów się wznosi i znów spada.

– Już nie śpimy? – Poczułem szturchnięcie kolbą.

– Nie.

– To dobrze. Więc teraz podaj mi nazwę swojej jednostki i szczegóły misji. Nie będziemy się tu z tobą opierdalać, synku. Więc lepiej nie zwlekaj.

– Odwal się.

– Mam nadzieję, synku, że umiesz pływać. I mam nadzieję, że uda ci się popływać. Bo jesteśmy teraz jakieś sześćdziesiąt metrów nad powierzchnią Morza Irlandzkiego i za chwilę zepchniemy cię z tej pierdolonej kataryny ze związanymi łapami. I walniesz wtedy w wodę jak kurwa, w beton, zdajesz sobie z tego sprawę? Możesz od razu zginać, a może cię to tylko ogłuszyć. I wtedy, synku, rybki cię pożrą żywcem. A twojego ciała nigdy nie znajdą. Czy kapujesz, co do ciebie mówię?

Głos brzmiał oficjalnie i poważnie.

– Tak.

– To dobrze. A więc nazwa twojej jednostki i szczegóły misji?

– Odwal się. – Starłem się, żeby zabrzmiało to chłodno. W statystyce zostanę odnotowany jako jeszcze jeden wypadek śmiertelny podczas ćwiczeń, i żadnych dodatkowych pytań. Rąbnę w powierzchnię morza, tak jak żarówka rzucona o ścianę. – Odwal się – powtórzyłem, dodając w duchu: „To tylko gra, to tylko gra”.

– Wiesz, że to już nie jest gra. Gra się skończyła. Twoi kumple i tak już wszystko wyśpiewali. Jeden z nich, Reeve się chyba nazywa, tak się rozśpiewał, że przy okazji ducha wyzionął. No dobra, chłopcy, do wody z nim.

– Zaczekaj...

– Miłej kąpieli, Rebus.

Poczułem, jak mnie chwytają za nogi i korpus. Ten worek na głowie i gwałtowny podmuch wiatru uderzający wprost we mnie spowodowały, że zacząłem podejrzewać, że jednak nastąpiło jakieś potworne nieporozumienie.

– Zaraz...

Poczułem, że wiszę w powietrzu sześćdziesiąt metrów nad powierzchnią morza, a wokół mnie skrzeczą mewy i domagają się, by mnie puścić.

– Czekać!

– Tak, Rebus?

– Przynajmniej zdejmijcie mi z głowy ten kurewski worek! – wrzasnąłem w rozpacz.

– Puścić tego sukinsyna.

I puścili mnie. Przez sekundę zawisłem w powietrzu, a potem runąłem w dół jak kamień. Byłem związany jak świąteczny indyk. Wrzeszczałem przez sekundę, może dwie, a potem wyrznąłem o ziemię.

Spadłem na twardą ziemię.

Leżałem tak i słyszałem jak obok ląduje helikopter. Dookoła wszyscy się śmiali. Znów było słyhać obce języki. Podnieśli mnie i zawlekli do celi. Byłem teraz wdzięczny za ten worek na głowie. Dzięki niemu nie było widać, że płaczę. Całe moje ciało składało się z rozedrganych sprężynek, macek strachu, adrenaliny i uczucia ulgi, które przesycały mi wątrobę, płuca, serce.

Usłyszałem za plecami trzaśnięcie drzwi, a potem odgłos szurania nogami po podłodze. Czyjeś dłonie zaczęły rozwiązywać więzy. Potem zdjęto mi worek z głowy i przez dobre kilka sekund odzyskiwałem wzrok.

Twarz, którą zobaczyłem, wydała mi się moją własną – a więc jeszcze jedna przekrętka w tej grze. Ale potem rozpoznałem Gordona Reeve’a, w tym samym momencie, kiedy on rozpoznał mnie.

– Rebus? – zapytał. – A oni mi powiedzieli, że ty...

– To samo mnie powiedzieli o tobie. Jak się czujesz?

– W porządku, dobrze. O Jezusie, ale się cieszę, że cię widzę.

Objęliśmy się i poczuliliśmy wzajemnie swój słaby, ale męski uścisk, bijącą od nas woń przeżytych cierpień i naszej determinacji. Obaj mieliśmy łzy w oczach.

– To naprawdę ty – powiedział. – Chyba nie śnię.

– Usiądźmy – odparłem. – Niezbyt pewnie czuję się na nogach.

Naprawdę chodziło mi o to, że to on niezbyt pewnie stał. Opierał się na mnie jak na szczudle. Z wyraźną ulgą usiadł.

– Jak było? – spytałem go.

– Przez jakiś czas trzymałem formę – powiedział i klepnął się po nodze. – Robiłem pompki i różne takie. Ale szybko padłem. Próbowali mnie faszcerować halucynogenami. Miałem jakieś zwiady.

– A mnie próbowali załatwić środkiem odurzającym.

– Te ich prochy to osobny rozdział. A do tego jeszcze polewanie wężem ciśnieniowym. Polewali mnie mniej więcej raz dziennie. Lodowato zimną wodą. Właściwie nigdy nie udało mi się wyschnąć.

– Jak sądzisz, długo tu jesteśmy? – Ciekaw byłem, czy w jego oczach prezentuję się równie źle, jak on w moich. Miałem nadzieję, że nie. Nie wspominał nic o zrzucaniu z helikoptera, więc postanowiłem też to przemilczeć.

– Za długo – odpowiedział. – Wszystko to, kurwa, paranoja.

– Mówiłeś, że wymyślili dla nas coś ekstra. A ja w to nie wierzyłem, Boże, zmiłuj się nade mną.

– Nie to miałem na myśli.

– Ale wyraźnie chodzi im o nas.

– To znaczy jak?

Do tej pory miałem tylko niejasne przeczucie, jednak teraz byłem już tego pewien.

– Pamiętasz, jak ten nasz wartownik wsadził wtedy głowę do szafasu? Na jego twarzy nie było śladu zdziwienia, nie mówiąc już o strachu. Myślę, że od początku tamci dwaj byli w zмовie.

– No to, o co w tym wszystkim chodzi?

Patrzyłem na niego, jak tak siedzi z brodą opartą o kolana. Byliśmy jak dwie bezbronne istoty wyrzucone poza nawias. Pchły nas żarły niczym spragnione krwi wampiry. Poobijane i owrzodzone usta bolały, włosy wypadały, zęby się ruszały. Ale w liczbie siła. I tego nie potrafiłem zrozumieć: dlaczego nas połączyli, skoro każdy z osobna był już na granicy załamania?

– No to, o co w tym wszystkim chodzi?

Może chodzi im o uśpienie naszej czujności pod pozorem względnego bezpieczeństwa, a potem dopiero naprawdę docisną nam śrubę? Póki możemy powiedzieć: „Oto jest najgorsze”, to najgorsze jeszcze nie nastąpiło. Szekspir, Król Lear. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale teraz wiem. Niechaj się stanie.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Ale pewnie się dowiemy, kiedy uznają, że przyszedł na to czas.

– Boisz się? – spytał nagle, a jego wzrok zawisł na zapaćkanych drzwiach naszej celi.

– Może.

– Powinieneś się bać jak cholera. Bo ja się tak boję. Pamiętam jak kiedyś jako dziecko wybrałem się z kumplami nad rzekę koło naszego osiedla. Była mocno wezbrana, bo od tygodnia lało bez przerwy. To było tuż po wojnie i wszędzie dookoła pełno było rozwalonych domów. Poszliśmy w górę rzeki i doszliśmy do takiej rury kanalizacyjnej. Zawsze zadawałem się ze starszymi chłopakami. Sam nie wiem dlaczego. Wszystkie ich zwariowane pomysły zawsze skrupiały się na mnie, ale mimo to się ich trzymałem. Pewnie imponowało mi zadawanie się z takimi, których inne dzieci w moim wieku panicznie się bały. Więc mimo że starsi uważali mnie za śmiecia, to dawało mi to władzę nad tymi młodszymi. Kapujesz?

Kiwnąłem głową, ale on i tak nie patrzył.

– Ta rura nie była specjalnie gruba, ale była długa i wisiała wysoko nad wodą. I oni kazali mi po niej przejść. Chryste, ale się bałem. Byłem tak przerażony, że w połowie drogi nogi się pode mną ugięły i sparaliżowało mnie ze strachu. A potem spodenki mi się zmoczyły i siki pociekły mi po nogach, a oni to zauważyli i zaczęli się śmiać. Ryczeli ze śmiechu, a ja nie mogłem się ruszyć. Więc w końcu mnie zostawili i sobie poszli.

Przypomniał mi się rechot, kiedy mnie zrzucali z helikoptera.

– Zdarzyło ci się coś takiego jako dziecku, Johnny?

– Chyba nie.

– To po jaką cholere się tu w ogóle zgłosiłeś?

– Żeby się wyrwać z domu. Nie mogłem się dogadać z ojcem. Ojciec wolał mojego młodszego brata. A ja czułem się odrzucony.

– Nigdy nie miałem brata.

– Ja też nie, w każdym razie nie w zwykłym tego słowa znaczeniu.

Miałem konkurenta.

Zaraz go wybudzę

Ani się waż

Kiedy nic nam to nie daje

Jedźmy dalej

– A co robił twój ojciec, Johnny?

– Był hipnotyzerem. Brał ludzi na scenę i zmuszał ich do różnych głupot.

– Żartujesz!

– Poważnie. Brat chciał pójść w jego ślady, ale ja nie. Więc się stamtąd wyniosłem. Nie mogę powiedzieć, żeby ich moja decyzja specjalnie obeszała.

Reeve zachichotał.

– Jakbyśmy chcieli się wystawić na sprzedaż, to na etykiecie powinno się napisać: „Lekko przechodzeni”, co nie, Johnny?

Roześmiałem się i śmiałem się dłużej i głośniejsz, niż to było potrzebne, a potem objęliśmy się ramionami i tak trwaliśmy, wzajemnie się grzejąc.

Spaliśmy na jednym materacu, odlewaliśmy się i wypróżnialiśmy na oczach tego drugiego, próbowaliśmy razem ćwiczyć, rozgrywaliśmy jakieś gry umysłowe i wzajemnie się wspieraliśmy.

Reeve miał ze sobą kawałek sznurka i bawił się nim, związał go i rozwijał i wiązał na nim węzły, jakich uczono nas w czasie szkolenia. Dlatego kiedyś opowiedziałem mu historię węzła gordyjskiego. Machnął wtedy ku mnie małym węzełkiem refowym, który wcześniej zawiązał.

– Węzeł gordyjski, węzeł refowy. Gordyjski ref [Gordyjski w języku angielsku to gordian, fonetycznie blisko imienia Gordon. Analogicznie ref – Reeve.]. To brzmi zupełnie jak moje imię i nazwisko, nie?

Dało nam to znów powód do śmiechu.

Grywaliśmy też w kółko i krzyżyk, paznokciami wydrapywaliśmy ruchy na pyłacej ścianie celi. Potem Reeve nauczył mnie sposobu, który w najgorszym razie gwarantuje nierozegraną. Wcześniej musieliśmy rozegrać chyba ze trzysta partii, z których dwie trzecie wygrał Reeve. Sposób był zupełnie prosty.

– Stawiasz swoje pierwsze O w górnym lewym rogu, drugie w przeciwległym rogu. Jest to układ nie do pobicia.

– A jeśli twój przeciwnik postawi swój pierwszy X w tym przeciwległym rogu?

– Jeśli uda ci się zająć pozostałe narożniki, to nadal możesz wygrać.

Reeve wydawał się tym wszystkim bardzo uradowany. Wykonał taniec po celi, a potem łypnął na mnie okiem.

– Jesteś dla mnie zupełnie jak brat, którego nigdy nie miałem.

A potem chwycił moją dłoń i wbił mi paznokieć w ciało tak, że pociekła krew. Następnie zrobił to samo sobie i zetknęliśmy dłonie, pocierając je o siebie i rozmazując krew.

– Bracia na zawsze złączeni krwią – powiedział Gordon, uśmiechając się.

Też się do niego uśmiechnąłem i pomyślałem, że staje się zbyt ode mnie uzależniony i że jeżeli nas rozdziela, to sam nie da sobie rady.

A potem on uklęknął przede mną i jeszcze raz mnie uściśnął.

Gordon stawał się coraz bardziej niespokojny. Codziennie robił po pięćdziesiąt pompek, co było niezwykłym osiągnięciem, zważywszy to, jak nas karmili. I cały czas coś sobie nucił pod nosem. Wyglądało na to, że moja obecność przestaje na niego działać. Znowu gdzieś odpływał, zacząłem więc opowiadać.

Najpierw opowiadałem mu o moim dzieciństwie i o sztuczkach robionych przez ojca, ale potem zacząłem zmyślać, czerpiąc pomysły z przeczytanych książek. W końcu przyszła pora na historię Raskolnikowa, na tę niezwykle umoralniającą opowieść wziętą ze *Zbrodni i kary*. Słuchał tego z zapartym tchem, a ja ciągnąłem ją tak długo, jak tylko się dało. Wymyślałem na nowo całe fragmenty, tworzyłem nowe dialogi i postacie. A kiedy wreszcie dotarłem do końca, on rzekł tylko:

– Opowiedz mi to jeszcze raz.

Więc to zrobiłem.

– John, czy wszystko musiało się tak skończyć? – Reeve siedział w kucki i mazał palcem po podłodze. Ja leżałem na materacu.

– Tak – odparłem. – Myślę, że tak. W każdym razie, tak to zostało napisane. Zakończenie jest od początku z góry przesądzone.

– No właśnie, mnie też się tak zdaje.

Zapadło długie milczenie, potem Reeve odchrząknął.

– Co myślisz o Bogu, John? Bardzo jestem ciekaw.

Powiedziałem mu, podpierając swoją dość naciąganą argumentację opowieściami z Biblii. Gordon Reeve położył się na podłodze i wpatrywał we mnie oczami okrągłymi jak zimą księżyc w pełni. I sprawiał wrażenie okropnie przejętego.

– Nie potrafię w to wszystko uwierzyć – powiedział, kiedy zamilkłem i próbowałem sobie zwilżyć śliną zaschnięte gardło. – Chciałbym, ale nie potrafię. Myślę, że ten Raskolnikow powinien sobie odpuścić i cieszyć się wolnością. Zorganizować spluwę i wszystkich ich załatwić.

Przez chwilę myślałem o tym, co powiedział. Wydało mi się, że jest w tym trochę racji, ale też mnóstwo przemawia przeciwko takiemu rozwiązaniu. Reeve wydawał się mocno zagubiony, jak ktoś, kto wierzy w brak wiary, ale nie jest całkowicie pozbawiony wiary w to, że warto wierzyć.

Co to za brednie?

Ciii.

W którymś momencie, pomiędzy kolejną grą a kolejną opowieścią, położył mi rękę na karku.

– John, jesteście przyjaciółmi, prawda? Takimi naprawdę serdecznymi przyjaciółmi? Bo ja nigdy przedtem nie miałem serdecznego przyjaciela. – Mimo zimna panującego w celi jego oddech był gorący. – Ale my takimi przyjaciółmi jesteście, prawda? Bo wiesz, nauczyłem cię wygrywać w kółko i krzyżyk, nie? – Wyraz jego oczu był teraz bardziej wilczy niż ludzki. Czułem, że to nadchodzi, ale nic nie mogłem poradzić.

W każdym razie do tego momentu. Teraz jednak ogarnąłem wszystko halucynogennym wzrokiem kogoś, kto widział już wszystko, a może jeszcze więcej. Zobaczyłem, że Gordon zbliża twarz do mojej i powoli – tak wolno, jakby się to w ogóle nie działo – składa zdyszany pocałunek na moim policzku, a potem próbuje odwrócić mi głowę, tak by trafić na usta.

I poczułem, że ulegam. Nie, nie, tak nie może być! To niedopuszczalne! Przecież nie o to nam chodziło przez te wszystkie tygodnie, prawda? A jeśli o to, to skończony głupiec ze mnie.

– Tylko pocałunek – wyszeptał – tylko jeden pocałunek, John. Cholera, no chodź.

W oczach miał łzy, bo i on rozumiał, że w ciągu tej jednej sekundy wszystko, co było między nami, wali się w gruzy. Rozumiał, że to oznacza koniec tego, co było. Jednak nie przeszkodziło mu to, by mnie stopniowo odwracać tyłem i dążyć ku poczwarze o podwójnych plecach. (Szekspir, niech będzie). A ja cały dygotałem, ale czułem się dziwnie bezwolny. Było to dla mnie nie do pojęcia, wymykało się spod kontroli. Oczy napełniły mi się łzami i pocięło mi z nosa.

– Tylko jeden pocałunek.

To wina tego przeszkolenia, tego bezlitosnego dążenia za wszelką cenę do wytyczonego, morderczego celu, że teraz znaleźliśmy się w takiej strasznej sytuacji. Więc jednak zawsze we wszystkim kryje się miłość.

– John.

Stać mnie było tylko na uczucie litości dla nas obu, dwóch cuchnących, pozbawionych godności zwierząt ludzkich zamkniętych w pustych ścianach celi. Miałem poczucie klęski i straszliwego upokorzenia. Gordon. Gordon. Gordon.

– John...

Drzwi celi otworzyły się tak łatwo, jakby nigdy nie były zamknięte.

W drzwiach stał jakiś mężczyzna. Na pewno Anglik i na pewno oficer wyższego stopnia. Patrzył na nas z wyraźnym niesmakiem; niewątpliwie słyszał wszystko, a może nawet widział. Wskazał na mnie ręką.

– Rebus – powiedział – zaliczyliście. Jesteście teraz z nami.

Popatrzyłem na niego. Co on mówi? Ale wiedziałem dobrze co.

– Zaliczyliście egzamin, Rebus. Chodźcie. Pójdziecie ze mną. Dostaniecie wszystko, co wam potrzeba. Jesteście teraz z nami. Przesłuchanie waszego... waszego kolegi... trwa nadal. Od tej chwili będziecie też w tym uczestniczyć.

Gordon zerwał się na równe nogi. Wciąż jeszcze stał tuż za mną. Czułem na karku jego gorący oddech.

– Jak to? – powiedziałem. W ustach i w żołądku czułem suchość. Patrząc na tego wypucowanego oficerka, dotkliwie odczuwałem własny brud. Ale to w końcu jego wina. – Znowu jakiś numer. Jestem pewien. Nic panu nie powiem. Nigdzie z panem nie idę. Niczego nie wydałem. Nie złamałem się. Nie możecie mnie teraz odwalić! – Zacząłem krzyżeć, byłem niemal w szoku. Mimo to czułem przez skórę, że on mówi prawdę.

– Rozumiem waszą podejrzliwość, Rebus. Ostatnio dużo przeszliście. Piekielnie dużo. Ale macie to już za sobą. Wcale was nie odwalamy, zaliczyliście test, i to z wyróżnieniem. Nie mamy żadnych wątpliwości, zdaliście egzamin. Jesteście teraz po naszej stronie. Teraz pomożecie nam testować Reeve’a. Wszystko jasne?

Potrząsnąłem głową.

– To jakiś numer – odparłem. Oficer uśmiechnął się ze zrozumieniem. Już wiele razy miał do czynienia z takimi jak ja.

– Słuchajcie, Rebus – powiedział. – Wystarczy, żebyście z nami poszli, a wszystko stanie się jasne.

I wtedy Gordon nagle się ożywił i stanął ramieniem w ramię ze mną.

– Nie! – krzyknął. – Już ci, kurwa, powiedział, że nigdzie nie idzie! Więc spieprzaj stąd. – Potem położył mi rękę na ramieniu i powiedział: – Nie słuchaj go, John. To jakaś podpucha. Te skurwiele wiecznie coś wymyślają.

Widziałem, że jest bardzo poruszony. Oczy miał rozbiegane, usta lekko otwarte. Czułem jego rękę na ramieniu, ale wiedziałem jednocześnie, że moja decyzja już zapadła. Gordon też chyba o tym wiedział.

– Myślę, że decyzja w tej sprawie należy do Rebusa, nie uważacie? – zapytał oficer.

A potem spojrzał mi przyjaźnie prosto w oczy.

Nie muszę już patrzeć na celę ani na Gordona. Cały czas myślałem tylko w duchu: oto kolejna rozgrywka w ramach całej tej gry, po prostu jeszcze jedna partia. Ich decyzja zapadła już dawno. Nie okłamywali mnie, a ja oczywiście chciałem się z tej celi wydostać. Wszystko zostało z góry ustalone. Nic nie dzieje się przypadkowo. Tak mi oświadczyli na samym początku szkolenia. Ruszyłem do przodu, ale Gordon wpił się palcami w strzępy mojej koszuli.

– John – powiedział głosem nabrzmiałym emocją – nie zostawiaj mnie. Błagam.

Jednak ja wyszarpnąłem się z jego słabego chwytu i wyszedłem z celi.

– Nie! Nie! Nie! – Jego wrzaski były pełne rozpacz. – John, nie zostawiaj mnie! Wypuście mnie! Wypuście mnie!

A potem zaczął wyć, a pode mną ugięły się nogi i niemal zwałem się na posadzkę. Było to wycie szaleńca.

Pozwolono mi się wykapać i przebrać, przebadał mnie lekarz, a potem zaprowadzono mnie do pomieszczenia zwanego eufemistycznie salą debriefingów. Przeszedłem piekło – wciąż jeszcze w nim tkwiłem – a oni chcieli sobie ze mną pogawędzić, jakby to wszystko było tylko szkolnym ćwiczeniem, które trzeba omówić.

Było ich tam czterech – trzech kapitanów i lekarz psychiatra. Zaczęli od wyjaśnień. Powiedzieli, że w ramach SAS powstaje nowa elitarna formacja, której głównym zadaniem będzie infiltracja i destabilizacja ugrupowań terrorystycznych. Pierwszym jej celem będzie Irlandzka Armia Republikańska, która w miarę zaogniania się sytuacji w Irlandii staje się coraz poważniejszym zagrożeniem, co może doprowadzić do wybuchu wojny domowej. Ze względu na wagę tego zadania tylko najlepsi – najlepsi z najlepszych – zostaną zakwalifikowani do tej służby, a Reeve’a i mnie uznano za najlepszych z naszego rocznika. I dlatego urządzono tę mistyfikację, uwięziono nas i poddano serii testów, jakich nigdy wcześniej w SAS nie stosowano. Nic z tego, co mówili, właściwie nie było dla mnie żadnym zaskoczeniem. Bardziej myślałem teraz o tych wszystkich pozostałych nieszczęśnikach, nad którymi wciąż jeszcze pastwiono się w ramach tego chorego programu. I wbijano im w głowę, że w razie pojmania nie wolno im pisać, kim są.

A potem przeszli do Gordona.

– Jeśli chodzi o kadeta Reeve’a, to mamy pewne wątpliwości. – Teraz głos miał facet w białym kitlu. – Jest świetnym żołnierzem i każde zadanie wymagające fizycznego wysiłku wykonuje bez zarzutu. Jednak zawsze był samotnikiem, więc umieściliśmy was dwóch w jednej celi, żeby obserwować jego reakcje, kiedy będzie musiał dzielić celę z kimś drugim, a szczególnie potem, kiedy straci kompana i znów zostanie sam.

No to wiedzą o tym pocałunku, czy nie wiedzą?

– I niestety obawiam się – mówił dalej lekarz – że w tym, zakresie wynik może być negatywny. Nauczył się na tobie polegać, uzależnił się od ciebie, czyż nie? Mamy oczywiście świadomość, że w drugą stronę to nie zadziało i ty od niego się nie uzależniłeś.

– A te wrzaski z innych cel?

– Puszczane z taśmy.

Kiwnąłem głową, czując jak ogarnia mnie zmęczenie i zniechęcenie.

– Więc to wszystko było tylko kolejnym testem?

– Oczywiście, że tak. – Wymienili pomiędzy sobą uśmieški. – Ale nie musisz się tym martwić. Masz to już za sobą. Ważne jest to, że zaliczyłeś.

Mimo wszystko czułem jednak niepokój. No bo właściwie jak to? Zamieniłem przyjaźń na prawo do tej przyjaznej pogawędki? Zamieniłem uczucie na cyniczne uśmieški? W uszach wciąż jeszcze miałem wrzaski Gordona. Zemsty, wył wtedy, zemsty! Złożyłem ręce na kolanach, pochyliłem się do przodu i zacząłem płakać.

– Wy skurwysyny – powiedziałem. – Och, wy skurwysyny.

I gdybym miał wtedy broń pod ręką, to podziurawiłbym im te uśmiechnięte mordy.

Potem poddali mnie dalszym badaniom w wojskowym szpitalu, tym razem już dokładniejszym. W Ulsterze rzeczywiście wybuchła wojna domowa, ale ja myślałem wciąż o Gordonie Reeve. Co się z nim stało? Czy wciąż go jeszcze trzymają w tej śmierdzącej celi, i to przeze mnie, w samotności? Czy już się zupełnie załamał? Wszystko to położyło mi się kamieniem na sercu i znów zacząłem płakać. Dali mi pudełko chusteczek higienicznych. Na nic więcej nie było ich stać.

Potem doszło do tego, że płakałem całymi dniami, dostawałem napadów hysterii, wszystko brałem na siebie, wszystko obciążało moje sumienie. Miewałem nocne koszmary. Zgłosiłem chęć odejścia. Wręcz zażądałem, by mnie zwolnili. Z oporami, ale w końcu się zgodzili. Przecież byłem dla nich jedynie świnką morską do testowania. Pojechałem do małej wioski rybackiej w Fife i godzinami laziłem po kamienistej plaży, stopniowo otrząsając się z załamania nerwowego i uwalniając od ciągłego myślenia o tym najstraszliwszym epizodzie mojego życia. Utykałem go kawałkami w kolejnych szufladkach mojego umysłu i próbowałem pozamykać je na klucz, starałem się nauczyć zapomnieć.

Aż w końcu udało się.

Zachowali się wobec mnie przyzwoicie. Wypłacili mi odszkodowanie, a kiedy im powiedziałem, że chcę wstąpić do policji, pociągnęli za wiele różnych sznurków. O tak, nie mogę narzekać na ich stosunek do mnie, kiedy było już po wszystkim, nie mogłem jednak niczego się dowiedzieć o losach mojego przyjaciela, a także zabronili mi dalszych kontaktów z sobą. Dla nich umarłem, zostałem raz na zawsze skreślony.

Nie sprawdziłem się.

I do dnia dzisiejszego się nie sprawdzam. Małżeństwo rozbite. Córka w rękach porywacza. Tyle, że wszystko to teraz nabiera sensu. Przynajmniej wiem, że Gordon żyje, choć zdrowy pewnie nie jest, i wiem też, że to on ma moją córeczkę i że chce ją zabić.

I mnie też, jak się uda.

I żeby ją uratować, ja będę musiał go zabić.

I gdybym mógł, zrobiłbym to bez wahania. Niech mi Bóg wybaczy, ale zrobiłbym to natychmiast.

Część piąta

SUPEŁKI I KRZYŻYKI

Kiedy John Rebus przebudził się po, jak mu się zdawało, wyjątkowo głębokim i pełnym koszmarów śnie, ze zdumieniem stwierdził, że nie leży w łóżku. Zobaczył, że Michael pochyła się nad nim z niepewnym uśmiechem na twarzy, a Gill chodzi po pokoju, przetykając łyżki.

– Co się stało? – spytał.

– Nic – odparł Michael.

Wtedy Rebus przypomniał sobie, że został przez brata zahipnotyzowany.

– Nic?! – krzyknęła Gill. – I ty to nazywasz nic?

– John – powiedział Michael – zupełnie nie zdawałem sobie sprawy z twoich odczuć wobec starego i mnie. Jest mi bardzo przykro, że tak przez nas cierpiełeś. – Michael położył rękę na ramieniu brata, brata, którego przecież w ogóle nie znał.

Gordon, Gordon Reeve. Co się z tobą działo? Cały jesteś obszarpany i brudny, i wirujesz wokół mnie jak tuman kurzu w ulicznym wietrze. I jak brat. I masz moją córkę. Więc gdzie jesteś?

– O Jezus! – Rebus zamknął oczy i opuścił głowę na piersi. Poczł jak dłoń Gill gładzi go po włosach.

Za oknem zaczynało już widnieć. Ptaki zdążyły już rozpocząć swój niezmordowany koncert. Rebus poczuł radość, że ich głosy wzywają go do powrotu do świata rzeczywistego. Przypominają, że w tym świecie zdarzają się też ludzie szczęśliwi. Choćby kochankowie, którzy właśnie budzą się w swoich ramionach, albo ktoś, dla kogo dziś jest pierwszy dzień urlopu, albo staruszka, która składa Bogu podziękowania, że wciąż żyje i może oglądać budzący się do życia świat.

– To była strasznie długa i mroczna noc dla mojej duszy – powiedział, próbując się otrząsnąć. – Okropnie tu zimno. Chyba znowu zgasło w piecu.

Gill wydmuchała nos i złożyła ręce.

– Nie, jest całkiem ciepło. Posłuchaj, John – mówiła powoli i głosem pełnym powagi – potrzebny nam dokładny rysopis tego człowieka. Zdaję sobie sprawę, że będzie to opis sprzed piętnastu lat, ale od czegoś trzeba zacząć. A potem musimy sprawdzić, co się z nim działo po twojej dez... po tym jak go opuściłeś.

– Jeśli te akta w ogóle jeszcze istnieją, to będą utajnione.

– I musimy całą tę historię opowiedzieć szefowi – ciągnęła dalej, jakby nie słysząc jego głosu. Miała wzrok wbity przed siebie. – Musimy znaleźć tego drania.

Rebus miał wrażenie, że w mieszkaniu panuje grobowa cisza, zupełnie jakby ktoś umarł. A przecież naprawdę było to coś w rodzaju narodzin, odrodzenie się jego pamięci. Pamięć o Gordonie. O wyjściu z tej zimnej, koszmarnej celi. O wykręceniu się plecami do...

– Czy jesteś pewien, że ten cały Reeve to ten, o którego nam chodzi? – spytał Michael, nalewając kolejną porcję whisky. Rebus pokręcił głową na wyciągniętą w jego kierunku szklankę.

– Dla mnie nie, dziękuję. W głowie mam zamęt. O tak, myślę, że możemy być zupełnie pewni tego, kto się za tym kryje. Te listy, te supelki i krzyżyki. Teraz to wszystko nabiera znaczenia. To cały czas było zupełnie jednoznaczne. Reeve musi mnie uważać za tumana. Od wielu tygodni wysyłał mi przecież wyraźne wskazówki, a ja nie potrafiłem ich odczytać... i pozwoliłem, żeby te dziewczynki zginęły... A wszystko dlatego, że nie potrafiłem stawić czoła faktom... oczywiście faktom...

Gill podeszła od tyłu i położyła mu ręce na ramionach. Rebus skoczył jak oparzony. Reeve? Nie, to tylko Gill, Gill. Potrząsnął przepaszając głową. A potem wybuchnął płaczem.

Gill popatrzyła na Michaela, ale ten miał wzrok opuszczony. Znowu przygarnęła Rebusa i tym razem nie pozwoliła się odepchnąć. Trzymała go w mocnym uścisku i szeptała, że to ona, Gill, jest obok niego, a nie jakiś upiór z przeszłości.

Michael obserwował to, myśląc z niepokojem, że znowu się w coś wpakował. Nigdy przedtem nie widział płaczącego Johna. Ponownie ogarnęło go poczucie winy. Musi z tym wszystkim skończyć. Już mu to nie jest potrzebne. Schowa się gdzieś w jakąś dziurę i odczeka, aż jego łącznikowi zdzudzi się go szukać, a jego klienci znajdą sobie nowego dostawcę. Zrobi tak, i to nie ze względu na Johna, ale dla własnego dobra.

Traktowaliśmy go jak śmiecia, pomyślał, to prawda. Obaj ze starym traktowaliśmy go jak intruza.

Nieco później, z filiżanką kawy w ręce Rebus wyglądał na uspokojonego, jednak Gill nie spuszczała z niego wzroku i obserwowała go badawczo i z niepokojem.

– Jest jasne, że temu całemu Reeve’owi zupełnie odbiło.
– Być może – powiedział Rebus. – Ale jednego możemy być pewni: na pewno jest uzbrojony i na pewno jest gotów na wszystko. Był komandosem i należał do SAS. Więc jest twardy jak stal.
– Ty też taki byłeś, John.
– I dlatego to ja mam szansę go załatwić. Szef musi to zrozumieć, Gill. Musi mnie przywrócić do sprawy. Gill zacisnęła usta.
– Nie jestem pewna, czy na to pójdzie – rzekła.
– To pieprzyć go. I tak znajdę tego sukinsyna.
– Zrób to, John – powiedział Michael. – Właśnie tak. Nie przejmuj się tym, co ci powiedzą.
– Mickey – odparł Rebus – jesteś teraz najlepszym bratem, jakiego mógłbym sobie wymarzyć. Słuchajcie, jest tu w ogóle coś do żarcia? Umieram z głodu.
– A ja padam z nóg – oznajmił Michael, wyraźnie z siebie zadowolony. – Czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym się tu zdrzemnął z godzinkę czy dwie, zanim ruszę z powrotem?
– Ależ skąd, Mickey, idź się połóż u mnie w sypialni.
– Dobranoc, Michael – powiedziała Gill.
Wychodząc, Michael miał twarz rozpromienioną uśmiechem.

Supelki i krzyżyki. Kółko i krzyżyk. Było to wręcz beczelne z jego strony. Reeve musiał go uważać za pełnego тумana i na swój sposób się nie mylił. Przecież te nie kończące się partie, jakie rozgrywali, te wszystkie sztuczki i pułapki, jakie stosowali, a potem ich rozmowy o religii i te węzły, refowe i gordyjskie. No i Krzyż! Boże, jakież był głupi, tkwiąc w złudnym mniemaniu, że jego przeszłość jest już tylko jak pęknięta i bezużyteczna skorupa, z której wyciekła cała duchowa zawartość. Jakież był głupi.

– John, rozlewasz kawę.

Gill wniosła właśnie z kuchni talerz grzanek z serem. Rebus otrząsnął się.

– Proszę, zjedz to. Dzwoniłam już do komendy. Mamy tam być za dwie godziny. Już rozpoczęli poszukiwania Reeve’a. Powinni go znaleźć.

– Mam nadzieję. Och, Gill, daj Boże, żeby tak było.

Przytulili się. Zaproponowała, by oboje położyli się na kanapie. Zrobili to, nie zwalniając uścisku. Rebus nie mógł się pozbyć myśli, czy ta ponura noc, którą miał za sobą, nie stanie się czymś w rodzaju egzorcyzmu i czy jego przeszłość nie przestanie go już nawiedzać w sytuacjach erotycznych. Miał nadzieję, że tak. Ale oczywiście ani pora teraz, ani miejsce, by się o tym przekonać.

Gordon, przyjacielu, co ja ci zrobiłem?

Stevens był człowiekiem cierpliwym. Obaj policjanci stojący pod domem byli bardzo stanowczy: w tej chwili widzenie się z sierżantem Rebusem jest niemożliwe. Stevens wrócił więc do redakcji, napisał tekst do druku na trzecią w nocy, a potem wrócił pod dom Rebusa. W jego mieszkaniu wciąż paliło się światło, ale przed wejściem sterczało teraz dwóch nowych goryli. Stevens zaparkował po drugiej stronie ulicy i zapalił kolejnego papierosa. Wszystko zaczynało się ładnie splatać. Dwie oddzielne dotąd nitki łączyły się w jedną. Morderstwa i narkotyki wyraźnie coś z sobą łączyło, a kluczem do całości był Rebus. No bo, o czym może o tej porze rozmawiać z bratem? Może omawiają jakiś plan awaryjny. Boże, ile by dał, żeby być teraz muchą na ścianie w tym pokoju. Dałby wszystko. Znał londyńskich reporterów z Fleet Street, którzy stosowali w pracy skomplikowane urządzenia techniczne – pluskwy podsłuchowe na ścianach, super czułe mikrofony wielkiej mocy, podsłuch telefoniczny – i teraz przyszło mu do głowy, czy nie warto by zainwestować trochę pieniędzy w kupno takich urządzeń.

W głowie rodziły mu się nowe teorie, każda z licznymi wariantami. Jeżeli edynburscy handlarze narkotyków wdali się teraz w porwania i morderstwa po to, by napędzić strachu jakimś frajerem, to znaczy, że sprawy przybierają bardzo dramatyczny obrót, a on, Jim Stevens, będzie musiał zachować jeszcze większą ostrożność niż dotąd. Tylko że Byk Podeen mówił, że nic mu o tym nie wiadomo. No to założmy, że na rynku pojawiła się nowa banda, która wprowadza nowe reguły gry. To by oznaczało wojnę gangów w stylu dawnego Glasgow. Tylko że teraz już się chyba tych spraw tak nie załatwia. Chyba nie.

Myślenie pozwalało Stevensowi zachować trzeźwość umysłu i nie usnąć, zwłaszcza że wszystko zapisywał sobie w notatniku. Radio w samochodzie było włączone i co pół godziny słuchał serwisów wiadomości. Nową ofiarą Dusiciela z Edynburga stała się córka policjanta. Przy tej okazji poniósł śmierć męczyzna uduszony w mieszkaniu matki ofiary. I tak dalej. Stevens wciąż wymyślał nowe teorie.

Radio nie podało, że wszystkie morderstwa mają związek z Rebusem. Policja nie miała zamiaru tego ujawniać, przynajmniej na razie.

O siódmej trzydzieści Stevensowi udało się przekupić chłopca roznoszącego gazety, by ze sklepu obok przyniósł mu bułki i mleko. Popijał suche, kruszące się bułki lodowato zimnym mlekiem. W samochodzie miał włączone ogrzewanie, ale mimo to czuł się przemarznięty do szpiku kości. Marzył, by się ogolić, wykapać i parę godzin przespać, niekoniecznie w tej kolejności. Ale był teraz zbyt blisko rozwiązania całej sprawy, by sobie odpuścić. Charakteryzowała go wytrwałość – niektórzy nazwaliby to szaleństwem lub fanatyzmem – typowa dla rasowego reportera. Podczas minionej nocy zauważył innych pismaków, którzy pojawiali się pod domem i byli odsyłani z kwitkiem. Kilku z nich dostrzegło go siedzącego w samochodzie i podeszło, by chwilę pogadać i zwąchać, co jest grane. Wówczas chował notatnik i udawał znużenie, mówiąc, że wkrótce wybiera się do domu. Kłamstwa, wiecznie te cholerne kłamstwa.

Ale one też należały do rytuału.

Wreszcie zobaczył, że wychodzą z budynku. Czekają na nich oczywiście kilka kamer i mikrofonów, ale reporterzy nie zachowywali się zbyt nachalnie – nie było popychania, szarpania i krzyków. Po pierwsze mieli do czynienia ze zrozpaczonym ojcem, po drugie z policjantem, więc nikt nie ważył się go dręczyć.

Stevens widział, jak Gill i Rebus wsiadają bez przeszkód do policyjnego rovera, który czekał z silnikiem na chodzie. Przyjrzał się ich twarzom. Rebus wyglądał na wymęczonego, ale tego można się było spodziewać. Pod oznakami zmęczenia Stevens dostrzegał jednak jakiś wyraz ponurej zawziętości, coś w sposobie zaciśnięcia ust tak, że tworzyły prostą kreskę. To go trochę zaniepokoiło. Wyglądało, jakby Rebus wyruszał na wojnę. Jasna cholera. No i ta Gill Templer. Wyglądała groźnie, groźniej nawet niż Rebus. Oczy miała podkrążone, ale w ich wyrazie też było coś dziwnego. Wyraźnie coś było nie tak. Każdy w miarę rozgarnięty reporter by to zauważył, jeśli tylko umiał patrzeć. Stevens poczuł rosnącą w nim zawziętość. Musi się czegoś więcej dowiedzieć. Ten temat sam w sobie działał jak narkotyk, a jego organizm domagał się coraz silniejszych dawek. Sam przed sobą przyznał z zaskoczeniem, że potrzeba tych zwiększonych dawek nie bierze się z poczucia obowiązku, tylko z chęci zaspokojenia własnej ciekawości. Rebus go intrygował, Gill Templer też go oczywiście interesowała.

No i ten Michael Rebus...

Michael Rebus nie opuścił mieszkania. Cały cyrk już odjeżdżał, policyjny rover skręcał w prawo z cichej uliczki Marchmont, ale obaj goryle pozostali na posterunku. Nowi goryle. Stevens zapalił papierosa i pomyślał, że warto jeszcze raz spróbować. Wrócił do samochodu i zamknął go na klucz. Potem spacerkiem okrążył cały kwartał

układając sobie w głowie nowy plan.

- Przepraszam. Czy pan tu mieszka?
- Pewno, że tu mieszkam. A o co znowu chodzi, co? Spiesz mi się do łóżka.
- Ma pan za sobą ciężką noc, sir?

Mężczyzna z zapuchniętymi od braku snu oczami potrząsnął w kierunku policjanta trzema brązowymi torbami papierowymi. Każda z nich mieściła po sześć bułek.

- Piekarzem jestem. Robię na nocną zmianę. Więc może byście...
- Pańskie nazwisko, sir?

Próbując ominąć policjanta, Stevens zdołał w samą porę odczytać kilka nazwisk przy dzwonekach do drzwi.

- Laidlaw – odpowiedział. – Jim Laidlaw.

Policjant znalazł nazwisko na trzymanej w ręku liście.

- Zgadza się, sir. Przepraszam za kłopot.

- A co jest grane?

- Wkrótce pan się dowie. Życzę dobrej nocy, sir.

Była jeszcze jedna przeszkoda do pokonania i Stevens wiedział, że tu żaden spryt mu nie pomoże. Jeżeli drzwi wejściowe na klatkę są zamknięte, to są zamknięte i na tym koniec. Zdecydowanym ruchem pchnął ciężkie drzwi i poczuł, że się poddają.

Więc ich nie zamknęli. Jego patron w niebiosach miał dziś dla niego odrobinę litości.

W holu wejściowym pozbył się toreb z bułkami i obmyślił dalszy ciąg planu. Ruszył schodami na drugie piętro, gdzie mieszkał Rebus. Klatka schodowa przesiąknięta była smrodem kociego moczu. Stał przed drzwiami Rebusa i starał się złapać oddech. Dostał zadyszki z braku kondycji, ale po części wynikała ona też z podniecenia. Od lat czegoś podobnego nie przeżywał w ramach zbierania materiału do gazety i sprawiało mu to przyjemność. Pomyślał, że w takim dniu wszystko mu ujdzie na sucho. Zdecydowanym ruchem nacisnął dzwonek.

Po dłuższej chwili drzwi otworzył ziewający i zapuchnięty od snu Michael Rebus. A więc stali wreszcie przed sobą twarzą w twarz. Stevens machnął przed nosem Michaela legitymacją. Legitymacja poświadczała, że James Stevens należy do klubu bilardowego miasta Edynburg.

– Detektyw inspektor Stevens, proszę pana. Przepraszam, że wyciągam pana z łóżka. – Schował legitymację do kieszeni. – Pański brat uprzedził mnie, że zapewne będzie pan jeszcze spał, ale mimo wszystko postanowiłem pana niepokoić. Pozwoli pan, że wejdem? Mam tylko kilka pytań. To nie potrwa długo.

Mimo ciepłych skarpetek i tego, że właśnie był początek lata, obaj policjanci mieli stopy zdrętwiałe z zimna. Przystępowali z nogi na nogę i próbowali je nieco rozgrzać. Ich rozmowa kręciła się wyłącznie wokół sprawy uprowadzenia córki policjanta i morderstwa syna jednego z szefów policji, kiedy nagle za ich plecami otworzyły się ciężkie drzwi wejściowe.

– Wciąż tu jeszcze jesteście? Kobita mi mówiła, że pod drzwiami sterczą gliny, ale myślałem, że se jaja robi. Wczora tyż tu byli. To co jest grane?

Był to starszy wiekiem mężczyzna, na stopach miał pantofle, a na piżamę narzucił ciężki zimowy płaszcz. Był na wpół ogolony i brakowało mu zgubionej lub zapomnianej dolnej protezy na zęby. Wychylił się spoza drzwi, nasadzając sobie jednocześnie kaszkiet na łysą czaszkę.

- Nic takiego, czym warto się przejmować, sir. Na pewno wkrótce wszystko się wyjaśni.

– Jak tak, to w porządku. Muszę tylko wyskoczyć do sklepu po gazetę i mleko. Zwykle na śniadanie jemy tosta, ale jakiś frajer zostawił w holu ze dwa tuziny świeżych bułek. No to se pomyślałem, że jak ktoś ich nie chce, to mnie się przydadzą. – Parsknął śmiechem, błyskając przy tym jasną czerwieńią dolnego dąsła. – Może wam coś przynieść ze sklepu?

Ale obaj policjanci patrzyli na siebie w milczącym zdumieniu zmieszonym z przerażeniem.

– Leć na górę – rzekł w końcu jeden z nich do drugiego. A potem zwrócił się do starego. – A pańskie nazwisko, sir?

Stary wyprostował się niemal na baczność, jakby znów był w wojsku.

- Jock Laidlaw – powiedział – melduje się na rozkaz.

Stevens z przyjemnością popijał czarną kawę. Pierwszy ciepły płyn od niepamiętnych czasów. Siedział

w salonie, a oczy biegały mu po całym wnętrzu.

– Cieszę się, że mnie pan obudził – mówił właśnie Michael Rebus. – Muszę wracać do domu.

O tak, na pewno musisz, pomyślał Stevens. To na pewno. Rebus sprawiał wrażenie dużo bardziej rozluźnionego, niż się tego spodziewał. Rozluźniony, wypoczęty, bez żadnych oznak zdenerwowania. Wszystko to stawało się coraz dziwniejsze.

– Więc jak mówiłem, chcę panu tylko zadać kilka pytań.

Rebus usiadł, założył nogę na nogę i też pociągnął łyk kawy.

– Słucham.

– Pański brat przeżył ogromny szok.

– Tak.

– Ale myśli pan, że sobie z tym poradzi?

– Tak.

Stevens udawał, że coś zapisuje w notatniku.

– A noc miał spokojną? Dobrze spał?

– Właściwie to żadne z nas się nie wyspało. Nie wiem nawet, czy John się w ogóle położył. – Michael zmarszczył brwi. – Ale właściwie, to o co chodzi?

– Zwykle rutynowe pytania, proszę pana. Sam pan rozumie. Musimy znać wszystkie szczegóły dotyczące osób zamieszanych w tę sprawę, jeśli mamy jaw ogóle rozwikłać.

– Ale przecież jest już chyba rozwikłana, nie?

Serce skoczyło Stevensowi do gardła.

– Jest? – usłyszał własny głos.

– A co, nie wie pan?

– Tak, oczywiście, tylko że i tak musimy zebrać wszystkie szczegóły...

– Dotyczące osób zamieszanych. Tak, wiem, już pan to raz powiedział. Czy mógłbym jeszcze raz rzucić okiem na tę pańską legitymację? Wie pan, tak na wszelki wypadek.

Dał się słyszeć dźwięk klucza w zamku wejściowych drzwi.

Chryste Panie, pomyślał Stevens, już wrócili.

– Posłuchaj-no – rzucił przez zęby – wiemy wszystko o twoim handelku prochami. Więc albo mi powiesz, koleś, kto za tym wszystkim stoi, albo pójdziesz za kratki na sto lat.

Twarz Michaela przybrała najpierw barwę bładoniebieską, potem szarą. Wydawało się, że usta zaczynają mu się otwierać i że padnie z nich jakieś słowo, to słowo, na które Stevens tak czekał.

Ale w tym momencie jeden z goryli wpadł do pokoju i wyszarpnął Stevensa z fotela.

– Nie skończyłem jeszcze kawy – zaprotestował reporter.

– Będziesz miał szczęście, kolego, jak ci, kurwa, karku nie skręcę – wyszczał policjant.

Michael Rebus podniósł się z miejsca, ale zachował milczenie.

– Nazwisko! – wrzasnął Stevens. – Podaj mi tylko jego nazwisko! Jak odmówisz współpracy, przyjacielu, to wszystko trafi na pierwszą stronę. Podaj mi nazwisko!

Krzyczał tak jeszcze prowadzony w dół po schodach. Aż do ostatniego stopnia.

– No dobra. To idę – powiedział w końcu, wywijając się spod ciężkiej policyjnej ręki na ramieniu. – Troszkę żęście, chłopcy, dali popalić, co nie? Tym razem przemilczę sprawę, ale następnym razem sprężcie się bardziej. Okej?

– Spierdalaj stąd w podskokach – syknął jeden z goryli.

Stevensowi nie trzeba było tego powtarzać. Wsiadł do samochodu, czując w głowie jeszcze większy zamęt i jeszcze silniejszą ciekawość niż dotąd. Boże, ależ był blisko. Tylko co ten hipnotyzer miał na myśli, kiedy powiedział, że sprawa jest już rozwikłana. Czyżby? Bo jeśli to prawda, to chce jako pierwszy znać wszystkie szczegóły. Nie przywykł zostawać tak bardzo w tyle. Zazwyczaj cała gra odbywała się pod jego dyktando. Nie, nie przywykł do czegoś takiego i wcale mu się to nie podobało.

Kochał mieć przewagę.

Tylko jeżeli sprawę już rozwikłano, to zostało mu bardzo mało czasu. Więc jeśli nie udało się wydobyć tego, co trzeba, od jednego brata, należy zwrócić się do drugiego. Pomyślał, że wie, gdzie go może znaleźć. Jego intuicja dziś go nie zawodziła. Czuł w sobie wenę.

– No cóż, John, wszystko to brzmi dość fantastycznie, ale wykluczyć tego nie można. W każdym razie to najlepszy trop, na jaki dotąd się natknęliśmy, choć trudno mi uwierzyć, że ktoś może być tak opętany nienawiścią, że posuwa się do zamordowania czterech niewinnych ofiar, tylko po to, by dostarczyć wskazówek odnośnie do ostatniej ofiary.

Mówiąc to, komisarz Wallace patrzył raz na Rebusa, raz na Gill Templera. Po lewej ręce Rebusa siedział Anderson. Ręce Wallace'a leżały nieruchomo na biurku, przypominając śnięte ryby. Przed nimi leżało samotnie wieczne pióro. Gabinet był duży i przestronny, oaza spokojnej i pewnej siebie egzystencji. W tym gabinecie rozwiązywano wszelkie problemy i podejmowano tylko słuszne decyzje.

– Naszym zadaniem jest znalezienie go. Jeżeli podamy to do publicznej wiadomości, to możemy go wystraszyć i przy okazji narazić na niebezpieczeństwo życia twojej córki. Z drugiej strony, zwrócenie się do społeczeństwa o pomoc daje szansę szybszego odnalezienia go.

– Przecież chyba nie ma pan zamiaru...! – Gill Templer z wszystkich obecnych w gabinecie była najbliższa wybuchu, ale Wallace uciszył ją gestem ręki.

– Na razie tylko głośno myślę, pani inspektor, wrzucam tylko kamyczki do stawu.

Anderson siedział zmartwiony, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Oficjalnie przebywał teraz na urlopie i był w żałobie, jednak uparł się, że chce mimo wszystko uczestniczyć w naradzie, a komisarz Wallace wyraził na to zgodę.

– Oczywiście ty, John – ciągnął Wallace – w żadnym razie nie możesz się dalej zajmować tą sprawą.

Rebus podniósł się z miejsca.

– John, siadaj, proszę. – Spojrzenie komisarza było otwarte, ale twarde, jak przystało na gliniarza z dobrej starej szkoły. Rebus usiadł. – Wiem doskonale, co teraz czujesz, możesz w to wierzyć lub nie. Ale stawka w tej grze jest zbyt wysoka. Zbyt wysoka dla nas wszystkich. A ty jesteś za bardzo emocjonalnie zaangażowany w całą sprawę, by zachować obiektywny osąd. Opinia publiczna natychmiast podniosłaby wrzawę, że stosujemy odwet. Przecież wiesz.

– Ja wiem tylko, że beze mnie Reeve nie zawaha się przed niczym. Jemu chodzi o mnie.

– Otóż to. Więc czy nie byłoby z naszej strony głupotą, gdybyśmy cię podali mu jak na talerzu? Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, i na pewno nie będzie to mniej, niż ty sam byś zrobił. Więc zostaw to nam.

– Od wojska niczego się nie dowiemy. Może pan być pewien, że nic nam nie powiedzą.

– Będą musieli. – Wallace zaczął bawić się piórem, jakby po to właśnie tam leżało. – W końcu u samej góry mają tego samego szefa, co my. Więc zostaną zmuszeni.

Rebus pokręcił głową.

– Oni ustalają własne prawa. SAS nawet nie bardzo podlega armii. Jeśli nie zechcą mówić, to proszę mi wierzyć, nie powiedzą ani słowa. – Rebus uderzył dłonią w blat biurka. – Nawet jednego pieprzonego słowa!

– John. – Dłoń Gill zacisnęła się na jego ramieniu w niemej prośbie, by zachował spokój. Ona sama też wyglądała na mocno poruszoną, umiała jednak zachować milczenie i tylko jej wygląd zewnętrzny świadczył o jej złości i frustracji. Jednak dla Rebusa liczyły się tylko czyny. Zbyt długo pozbawiony był kontaktu z rzeczywistością.

Zerwał się z krzesła i bez słowa opuścił gabinet. Komisarz popatrzył na Gill.

– Gill, on nie zajmuje się już tą sprawą. Trzeba, żeby to do niego dotarło. O ile mi wiadomo – zawiesił głos, a jego dłoń bawiła się otwieraniem i zamykaniem jednej z szuflad – macie się ku sobie. Tak się to w każdym razie nazywało za moich czasów. Więc może zechciałabyś mu wytłumaczyć, gdzie jest jego miejsce. Dostaniemy tego człowieka, ale nie potrzebny nam do tego Rebus, żeby siedział nam na karku i dyszał żądzą zemsty. – Wallace spojrzął na Andersona, który beznamytnie odwzajemnił spojrzenie. – Nie chcemy narazić się na zarzut, że stosujemy taktykę odwetu – mówił dalej. – Nie w Edynburgu. Co by turyści powiedzieli? – Przeniósł wzrok z Andersena na Gill i uniósł się z fotela. – A wszystko to w sumie staje się strasznie...

– Pogmatwane? – podpowiedziała Gill.

– Nie, chciałem powiedzieć „kumoterskie”. No bo zamieszany w to jest i inspektor Anderson, jego syn i żona Rebusa, pani i Rebus, Rebus i ten cały Reeve, Reeve i córka Rebusa. Mam tylko nadzieję, że prasa tego nie wywęszy. Pani odpowiada za to, żeby do tego nie doszło, a ci, którzy się wyłamiają, żeby zostali ukarani. Czy wyrażam się dość jasno?

Gill Templer skinęła głową, tłumiąc jednocześnie nagle ziewnięcie.

– To dobrze. – Komisarz kiwnął głową w kierunku Andersona. – I proszę dopilnować, żeby inspektor Anderson bezpiecznie dotarł do domu.

Rozparty na tylnym siedzeniu William Anderson przeglądał w myśli listę znajomych i przyjaciół. Znał kilku, którzy mogą coś wiedzieć o Special Air Service. Z całą pewnością takiej historii jak ta z Rebusem i Reeve'em, nie dało się całkowicie wymazać z pamięci, choć bardzo możliwe, że wymazano ją z akt. Żołnierze na pewno o tym pamiętają i rozmawiają. Odpowiedzi można znaleźć wszędzie, często tam, gdzie się ich najmniej spodziewamy. Może trzeba będzie jednych trochę postraszyć, innym trochę posmarować, ale choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu, to tego skurwiela odnajdzie.

Albo przynajmniej będzie w pobliżu, kiedy zrobi to Rebus.

Rebus wyszedł z komendy tylnym wejściem, tak jak Stevens przewidywał. Poszedł w ślad za policjantem, który wyglądał na bardzo zgnębionego. O co w tym wszystkim chodzi? Ale nieważne. Dopóki będzie się trzymał Rebusa, dopóty materiał na artykuł ma zapewniony, i to artykuł, który może się okazać prawdziwą sensacją. Stevens dyskretnie zerkał do tyłu, wyglądało jednak, że nikt Rebusa nie śledzi. To znaczy, nikt z policji. Wydawało mu się trochę dziwne, że puszczono samopas człowieka, któremu uprowadzono córkę i którego reakcje trudne były do przewidzenia. Stevens miał jednak nadzieję, że dzięki temu osiągnie swój główny cel: Rebus doprowadzi go do szefów tej nowej siatki narkotykowej. Jak nie jeden brat, to drugi.

Był dla mnie jak brat, a ja dla niego. Więc co się stało? W głębi serca wiedział, gdzie naprawdę leży wina. To te ich perfidne metody, od tego się wszystko zaczęło. Trzymanie w klatce, rwanie charakteru na strzępy, a potem próby łatania szkód. To łatanie im chyba specjalnie nie wyszło. Obaj wyszli z tego po swojemu zdruzgotani. Ale ta świadomość nie powstrzyma go przed skruceniem mu karku. Nic go od tego nie odwiedzie. Tyle że musi tego bydłaka najpierw znaleźć, a nie ma pojęcia od czego to poszukiwanie zacząć. Czuł, jak miasto go wciąga, kładzie mu się na ramiona ciężarem swej historii, dławi go i dusi. Buntowniczość, racjonalność i umiejętności – oto trzy specjalności Edynburga, a teraz on sam będzie musiał się do nich odwołać. Musi zacząć działać samotnie, szybko, lecz metodycznie, wykorzystując przy tym cały swój spryt i pomysłowość. Jednak najbardziej ze wszystkiego potrzebny mu instynkt.

Po upływie pięciu minut wiedział już, że jest śledzony, i poczuł, jak mu na karku włoski stają dęba. To nie zwyczajny policyjny ogon. Tego by tak łatwo nie odkrył. Zatem, czy mógł to być... czy to możliwe, że jest tak blisko... Doszedł do przystanku autobusowego, zatrzymał się i nagle odwrócił. Dostrzegł, jak ktoś raptownie chowa się w bramie. To nie Gordon Reeve. To ten cholerny reporter.

Rebus czuł, jak uspokaja mu się bicie serca, ale w żyłach krążył mu już zastrzyk adrenaliny napawający go chęcią ucieczki, pragnieniem, by puścić się pędem po tej długiej, prostej ulicy i biec, póki starczy sił. Potem jednak podjechał autobus i Rebus wsiadł.

Przez tylną szybę widział, jak reporter wyskakuje z bramy i rozpaczliwie próbuje złapać taksówkę. Rebusowi szkoda było czasu na zajmowanie się tym typem. Miał sprawy do przemyślenia, musiał wykombinować sposób, by znaleźć Reeve'a. Prześladowała go jedna myśl: „To on odnajdzie mnie. Nie muszę go nawet szukać”. I to przerażało go najbardziej.

Gill Templer nie mogła odnaleźć Rebusa. Rozpłynął się w powietrzu jak duch. Dzwoniła, rozglądała się, pytała wokół i robiła wszystko to, co robi profesjonalny gliniarz, poszukując kogoś, tyle że tym kimś był nie tylko równie dobry inny gliniarz, ale dodatkowo jeden z najlepszych rekrutów w historii SAS. Równie dobrze mógł się ukrywać pod nogami, pod biurkiem albo w jej własnych ciuchach, a i tak mogła by go nie zauważyć. Trwał więc wciąż w ukryciu.

Pomyślała, że ukrywa się, bo rozpoczął już poszukiwania: szybko i metodycznie przeszukuje ulice i puby Edynburga w pogoni za zwierzyną, wiedząc, że w chwili odnalezienia zwierzyzna znów przemieni się w myśliwego.

Mimo to Gill nie ustawała w wysiłkach, czując jak od czasu do czasu przebiega ją dreszcz na myśl o ponurej i dramatycznej przeszłości kochanka, jak i o mentalności ludzi, dla których takie metody były dopuszczalne. Biedny John. Co ona zrobiłaby na jego miejscu? Opuściłaby tę celę i uciekła jak najdalej, gdzie oczy poniosą, dokładnie tak jak on. Ale podobnie jak on miałaby wyrzuty sumienia i tak jak on starałaby się od tego wszystkiego

uwolnić. I pewnie tak jak on nosiłaby w sobie ukryte blizny.

Dlaczego mężczyźni w jej życiu muszą być takimi pokręconymi, trudnymi, znerwicowanymi wykolejeńcami? Czy lgną do niej tylko odrzutki, produkty drugiego gatunku? Mogłoby to nawet być dość zabawne, gdyby nie sprawa Samantha, a w tym nie ma już nic śmiesznego. Od czego zacząć szukanie igły w stogu siana? Pamiętała słowa komisarza Wallace'a: „U góry mają tego samego szefa co my”. Było to stwierdzenie zasługujące na głębsze przemyślenie całej jego złożoności. Bo jeśli mają tego samego szefa, to może się też zdarzyć odwrotnie – mogą zażądać, by całą sprawę zatuszować, tak by ta stara koszmarna historia nie wydostała się na światło dzienne. Bo jeśli się to dostanie do gazet, rozpęta się prawdziwe piekło, i to na różnych szczeblach. Więc by tego uniknąć, może zdecydują się na współpracę. A może będą chcieli uciszyć Rebusa. Mój Boże, a co, jeśli zdecydują się uciszyć Rebusa na dobre? Teraz musiałyby to oznaczać również uciszenie jej i Andersena. Musiałyby oznaczać albo próbę kupienia ich milczenia, albo pozbycie się ich na dobre. Musi więc bardzo uważać. Jeden fałszywy krok z jej strony może oznaczać pożegnanie się z pracą w policji, tyle że to by niczego nie załatwiło. Muszą zostać zachowane pozory, że sprawiedliwości stało się zadość. Więc nie ma mowy o tuszowaniu. Najwyższy szef, kogokolwiek lub czegokolwiek ten enigmatyczny tytuł dotyczy, nie będzie mógł postawić na swoim. Prawda musi wyjść na jaw, bo w przeciwnym razie cała sprawa obróci się w szopkę, z nimi jako aktorami w rolach głównych.

No a jak do tego wszystkiego mają się jej osobiste uczucia do Johna Rebusa, uczucia, które nagle wydostały się na widok publiczny? Sama nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć. Wciąż jeszcze snuła jej się po głowie dręcząca myśl, choćby brzmiało to niewiadomo jak absurdalnie, że w jakiś sposób John sam stoi za tym wszystkim: nie ma żadnego Reeve'a, anonimy pisał sam, zazdrość była przyczyną zabójstwa kochanka żony, córkę gdzieś tylko ukrywa – choćby w tym wiecznie zamkniętym pokoju.

Zważywszy dotychczasowy przebieg wypadków, trudno było poważnie brać taki scenariusz pod uwagę, więc Gill traktowała go bardzo poważnie. W końcu go jednak odrzuciła, praktycznie z jednego tylko powodu: John Rebus kiedyś kochał się z nią, kiedyś obnażył przed nią swoją duszę, kiedyś chwycił ją za rękę pod szpitalną kołdrą. Czy ktoś, kto ma coś do ukrycia, zdecydowałby się zadawać z policjantką? Nie, to wydawało się już całkowicie nieprawdopodobne.

Więc całą tę wersję dopisała tylko do listy innych możliwości. W głowie Gill zaczynało wirować. Gdzież on jest u diabła? I co się stanie, jeżeli Reeve go dopadnie, zanim oni dopadną Reeve'a? Jeżeli John Rebus jest dla swego wroga jak przyciągający go magnes, to czyż nie jest czystym szaleństwem, że gdzieś tam kręci się samotnie, wszystko jedno gdzie? Pewnie, że to głupota. Już głupotą było dopuszczenie do tego, że wyszedł z gabinetu, że opuścił budynek i rozplynął się jak we mgle. Cholera. Chwyciła słuchawkę i ponownie wykręciła numer do jego mieszkania.

John Rebus przedzierał się przez dżungłę miejską, której odwiedzający miasto turyści nigdy nie oglądają, bo zbyt są zajęci fotografowaniem cieniów przeszłości na złoceniach starych świątyń. Dżungla ta potrafi bezlitośnie i niepostrzeżenie wessać w siebie każdego i poddać go działaniu naturalnej niszczycielskiej siły.

Koledzy z zachodniego wybrzeża wmawiali mu, że Edynburg to spokojny teren. Przejeżdż się choćby nocą po Partick, mawiali, to sam zobaczysz. Ale Rebus wiedział, że to nieprawda. Wiedział, że Edynburg stwarza tylko takie wrażenie, przez co świat przestępczy mniej się rzuca w oczy, choć nie mniej daje się we znaki. Edynburg to miasto schizofreniczne – to przecież miasto Jekylla i Hyde’a, miasto diakona Brodie, miasto kozuchów z wierzchu i braku majtek pod spodem (jak twierdzą ci z zachodu). Jednocześnie miasto nieduże, więc choć to mu trochę ułatwiało zadanie.

Rozpoczął polowanie od uczęszczanych przez różnego rodzaju twardzieli barów w osiedlach robotniczych, gdzie królowała heroina i bezrobocie. Wiedział, że anonimowość tych miejsc pozwala potajemnie zaplanować przestępstwo, zrealizować je i ująć cało. Próbował wejść w skórę Gordona Reeve’a, była to jednak skóra tyle razy przez niego zrzucana i zmieniana, że w końcu Rebus musiał sam przed sobą przyznać, że próby te jeszcze bardziej go oddalają od zrozumienia opętanego mordercą manią brata-szaleńca. Kiedy jednak próbował myśleć o nim jak o kimś obcym, wcale nie było lepiej i Reeve pozostawał równie enigmatyczny. Może wyśle mu jeszcze jakiś list, może dorzuci jeszcze jakąś poszlakę, by się z nim podrażnić. Och, Sammy, Sammy, Sammy. Boże, błagam, zachowaj ją przy życiu, pozwól jej żyć.

Gordon Reeve wysmyknął się ze świata Rebusa. Zawisł gdzieś wysoko nad jego głową i pławił się w zdobytej nad nim przewadze. Realizacja jego planu zajęła mu aż piętnaście lat, ale mój Boże, jakież to piekielny plan! W czasie tych piętnastu lat zapewne zmienił i nazwisko, i wygląd zewnętrzny; podjął jakąś zwyczajną pracę i rozpoczął śledzenie Rebusa. Od jak dawna go obserwuje? Obserwuje, nienawidzi i knuje spisek? Wszystkie te chwile, kiedy nagle bez żadnego powodu czuł ciarki na plecach, te głuche telefony, te wszystkie drobne i łatwo wyrzucane z pamięci zdarzenia. A nad tym wszystkim góruje uśmiechnięta twarz Reeve’a, złego ducha trzymającego w rękę losy Rebusa. Rozdygotany Rebus wszedł do jakiegoś pubu i dla uspokojenia zamówił potrójną whisky.

– Lejemy tu po ćwierć gilla [Gill – brytyjska jednostka miary płynów, głównie alkoholu, 1 gili = 0,142 litra, zatem ćwierć gilla to w przybliżeniu 35 gramów.], koleś. Na pewno chcesz potrójną?

– Na pewno.

A co mi tam. Wszystko mi jedno. Jeśli Pan Bóg rzeczywiście patrzy na wszystko z nieba i czasami wychyla się, by dotknąć swego dzieła, to doprawdy dziwaczny to dotyk. Rozglądając się wokół, Rebus miał przed sobą kwintesencję ludzkiej biedy i beznadziei. Przy stołach siedzieli nad małymi piwami starzy ludzie i pustym wzrokiem gapili się na drzwi wejściowe. Czy lękają się tego, co jest za nimi na zewnątrz? Czy też może obawiają się, że to, co dzieje się za drzwiami, któregoś dnia wedrze się do ich mrocznych zakamarków i napełni je grozą apokalipsy jak ze Starego Testamentu, jakiegoś monstrum, jakiegoś niszczącego wszystko potopu? Rebus nie potrafił niczego odczytać z ich oczu, podobnie jak oni nie odczytaliby niczego z jego oczu. Ta umiejętność przechodzenia obok niedoli innych, bez konieczności angażowania się w nią, pozwala ludziom przeć do przodu, zajmować się wyłącznie sobą, nie dostrzegać żebraków i ich wyciągniętych rąk. Rebus w duchu sam był teraz żebrakiem błagającym owego dziwnego Boga o pomoc w odnalezieniu Reeve’a, o szansę wytłumaczenia się przed szaleńcem. Bóg jednak nie reagował. W telewizji leciał jakiś głupekowaty quiz.

– Precz z imperializmem, precz z rasizmem.

Za Rebusem stała młoda dziewczyna ubrana w kurtkę ze sztucznej skóry i z małymi okrągłymi okularkami na nosie. Odwrócił się w jej kierunku. W jednym ręku trzymała metalową puszkę na datki, w drugiej plik gazetek.

– Precz z imperializmem, precz z rasizmem.

– No właśnie słyszę. – Czuł jak wypity alkohol rozchodzi mu się po całym ciele, rozluźnia szczęki i mięśnie. – A skąd ty jesteś?

– Z Rewolucyjnej Partii Robotniczej. Jedynym sposobem na obalenie ustroju imperialistycznego jest zjednoczenie się klasy robotniczej i obalenie rasizmu. Bo rasizm to kręgosłup wyzysku.

– Mhm. A czy ty, słoneczko, nie mylisz przypadkiem dwóch zupełnie różnych spraw?

Zjeżyła się, ale gotowa była podjąć dyskusję. Wszyscy aktywiści są tacy sami.

– Obie są nierozdzielnie z sobą związane. Kapitalizm zbudowano na pracy niewolniczej i niewolnicza praca

nadal go utrzymuje.

- Tylko że ty wcale nie mówisz jak niewolnica, moja miła. Gdzie się uczyłaś tego akcentu? W Cheltenham?
- Mój ojciec był niewolnikiem ideologii kapitalistycznej. Nie wiedział, co robi.
- Chcesz przez to powiedzieć, że cię posłał do ekskluzywnej szkoły?

Teraz była już naprawdę zła. Rebus zapalił papierosa. Poczęstował ją, ale odmówiła. Pewnie w proteście przeciwko wyzyskowi kapitalistycznemu w postaci tytoniu zbieranego przez niewolników gdzieś w Ameryce Południowej. Była całkiem ładna, na oko osiemnaście, dziewiętnaście lat. Na nogach śmieszne wiktoriańskie spiczaste ciżemki. Długa prosta czarna spódnica, czarna bluzka. Czerń to kolor buntu. Jeśli chodzi o bunt, był całkowicie za.

- Jesteś pewnie studentką?
- Zgadza się – powiedziała, niepewnie przestępując z nogi na nogę. Nauczyła się już wyczuwać klienta. Ten wyraźnie klientem nie był.
- Na Uniwersytecie Edynburskim?
- I co studiujesz?
- Anglistykę i nauki polityczne.
- Anglistykę? A słyszałaś o facecie nazwiskiem Eiser? Podobno tam wykłada.

Skinęła głową.

– Stary faszysta – powiedziała. – Jego teorie językowe to nic innego jak tylko skrajnie prawicowa propaganda, tylko żeby zamydlić oczy proletariatu.

Rebus kiwnął głową.

- Przypomnij mi, jak się nazywa ta twoja partia?
- Rewolucyjna Partia Robotnicza.

– Ale sama jesteś studentką. Nie robotnicą ani, jak na moje oko, nie proletariuszką. – Twarz jej płonęła, a z oczu sypały się iskry. Pomyślał, że jak zrobią rewolucję, to pewnie jako pierwszy pójdzie pod ścianę. A wciąż jeszcze nie wyciągnął swojego asa atutowego. – Więc właściwie dopuszczasz się pogwałcenia Ustawy o Działalności Zawodowej, prawda? A jak to jest z tą puszką? Masz pozwolenie na prowadzenie publicznej zbiórki pieniędzy?

Puszka była stara i pogięta, a etykieta określająca jej pierwotne przeznaczenie została z niej zdarta. Była to prosta czerwona puszka, jakiej używają przy zbiórkach w Dniu Weteranów. Tyle, że dziś nie był Dzień Weteranów.

- Jest pan gliną?
- Trafiałaś za pierwszym razem. No to jak, masz to pozwolenie? Bo jak nie, to będę musiał cię zatrzymać.
- Pierdolony faszysta!

Uznała, że to pozwala jej z godnością zejść ze sceny, więc odwróciła się do Rebusa plecami i ruszyła w kierunku wyjścia. Chichocąc pod nosem, Rebus dopił whisky. Biedna mała. Ale wyrośnie z tego. Jej idealizm się rozmyje, kiedy tylko dostrzeże, jaka wszędzie panuje hipokryzja i jakie luksusy mogą stać się jej udziałem poza murami uniwersytetu. Po skończeniu studiów wszystko to stanie przed nią otworem, a ona będzie chciała to mieć: dobra praca w Londynie, własne mieszkanie, samochód, wysoka pensja, zaprzyjaźniona winiarnia. I za kawałek tego tortu odrzuci całą swoją ideologię. Ale w tej chwili nie potrafi tego zrozumieć. Teraz jest dla niej czas buntu przeciwko własnemu gniazdu rodzinnemu. Tak jest na wszystkich uczelniach. Wszystkim się wydaje, że jak tylko uda im się wyrwać spod kurateli rodziców, to odmienia cały świat. Rebusowi też się tak kiedyś wydawało. Planował, że wróci z wojska do domu obwieszony medalami i z plikiem dyplomów zasługi pod pachą, a wtedy im dopiero pokaże. Ale wyszło inaczej. Lekko przygaszony tym wspomnieniem, miał już wyjść, kiedy usłyszał, że ktoś coś do niego mówi.

- No i ni chu-chu, to nic nie daje, co nie, synku?

Te perły barowej mądrości posypały się z ust starej kobiety siedzącej przy barze kilka stołków dalej. Rebus widział, jak jej różowy język porusza się w czarnej czeluści ust pełnej spróchniałych zębów.

– No – potwierdził, płacąc barmanowi, który w uśmiechu odsłonił rząd zielonkawych zębów. Rebus słyszał dźwięk dochodzący z telewizora, szcęk kasy, pokrzykiwania staruchów, jednak za całą tą kakofonią krył się jeszcze inny dźwięk, niski i czysty, bardziej rzeczywisty niż wszystkie pozostałe dźwięki.

Wrzask Gordona Reeve.

Wypuście mnie! Wypuście mnie!

Tym razem jednak Rebus nie poczuł zawrotu głowy, nie owładnęło nim uczucie paniki, nie rzucił się do

ucieczki. Przyjął ten dźwięk i poczekał, aż go zaleje, wybrzmi do końca i ucichnie. Nigdy już nie będzie od niego uciekać.

– Wódka nigdy niczego nie załatwi, synku – ciągnęła dalej kobieta. – Popatrz se na mnie. Była ze mnie kiedyś kobieta jak ta lala, ale jak mój stary wykorkował, to się posypałam. Kapujesz, o co mi biega, synku? Wtedy mi wódka cholernie pomagała, a w każdym razie tak myślałam. Ale to gówno prawda. Wódka cię tylko zwodzi i się tobą bawi. No i potem siedzisz całymi dniami i nic nie robisz, tylko chłasz. A życie przechodzi obok.

Oczywiście miała rację. Jak on może tu siedzieć, tracić czas na żłobanie whisky i rozczulanie się nad sobą, kiedy życie córki wisi na włosku? Chyba zwariował, chyba znów zaczyna tracić poczucie rzeczywistości. Przynajmniej tego musi się trzymać. Mógłby się pomodlić, ale to go tylko znieczula na brutalną rzeczywistość, a przyszła teraz pora na zmierzenie się z rzeczywistością, stawienie czoła prawdzie. A prawda była taka, że z pudła z koszmarami wyskoczył szaleniec, wdarł się do rzeczywistego życia i uprowadził mu córkę. Czy to nie brzmi jak okrutna bajka? Jeśli tak, to nawet lepiej, bo bajki zawsze kończą się dobrze.

– Masz rację, kochana – powiedział. Potem, już wychodząc, wskazał na jej pustą szklanekę. – Chcesz jeszcze jednego?

Popatrzyła na niego kaprawymi oczkami i z poważną miną wyciągnęła brodę na znak dumnego przyzwolenia.

– Dla tej pani jeszcze raz to samo – zwrócił się Rebus do barmana z seledynowymi zębami i wręczył mu kilka monet. – Reszta też dla pani – dodał i wyszedł z baru.

– Chciałbym porozmawiać. Myślę, że pan też.

Stevens stał tuż za drzwiami baru i zapalał papierosa gestem, który Rebusowi wydał się dość melodramatyczny. W świetle ulicznych latarni jego skóra miała żółtawą barwę i zdawała się tak cienka, że z trudem pokrywała mu czaszkę.

– To jak, możemy pogadać? – Reporter schował zapalniczkę do kieszeni. Jego rzadkie blond włosy wyglądały na dawno nie myte. Na twarzy widniał kilkudniowy zarost. Sprawiał wrażenie głodnego i zmarzniętego.

Jednak w środku drgał jak podłączony do prądu.

– Nieźle mnie pan wykołował, panie sierżancie. Mogę panu mówić po imieniu?

– Słuchaj, Stevens, wiesz, jak sprawy stoją. Mam wystarczająco dużo na głowie bez twojego mieszania się.

Rebus spróbował wyminąć reportera, ale Stevens złapał go za ramię.

– Otóż nie, właśnie nie wiem, jak sprawy stoją, nie znam końcowego wyniku. Wygląda, że w czasie przerwy po pierwszej połowie usunięto mnie z trybun.

– Co to ma znaczyć?

– Przecież wiesz, kto za tym wszystkim stoi, prawda? Oczywiście, że wiesz, podobnie jak twoi przełożeni. A może oni nie? Czy powiedziałeś im całą prawdę, i tylko prawdę? Powiedziałeś im o Michaelu?

– Co o Michaelu?

– Przestań, nie udawaj. – Stevens zaczął szurać nogami po chodniku i wodzić wzrokiem po odcinających się na tle wieczornego nieba wysokich blokach mieszkalnych wokół. Zachichotał, a całe jego ciało zadrgało. Rebus pamiętał te dziwne drgawki jeszcze ze spotkania na imprezie. – Więc gdzie możemy pogadać? – ciągnął reporter. – Może tu w tym pubie? Chyba, że jest tam ktoś, kogo nie powinienem widzieć.

– Stevens, tobie naprawdę, kurwa, odbiło. Mówię poważnie. Idź do domu, prześpij się, zjedz coś, wykap się i odpieprz się ode mnie, okej?

– A jak nie, to co? Każesz temu bandzirowi, koleśowi twojego brata, żeby mi dokopał? Słuchaj, Rebus, gra skończona. Wiem, co jest grane. Tylko nie wiem wszystkiego. Więc dla ciebie byłoby lepiej, gdybyś teraz we mnie miał przyjaciela, a nie wroga. I nie traktuj mnie jak idioty. Myślę, że jesteś na to za mądry, więc nie zrób mi zawodu.

Nie zrób mi zawodu. Nie zawieź mnie.

– W końcu mają twoją córkę, więc moja pomoc ci się przyda. Wszędzie mam kumpli. Powinniśmy razem zawalczyć.

Zupełnie zdezorientowany Rebus potrząsnął głową.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym ty bredzisz, Stevens. Radzę ci jeszcze raz, idź do domu.

Jim Stevens westchnął i z żalem pokręcił głową. Rzucił niedopałek na chodnik i energicznie przygniótł go obcasem, rozsypując po chodniku strzępy żarzącego się tytoniu.

– No cóż, John, bardzo mi przykro, ale na podstawie dowodów, jakimi dysponuję, Michael trafi za kratki na wiele lat, na bardzo wiele lat.

– Dowodów? Jakich dowodów? Na co?

– Na handel narkotykami, oczywiście.

Stevens w ogóle nie dostrzegł ciosu. Gdyby go nawet dostrzegł, to też by mu to niewiele pomogło. Był to paskudny, błyskawiczny hak od dołu wyprowadzony przez Rebusa z boku i wymierzony w dolną partię żołądka. Reporter zakrztusił się i padł na kolana.

– Łżesz!

Skulonego na klęczkach Stevensa ogarnął atak kaszlu, który trwał w nieskończoność. Sprawiał wrażenie, jakby właśnie ukończył bieg maratoński. Gwałtownie łąpał powietrze i trzymał się obiema rękami za brzuch.

– Jak sobie chcesz, John, ale to i tak prawda – wyjąkał i spojrzał na Rebusa. – Chcesz mi wmówić, że nic o tym nie wiesz? W ogóle nic a nic?

– Radzę, żebyś miał jakieś żelazne dowody, bo inaczej dopilnuję, byś zadyndał.

Czegoś takiego Stevens się nie spodziewał, to było całkowite zaskoczenie.

– No cóż – powiedział – to stawia wszystko w zupełnie nowym świetle. Chryste, muszę się napić. Dołączysz do mnie? Myślę, że tym bardziej powinniśmy teraz porozmawiać, nie uważasz? Nie zajmę ci wiele czasu, ale sądzę, że powinieneś wiedzieć.

Z perspektywy czasu, Rebus doszedł do wniosku, że oczywiście wiedział, nie uświadamiał sobie, ale wiedział cały czas. Wtedy, w rocznicę śmierci starego, kiedy najpierw odwiedził cmentarz, a potem dom Mickeya, w salonie cały czas czuł zapach jabłek w karmelu. Teraz wiedział już dlaczego. Wtedy mu to też przyszło do głowy, ale potem coś mu przeszkodziło. Chryste Panie! Rebus poczuł, jak cały jego prywatny świat zapada się w otchłań znanego mu szaleństwa. Miał nadzieję, że niewiele mu brakuje do całkowitego załamania, bo długo już tak nie pociągnie.

Jabłka w karmelu, bajki, Sammy, Sammy, Sammy. Jakże trudno jest radzić sobie z rzeczywistością, kiedy cię ona przerasta. I wtedy z pomocą przychodzi ci tarcza ochronna. Tarcza w postaci załamania nerwowego, zapomnienia. Śmiejesz się i zapominasz.

– Ja stawiam – rzekł Rebus, czując, że wraca mu spokój.

Gill Templer cały czas była o tym przekonana: morderca dobierał swoje ofiary według jakiejś metody, zatem przed ich uprowadzeniem musiał mieć dostęp do ich nazwisk. A to znaczyło, że wszystkie cztery dziewczynki musiało coś z sobą łączyć, coś, co pozwalało mordercy wybierać spośród nich. Tylko co to mogło być? Wszystko było brane pod uwagę. Wszystkie cztery dziewczynki miały pewne wspólne zainteresowania: siatkówka, muzyka pop i czytanie książek.

Siatkówka. Muzyka pop. Książki.

Siatkówka. Muzyka pop. Książki.

Należało sprawdzić wszystkich trenerów siatkówki młodzieżowej (same kobiety, więc to można skreślić), pracowników sklepów muzycznych i didżejów, pracowników księgarni i bibliotek. Biblioteki.

Bibliotekarze.

Rebus opowiadał Gordonowi Reeve treści książek. Samantha stale korzystała z głównej biblioteki miejskiej. Pozostałe dziewczynki też tam czasem zaglądały. Jedną z dziewcząt, tego dnia kiedy znikła, widziano, jak szła po schodach The Mound w kierunku biblioteki.

Tyle że przecież Jack Morton sprawdził już bibliotekę, bo jeden z jej pracowników jest właścicielem niebieskiego forda escorta. Podejrzany został przesłuchany i nic z tego nie wynikło. Tylko czy to pierwsze przesłuchanie było wystarczająco dokładne? Musi porozmawiać z Mortonem. A potem sama go jeszcze raz przesłucha. Szukowała się właśnie, by pójść poszukać Mortona, kiedy zadzwonił telefon.

– Inspektor Templer – powiedziała do beżowej słuchawki...

– Gówniara umrze dziś wieczór – wysyczał głos w słuchawce.

Tak gwałtownie wyprostowała się na krześle, że o mało nie runęła do tyłu na podłogę.

– Słuchaj, jeżeli to jakiś żart...

– Zamknij się, suko. To nie żaden żart, i ty dobrze o tym wiesz. To ja. Chcesz posłuchać? – Gdzieś z oddali dochodził stłumiony płacz, szlochanie młodej dziewczyny. Potem znów usłyszała jego syk. – Więc powiedz Rebusowi, że już po wszystkim. I nie może powiedzieć, że nie dałem mu szansy.

– Reeve, posłuchaj, ja...

Nie miała zamiaru mu mówić, nie chciała, żeby się dowiedział. Jednak usłyszawszy szloch Samanthy, spanikowała. A teraz usłyszała jeszcze inny szloch, szloch szaleńca, którego przyłapano. Dźwięk był tak straszny,

że poczuła jak jej włoski na karku stają dęba. Powietrze wokół niej zamarło. To wyła sama Śmierć w jednej ze swych licznych odmian. Był to też okrzyk ostatecznego triumfu wydany przez straconą duszę.

– Więc już wiecie – sapnął zduszonym głosem, który był mieszaniną dumy i przerażenia – wiecie, wiecie, wiecie. No to mądrale jesteście. A ty masz głos bardzo seksowny. Może kiedyś do ciebie wpadnę. A z Rebusa dobry ogier? No powiedz? I powiedz mu jeszcze, że mam jego dzieciaka i że ona dziś umrze. Kapujesz? Dziś wieczór.

– Posłuchaj, ja...

– Nie, nie, nie. Już wystarczy, panno Templer. Mieliście dość dużo czasu, żeby mnie namierzyć. Pa!

Trzask w słuchawce i buczenie.

Dość dużo czasu, żeby go namierzyć. Ależ palnęła głupstwo. Powinna pierwsza o tym pomyśleć, a nie pomyślała wcale. Więc może komisarz Wallace ma jednak rację. Może nie tylko John zbyt emocjonalnie podchodzi do całej sprawy. Nagle poczuła się zmęczona, stara i wypalona. Poczuła, jakby cała jej praca szła na marne, a wszyscy przestępcy byli nie do pokonania. Piekły ją oczy. Chętnie założyłaby okulary, tę osobistą tarczę chroniącą ją przed zewnętrznym światem.

Musi znaleźć Rebusa. A może lepiej najpierw poszukać Jacka Mortona? John musi się dowiedzieć o tej rozmowie. Zostało jeszcze troszkę czasu, ale już niewiele. Więc ich pierwszy strzał musi być celny. To kto najpierw? Rebus czy Morton? Podjęła decyzję. John Rebus.

Pomimo rewelacji Stevensa, Rebus wrócił do domu w nastroju dość opanowanym. Musi się paru rzeczy dowiedzieć. Sprawa Michaela może poczekać. To popołudnie strawione na włóczenie się po mieście nic mu nie dało. Musi teraz skontaktować się ze swoim dawnym pracodawcą, z wojskiem. Muszą zrozumieć, że stawką w tej grze jest ludzkie życie, mimo iż bardzo dziwnie potrafią je traktować. Może to wymagać bardzo wielu telefonów. Ale mówi się trudno.

Jednak pierwszy telefon wykonał do szpitala. Rhona czuje się dobrze. To przyniosło mu ulgę. Wciąż jej jednak nie powiedziano o uprowadzeniu Sammy. Rebus głośno przełknął. A o śmierci kochanka? Pewnie też nie. Na pewno nie. Zamówił przez telefon kwiaty do szpitala. Zbierał się właśnie na odwagę, by zadzwonić na pierwszy numer z długiej listy, którą sobie przygotował, kiedy telefon sam zadzwonił. Przez chwilę nie podnosił słuchawki, ale dzwoniący wyraźnie nie miał zamiaru zrezygnować.

– Halo?

– John! Bogu dzięki! Wszędzie cię szukam. – Gill mówiła tonem podnieconym i zdenerwowanym, starając się jednak, by znalazła się w nim też nuta współczucia. Jej głos wyraźnie się załamywał i Rebus poczuł, że jego serce – jeśli jeszcze coś z niego zostało – rwie się ku niej.

– O co chodzi, Gill? Czy coś się stało?

– Zadzwonił Reeve.

Rebus poczuł, jak serce zaczyna mu łomotać o ścianki swej celi.

– Mów – rzucił.

– Zadzwonił i powiedział, że ma Samanthę.

– No i?

Gill przełknęła głośno.

– I że dziś wieczór ma zamiar ją zabić. – Rebus zamilkł i jedynie z oddali słychać było w słuchawce jakieś dziwne dźwięki. – John? Halo, John, słyszysz mnie?

John przestał walić pięścią w stolik pod telefonem.

– Tak, słyszę. Jezu Chryste. Czy powiedział coś jeszcze?

– John, naprawdę nie powinienes być teraz sam. Mogłabym...

– Czy powiedział coś jeszcze?! – Teraz był to już krzyk, a jego oddech był krótki jak po biegu.

– No więc ja...

– Tak?

– Wygadałam się, że my wiemy, że to on.

Rebus z sykiem wciągnął powietrze i przyjrzał się dłoni, stwierdzając, że rozdrapał sobie do krwi jeden z palców. Wziął go do ust, by wessać krew, i nieruchomym wzrokiem wpatrzył się w okno.

– I co on na to? – zapytał w końcu.

– Wpadł w szal.

– Nie dziwię się. Jezu, mam nadzieję, że nie będzie chciał teraz... Chryste Panie. Dlaczego zadzwonił akurat do ciebie, jak myślisz? – Przestał sobie wylizywać skaleczenie i zajął się paznokciami, obgryzając je i wypluwając kawałki.

– No cóż, jestem przy tym śledztwie oficerem łącznikowym. Więc być może widział mnie w telewizji albo przeczytał moje nazwisko w gazetach.

– Albo mógł nas widzieć razem. Mógł mnie przez ten cały czas śledzić. – Widział przez okno, jak obdarty mężczyzna idzie ulicą, powłócząc nogami, i zbiera niedopałki papierosów. Chryste, ależ chce mu się palić. Rozejrzał się, czy w popielniczce nie ma jakichś nadających się do użytku petów.

– O tym nie pomyślałam.

– A jakim cudem mogłaś pomyśleć? Przecież nie wiedzieliśmy, że to wszystko ma jakiś związek ze mną aż do... do wczoraj, prawda? Wydaje się, jakby to było nie wiadomo jak dawno. I pamiętaj, że na początku te swoje listy doręczał osobiście. – Zapalił znalezionego peta i wciągnął do płuc gryzący dym. – Był tak blisko mnie, a ja nic nie wyczułem. Nic a nic. Tak wygląda w działaniu ten słynny policyjny szósty zmysł.

– Skoro mowa o szóstym zmyśle, John, to coś mi przyszło do głowy. – Gill z ulgą stwierdziła, że głos mu się już uspokoił. Sama też poczuła się nieco spokojniej, jakby na wzburzonym morzu wzajemnie pomagali sobie trzymać się przepelnionej łodzi ratunkowej.

– Co takiego? – Rebus siedział skulony na fotelu i patrzył na brud i nieład panujący w pokoju. Widział szklankę, z której pił Michael, talerz, na którym zostały okruchy po grzankach z serem, dwie puste paczki po papierosach i dwie filiżanki po kawie. Musi szybko sprzedać to mieszkanie, wszystko jedno za ile. I wynieść się stąd jak najdalej. Musi to zrobić.

– Biblioteki – powiedziała Gill, która też się rozglądała i patrzyła na teczki z aktami i góry papierów, efekty miesięcy i lat jej pracy. – Jest coś, co łączy wszystkie te dziewczynki, w tym także Samanthę, a mianowicie to, że korzystały z jednej i tej samej biblioteki, z głównej Miejskiej Biblioteki Publicznej. Być może Reeve kiedyś tam pracował i w ten sposób zdobył nazwiska potrzebne mu do jego układanki.

– Jest to na pewno warte sprawdzenia – stwierdził Rebus, nagle ożywiony. To chyba za dużo jak na zbieg okoliczności, a może nie? Ale trudno przecież o lepszy sposób na rozpracowanie Johna Rebusa niż podjęcie na kilka miesięcy lub lat jakiejś spokojnej pracy. I o lepszy sposób na wciąganie w pułapkę młodych dziewcząt, niż w przebraniu bibliotekarza. Bo przecież Reeve gdzieś się na pewno zaszył, zakamuflował, tak by zlać się z tłem i stać się niewidocznym.

– Tak się akurat składa – mówiła dalej Gill – że bibliotekę odwiedził już twój kolega Jack Morton. Rozmawiał tam z podejrzanym, który był na liście właścicieli niebieskich escortów. Ale uznał go za czystego.

– Rozpruwacza z Yorkshire też początkowo uznali za czystego, i to nie jeden raz, pamiętasz? Więc może warto go jeszcze raz sprawdzić. Jak on się nazywa?

– Nie mam pojęcia. Próbowałam znaleźć Jacka Mortona, ale gdzieś się zawieruszył. John, martwiłam się o ciebie. Gdzieś ty się podziewał? Wszędzie cię szukałam.

– Poszukiwania takie uważam za stratę bezcennego czasu i energii inspektora policji. Więc niech pani wetknie nos tam, gdzie jego miejsce, pani inspektor. Znajdź Jacka. I dowiedz się o to nazwisko.

– Tak jest, sir.

– Przez jakiś czas tu jeszcze posiedzę, jeśli będę potrzebny. Ja też muszę wykonać parę telefonów.

– Słyszałam, że stan Rhony jest stabilny... – rzekła, ale Rebus odłożył już słuchawkę. Gill westchnęła i roztarła sobie twarz dłońmi. Musi chwilę odpocząć. Postanowiła zorganizować kogoś do mieszkania Johna Rebusa. Nie można go tak zostawiać, kiedy wszystko w nim kipi i grozi wybuchem. A potem musi się dowiedzieć o to nazwisko. Trzeba poszukać Jacka Mortona.

Rebus zrobił sobie kawę i przez chwilę wahał się, czy pójść po mleko, w końcu jednak zdecydował się wypić kawę czarną i gorzką, co dobrze pasowało do koloru i smaku jego myśli. Zastanowił się nad pomysłem Gill. Reeve jako bibliotekarz? Wydawało się to mało prawdopodobne, niemal niemożliwe, ale przecież tyle z pozoru niemożliwych rzeczy wydarzyło się ostatnio w jego życiu. Racjonalny stosunek do rzeczywistości może być kulą u nogi, jeśli ma się do czynienia ze zjawiskami irracjonalnymi. Ogień trzeba zwalczać ogniem. Więc trzeba też przyjąć, że Gordon Reeve mógł podjąć pracę w bibliotece, co mogło stanowić decyzję pozornie niewinną, ale jakże istotną dla jego planów. I nagle, tak jak wcześniej w głowie Gill, wszystko ułożyło mu się w spójną całość. „Dla tych którzy czytają między razami”. To znaczy dla tych, którzy zajmują się książkami pomiędzy jednym razem

(Krzyż) a drugim (teraz). Boże Święty, czy nic na tym świecie nie dzieje się z przypadku? Otóż nie, nic. Wśród pozornego chaosu widać wyraźną nić przemyślanych działań. Obok tego świata istnieje jeszcze inny świat. Reeve trafił do biblioteki. Rebus był już tego pewien. Teraz jest piąta. Zdaży tam dotrzeć tuż przed zamknięciem. Pytanie tylko, czy on tam ciągle jeszcze jest, czy też wyniósł się po pojmaniu swej ostatniej ofiary.

Rebus wiedział jednak, że Sammy nie jest ostatnią ofiarą Reeve'a, że tak naprawdę wcale nie jest jego „ofiara”. Była tylko kolejnym narzędziem w jego rękach. Bo właściwą ofiarą mógł być tylko on sam. I dlatego jest nadzieja, że Reeve wciąż jest gdzieś w pobliżu, w zasięgu rąk Rebusa. Bo tak naprawdę Reeve chce, by go złapano, tylko powoli, niemal jakby bawił się w kotka i myszkę, tyle że na odwrót. Rebus przypomniał sobie zabawy w kotka i myszkę tak, jak bawiono się za jego szkolnych czasów. Raz kotkiem była dziewczynka i goniła chłopca, innym razem to chłopiec uganiał się za dziewczynką, ale w obu przypadkach myszka chciała być złapana, bo kotek był jej nieobojętny. I dlatego cała zabawa była w rzeczywistości czym innym, niż mogło się z pozoru wydawać. I tak samo bawił się teraz Reeve. W kotka i myszkę, tyle że myszka ma w ogonku ukryte żądło i gryzie, kotek Rebus zaś jest czysty i biały jak mleczko, ma miękkie puszyste futerko i mruczy z zadowolenia. Gordon Reeve od wielu lat nie miał powodu do mruczenia, od czasu gdy zdradził go ten, którego nazwał swoim bratem.

Tylko jeden pocałunek.

Myszka schwytana.

Brat, którego nigdy nie miałem.

Biedny Gordon Reeve, balansujący na tej cienkiej rurze z siuškami ciekącymi po nogach, a wszyscy wokół się z niego śmieją.

I biedny John Rebus, odepchnięty przez ojca i brata, tego brata, który teraz wkroczył na drogę przestępstwa, a która musi go doprowadzić do celi więziennej.

I biedna Sammy. To o niej powinien myśleć przede wszystkim. Myśl tylko o niej, a wszystko obróci się na lepsze.

Ale skoro to gra na poważnie, gra na śmierć i życie, to jednak musi wciąż pamiętać, że to tylko gra. Rebus wiedział już, że dostanie Reeve'a. Tylko co dalej, jak go już schwyta? Czy w jakiś sposób zamienią się rolami. Nie zna jeszcze wszystkich reguł. Jest tylko jeden sposób, by je poznać. Zostawił wśród innych brudnych naczyń na stoliku nie dopitą kawę. Bez niej też mu w ustach wystarczająco gorzko.

A tam za oknem, w tej stalowoszarej mżawce czeka na niego gra, którą trzeba doprowadzić do końca.

Droga od jego mieszkania na Marchmont do biblioteki kiedy indziej mogłaby służyć za uroczy spacer pośród atrakcji turystycznych Edynburga. Minął pokryty bujną zielenią park miejski, zwany The Meadows, mając przed sobą imponującą szarą sylwetę zamku, z zatkniętą na murach obronnych flagą moknącą w siąpiącym deszczu. Przeszedł obok lecznicy Królewskiej, której nazwa kojarzy się z wieloma odkryciami i słynnymi nazwiskami z dziedziny medycyny, a która obecnie jest częścią Uniwersytetu Edynburskiego, obok kościoła franciszkanów i pomnika małego teriera zwanego Greyfriars Bobby. Ileż to już lat ten psiak wiernie waruje obok grobu swego pana? I od iluż to już lat Gordon Reeve nocą kładzie się spać z palącą żądzą zemsty na Johnie Rebusie? Poczul dreszcz. Sammy, Sammy, Sammy. Miał nadzieję, że będzie mógł poznać córkę lepiej. Miał nadzieję, że oboje dożyją czasu, kiedy będzie mógł jej powiedzieć, że jest piękna i że znajdzie w życiu wielką miłość. Boże Świąty, pozwól jej, by dożyła.

Idąc po wiadukcie Jerzego IV, który pozwala bezpiecznie ominąć górą Grassmarket [niegdyś (do początków XX wieku) targowisko miejskie i miejsce publicznych egzekucji, obecnie częściowo zamknięty dla ruchu kołowego rejon licznych butików, pubów i hotelików.] i gromadzących się tam włóczęgów, żebraków i wszelkiego autoramentu przedstawicieli marginesu społecznego, John Rebus próbował uporządkować sobie w głowie kilka podstawowych spraw. Po pierwsze, Reeve jest na pewno uzbrojony. Po drugie, może być w jakimś przebraniu. Pamiętał, co mówiła Sammy, opowiadając o włóczęgach okupujących całymi dniami czytelnię w bibliotece. Mógł udawać jednego z nich.

Zastanawiał się też, co zrobi w chwili, gdy stanie twarzą w twarz z Reeve'em. Co mu powie? Nękające wątpliwości zaczynały go przerażać niemal w równym stopniu jak świadomość, że los Sammy w rękach Reeve'a to dla wszystkich długa i bolesna próba. Ale była jego przyszłością i była najważniejsza. I dlatego, kiedy zbliżył się do gotyckiej fasady budynku biblioteki, to nie strach, a determinacja dominowała w wyrazie jego twarzy.

Sprzedawca gazet stojący na ulicy i opatulony płaszczem jak mokrym kokonem wykrzykiwał najnowsze wiadomości. Tym razem nie chodziło o Dusiciela, tylko o jakąś morską katastrofę. Sensacje prasowe mają krótki żywot. Rebus ominął gazeciarza i dokładnie przyjrzał się jego twarzy. Poczul, że jak zwykle ma mokro w butach, a potem pchnął ciężkie dębowe drzwi.

Siedzący przy biurku strażnik przeglądał gazetę i zupełnie nie przypominał z wyglądu Gordona Reeve'a. Rebus oddychał głęboko, starając się opanować drżenie całego ciała.

– Już zamykamy, proszę pana – powiedział strażnik spoza gazety.

– Tak, wiem o tym. – Strażnikowi chyba nie spodobał się ton głosu Rebusa. Był twardy, lodowaty, zaczepny. – Nazywam się Rebus. Detektyw sierżant Rebus. Szukam człowieka nazwiskiem Reeve, który tu pracuje. Jest tu gdzieś?

Rebus miał nadzieję, że wygląda na spokojnego, ale do spokoju było mu daleko. Strażnik odłożył gazetę i podszedł do Rebusa. Przyjrzał mu się uważnie i jakby z obawą. To dobrze: tak właśnie miało być.

– Czy mogę zobaczyć pańską legitymację?

Niezgrabnie, trochę zeszywniałymi palcami, Rebus wyciągnął z kieszeni legitymację policyjną. Strażnik przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, przenosząc wzrok ze zdjęcia na twarz Rebusa.

– Powiedział pan, Reeve? – Oddał Rebusowi legitymację i wyciągnął listę nazwisk przyklepioną sprężynowym klipem do żółtej plastikowej podkładki. – Reeve, Reeve, Reeve. Nie, nikt o takim nazwisku tu nie pracuje.

– Jest pan pewien? To nie musi być bibliotekarz. Może być sprzątacze albo ktoś w tym rodzaju.

– Nie, na mojej liście są wszyscy, od dyrektora do portiera. Proszę, widzi pan, ja też tu jestem. Simpson się nazywam. Na tej liście są wszyscy. Jeżeli jest tu zatrudniony, to musi być na tej liście. Chyba się pan pomylił.

Pracownicy biblioteki zaczynali właśnie opuszczać budynek, zegnając się rzucanymi do siebie okrzykami „do widzenia” i „do zobaczenia”. Jeśli się nie pośpieszy, to Reeve może mu umknąć. To znaczy, wciąż zakładając, że Reeve tu w ogóle pracuje. Była to przecież bardzo cieniutka, bardzo wątła nić nadziei, tak wątła, że Rebus znów poczuł ogarniającą go panikę.

– Mogę rzucić okiem na tę listę? – Wyciągnął rękę, starając się nadać spojrzeniu odpowiednio władczy wyraz. Strażnik zawahał się, ale podał mu plastikową podkładkę. Rebus w panice zaczął ją przeglądać w poszukiwaniu jakiegoś skojarzenia, anagramu, czegokolwiek.

Nie musiał szukać daleko.

– Ian Knott [Knot (ang.) – węzeł, supeł.] – szepnął do siebie, Ian Knott. *Węzeł gordyjski*. Węzeł refowy. Gordyjski ref. *Zupełnie jak moje imię i nazwisko*. Ciekaw był, czy Reeve wyczuwa jego obecność. Bo on wyraźnie czuł teraz bliskość Reeve’a. Był od niego zaledwie na odległość krótkiego spacerku, może raptem jedno piętro. Nie więcej.

– Gdzie pracuje Ian Knott?

– Pan Knott? Pracuje na ćwierć etatu w dziale dziecięcym. Najmilszy człowiek pod słońcem. A co? Co on takiego zrobił?

– Jest dzisiaj w pracy?

– Chyba tak. Przychodzi do pracy codziennie na dwie godziny pod koniec dnia. Proszę pana, ale o co tu właściwie chodzi?

– Powiedział pan: w dziale dziecięcym? To w suterenie, prawda?

– Zgadza się. – Strażnik był już teraz mocno poirytowany. Umiał wyczuć zbliżające się kłopoty. – Zadzwoń do niego na wewnętrzny i powiem mu...

Rebus pochylił się nad biurkiem tak nisko, że niemal dotknął nosem twarzy strażnika.

– Nic takiego nie zrobisz, jasne? Jeżeli odważysz się do niego zadzwonić, to wrócę tu i wkopię ci ten telefon w tyłek tak głęboko, że będziesz mógł tylko dzwonić do siebie na wewnętrzny. Kapujesz, co do ciebie mówię?

Strażnik powoli i z namysłem kiwnął głową, ale Rebus już tego nie widział, odwrócił się bowiem i ruszył w kierunku połyskujących chromem schodów.

W budynku biblioteki unosiła się woń książek, wilgoci i pasty do metalu i podłóg. Nozdrza Rebusa zarejestrowały tę mieszaninę zapachów jako woń konfrontacji i woń ta miała mu na długo pozostać w pamięci. Schodząc po schodach w kierunku trzewi biblioteki, kojarzył te zapachy z wonią polewania węzłem w środku nocy, wyszarpywania broni z czyjejś dłoni, samotnych marszów po dzikich ostępach, łaźni wojskowych, całego tego koszmaru. Dla niego własną woń miały i barwy, i dźwięki, i wrażenia. Wiedział, że taka umiejętność ma jakąś swoją oddzielną nazwę, ale w tej chwili nie mógł jej sobie przypomnieć.

Idąc w dół, liczył stopnie – było to ćwiczenie uspokajające. Dwanaście stopni, potem zakręt o sto osiemdziesiąt stopni i znów dwanaście stopni. Stał przed szklanymi drzwiami z niewielkim malunkiem pośrodku: miś ze skakanką. Niedźwiadek śmiał się z czegoś – Rebusowi zdało się, że to uśmiech do niego. Nie taki przymilny, tylko uśmiech prawie triumfalny. Uśmiech mówiący: „Wchodź, no wchodź, nieważne kim jesteś”. Rozejrzył się po wnętrzu. W środku nie było widać nikogo, ani żywej duszy. Po cichu pchnął drzwi. Ani dzieci, ani obsługi. Słychać było jednak, jak ktoś układa książki na półce. Dźwięk dochodził spoza przepierzenia za biurkiem bibliotekarza. Rebus podszedł na palcach i trącił mały dzwoneczek na biurku.

Nucąc pod nosem i ocierając sobie dłonie z niewidocznego kurzu, spoza przepierzenia wyszedł znacznie starszy, tęższy i uśmiechnięty Gordon Reeve. Odrobinę przypominał tego niedźwiedzia na drzwiach; Rebus kurczowo zacisnął dłonie na krawędzi biurka.

Na widok Rebusa Reeve przestał nucić, ale uśmiech nie opuścił mu twarzy, błakając się po niej i nadając mu wyraz zwyczajnego, spokojnego, niegroźnego człowieka.

– Miło cię widzieć, John – powiedział. – Więc jednak w końcu mnie znalazłeś, stary łobuzie. Co u ciebie? – Wyciągnął do Rebusa rękę na powitanie.

Rebus wiedział, że jeśli choć na moment puści krawędź biurka, to z hukiem zwali się na podłogę.

Gordon Reeve i wspólnie spędzone z nim chwile stanęły mu nagle przed oczami. Miał w pamięci jego gesty, jego żarty, jego myśli. Byli przecież braćmi krwi, trwali i cierpieli razem, potrafili niemal czytać sobie w myślach. I krew znów ich połączy. Rebus widział to wyraźnie w szalonych, przezroczystych oczach swego uśmiechniętego prześladowcy. Poczuł, jak nagły przyływ zalewa go i dzwoni mu w uszach. A więc proszę. Skoro tego po nim oczekuje.

– Chcę Samanthę – wycedził. – Chcę ją żywą i chcę ją natychmiast. A potem możemy to załatwić tak, jak będziesz sobie życzył. Gdzie ona jest, Gordon?

– Masz pojęcie, od jak dawna nikt mnie tak nie nazwał? Już od tak dawna nazywam się Ian Knott, że z trudem potrafię myśleć o sobie jako o Gordonie Reeve. – Uśmiechnął się i spojrzał za plecy Rebusa. – A gdzie twoja kawaleria, John? Nie mów mi, że przyszedłeś tu sam. To chyba niezgodne z procedurą, co?

Rebus zachował na tyle przytomności umysłu, by się nie zdradzić.

– O nic się nie martw, są na zewnątrz. Przyszedłem pogadać, ale wokół jest dość przyjaciół. Gra skończona, Gordon. Powiedz mi tylko, gdzie ona jest?

Ale Reeve zachichotał i pokręcił przecząco głową.

– Nie bujaj, John – rzekł. – To nie w twoim stylu, żeby tu kogoś za sobą ciągnąć. Zapominasz, że cię dobrze znam. – Nagle uśmiech zniknął mu z twarzy i ustąpił miejsca grymasowi zmęczenia. Stopniowo opadała z niego przyjęta poza. – Jak ja cię dobrze znam. O nie, jesteś na pewno sam. Zupełnie sam. Tak jak kiedyś ja, pamiętasz?

– Gdzie ona jest?

– Nie powiem.

Nie było wątpliwości, że ten człowiek oszalał; może nawet zawsze był szaleńcem. Wyglądał teraz tak, jak w dniach przed tamtym kryzysem we wspólnej celi, kiedy znalazł się na krawędzi otchłani stworzonej przez jego własny umysł. I przerażony świadomością, że nic nie może z tym zrobić. Znów się uśmiechając, otoczony kolorowymi plakatami, wesołymi rysunkami i książkami z obrazkami, stał przed nim najbardziej niebezpieczny człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkał.

– Dlaczego?

Reeve popatrzył na niego tak, jakby to było najbardziej dziecinne pytanie pod słońcem. Potrząsnął głową z zimnym, okrutnym uśmiechem profesjonalnego zabójcy.

– Przecież wiesz dlaczego – powiedział. – Bo wszystko. Bo zostawiłeś mnie w pierdlu z takim spokojem, jakbym naprawdę był w rękach nieprzyjaciół. Zdezerterowałeś, John. Zostawiłeś mnie i zdezerterowałeś! A wiesz, jaka jest za to kara? Wiesz, jaka jest kara za dezercję?

W głosie Reeve'a zaczęły teraz pobrzmiwać tony histeryczne. Znów zachichotał nerwowo, starając się zachować pozory spokoju. Rebus był przygotowany na fizyczny atak. Miał zacisnięte pięści, naprężone mięśnie, adrenalina krążyła po całym ciele.

– Znam twojego braciszka.

– Co takiego?

– Twojego braciszka Michaela, znam go. Wiesz, że handluje prochami, że jest dealerem? Właściwie, to bardziej kurierem. W każdym razie siedzi po uszy w gównie. Przez chwilę też go zaopatrywałem. Dość długą chwilę, tak żeby się wszystkiego o tobie wywiedzieć. Jemu bardzo zależało, żebym uwierzył, że nie jest podstawiony, że nie donosi na policję. Więc chętnie się o tobie rozgadywał, żeby tylko zdobyć nasze zaufanie. Bo zawsze myślał, że ma do czynienia z „nami”, kiedy naprawdę byłem tylko ja sam. Fajnie to wymyśliłem, co? Twojego braciszka już załatwiłem. Ma niezłe przesrane, nie? Możesz to uznać za plan rezerwowy.

Załatwił jego brata i ma jego córkę. Zostało mu już tylko dopadnięcie jednej osoby, która teraz sama weszła mu w łapy. Rebus potrzebował czasu, by pomyśleć.

– Jak dawno to wszystko zaplanowałeś?

– Sam nie wiem. – Roześmiał się, czując rosnącą przewagę. – Chyba już w chwili twojej dezercji. Właściwie z Michaelem poszło mi najłatwiej. Szukał łatwych pieniędzy. To nie było trudne, przekonać go, że prochy to jest to. A teraz siedzi w tym po uszy, ten twój braciszek. – To ostatnie słowo było tak nasączone jadem, że Reeve je niemal wypuł. – Ale dzięki temu troszkę więcej dowiedziałem się o tobie. A to z kolei ułatwiło mi resztę. – Reeve wzruszył ramionami. – Więc sam rozumiesz, jeżeli mnie teraz wydasz, to ja wydam jego.

– Nic z tego. Zbyt daleko to zaszło.

– Więc pozwolisz, żeby twój brat zgnął w więzieniu? Jak sobie chcesz. Tak czy inaczej, wychodzi na moje, chyba dociera to do ciebie?

Tak, docierało to do Rebusa, choć jak przez mgłę, jak trudne zadanie na tablicy w dusznej klasie.

– A co w ogóle się z tobą działo? – spytał, właściwie nie wiedząc, po co mu ta gra na czas. Wparował tutaj, nie myśląc o własnym bezpieczeństwie i nie obmyślając żadnego planu. A teraz znalazł się w kropce, następny ruch należał do Reeve'a, który niewątpliwie taki ruch wykona. – Chodzi mi o to, co się działo po... mojej dezercji?

– Och, potem mnie już szybko załatwili. – Reeve lekceważąco machnął ręką. Mógł sobie pozwolić na nonszalancję. – Wywalili mnie na zbity pysk. Wsadzili mnie na trochę do szpitala, a potem wywalili. Dowiedziałem się, że ty ześwirowałeś, więc to mnie trochę pocieszyło. Ale potem usłyszałem, że wstąpiłeś do policji. No i z tym nie mogłem się pogodzić, że żyjesz sobie jak u Pana Boga za piecem. Po tym, co razem przeszliśmy, i po tym, co mi zrobiłeś? Za nic!

Twarz zaczęła mu drgać. Jego dłonie spoczywały na biurku, a Rebus czuł octową woń jego potu. Mówił teraz powolnym sennym głosem, ale Rebus wiedział, że z każdym wypowiedzianym słowem staje się coraz bardziej niebezpieczny. Mimo to wciąż nie potrafił się zmusić do wykonania ruchu.

– Dość długo trwało, zanim się do mnie odezwałeś.

– Ale warto było czekać. – Reeve podrapał się w policzek. – Czasami bałem się, że prędzej umrę, nim to wszystko doprowadzę do końca, ale chyba w głębi serca wiedziałem, że mi się uda. – Uśmiechnął się. – Chodź, Johnny, coś ci pokażę.

– Sammy?

– Czyś ty, kurwa, zgłupiał? – Na krótką chwilę uśmiech zniknął mu z twarzy. – Wyobrażasz sobie, że tu ja trzymam? Nie, ale mam coś innego, coś, co cię zainteresuje. Chodź.

Wprowadził Rebusa za przepierzenie. Z nerwami napiętymi jak postronki, Rebus wpatrywał się w kark i plecy Reeve'a. Spokojne życie, jakie teraz prowadził, wygładziło jego mięśnie i pokryło warstewką tłuszczu. Bibliotekarz. Bibliotekarz dziecięcy. I do tego najbardziej poszukiwany edynburski masowy morderca.

Za przepierzeniem stały nie kończące się regały z książkami, niektórymi upchanymi jak popadło i innymi porządnie skompletowanymi.

– Wszystkie czekają na ponowne ułożenie – powiedział Reeve, ogarniając gospodarskim gestem półki. – Tobie zawdzięczam to zainteresowanie książkami, pamiętasz?

– Tak. Opowiadałem ci fragmenty. – Rebus pomyślał nagle o Michaelu. Bez jego udziału może by nigdy Reeve'a nie odkryto, może nigdy by go nawet nie podejrzewano. A teraz pójdzie jeszcze siedzieć. Biedny Mickey.

– Gdzie ja to podziałem? Wiem, że gdzieś tu jest. Specjalnie schowałem, żeby ci pokazać, jeśli mnie kiedyś odnajdziesz. Bóg mi świadkiem, że długo ci to zajęło. Zbyttno inteligencją nie błysnąłeś, co?

Bez trudu można było zapomnieć, że ma się do czynienia z szaleńcem, który dla zabawy zamordował cztery dziewczynki i na którego łasce była teraz piąta.

– Nie – powiedział Rebus – nie błysnąłem.

Poczuł, jak cały tężeje. Powietrze wokół niego zdawało się rzednąć. Zaraz coś się wydarzy. Czuł to przez skórę. By temu zapobiec, wystarczyłby cios w nerki Reeve'a albo w jego kark. Obezwładnienie go i wyciągnięcie stąd.

Dlaczego więc tego nie robi? Sam nie wiedział. Wiedział tylko, że będzie, co ma być, i że zostało to zaplanowane całe lata temu, jak gra w kółko i krzyżyk. W dodatku pierwszy ruch należy do Reeve'a, więc Rebus nie może wygrać. Ale musi to rozegrać do końca. To grzebanie na półkach, to, czego tam szuka, ma na pewno coś z tym wspólnego.

– Ach, tu jest. To książka, którą właśnie czytałem...

Tylko, pomyślał Rebus, skoro właśnie ją czytał, to dlaczego była tak dobrze schowana?

– *Zbrodnia i kara*. Opowiedziałeś mi ją, pamiętasz?

– Nieraz ci ją opowiadałem.

– To prawda, John, wiele razy.

Było to luksusowe, oprawione w skórę wydanie sprzed wielu lat. Nie wyglądało na egzemplarz biblioteczny. Reeve trzymał książkę z takim namaszczeniem, jakby cała była wykonana ze złota. Wyglądało tak, jakby nigdy w życiu nie posiadał nic cenniejszego.

– Jest tu jeden obrazek, który chciałem ci pokazać. Pamiętasz, co wtedy powiedziałem o tym starym Raskolnikowie?

– Powiedziałeś, że powinien ich wszystkich załatwić...

Ukryte znaczenie tych słów dotarło do niego o sekundę za późno. Nie dostrzegł wskazówki, tak jak nie rozumiał wielu wcześniejszych wskazówek podrzucanych przez Reeve'a. Tymczasem Reeve z błyskiem w oczach zdążył już otworzyć książkę i wyciągnąć z jej wyżłobionego wnętrza mały rewolwer z krótką lufą. Rewolwer kierował się właśnie w pierś Rebusa, kiedy ten runął do przodu i z całej siły wyrzucił Reeve'a głową prosto w nos. Planowanie planowaniem, natchniona improwizacja też się czasami przydaje. Krew i śluz pociekły z pogruchootanych kości. Reeve jęknął, a dłoń Rebusa odepchnęła w tym czasie jego rękę z rewolwerem. Reeve zaczął teraz wrzeszczeć i był to wrzask z przeszłości, przywołujący wspomnienie koszmarnych przeżyć. Trochę to Rebusa zbiło z tropu i przypomniało znów o jego zdradzie. Zobaczył strażników i otwarte drzwi celi, usłyszał wrzaski zostawianego na pastwę losu więźnia. Obraz mu się rozmył i wtedy usłyszał eksplozję.

Było to jak lekkie klepięcie w ramię, które wkrótce przemieniło się w rozchodzące się szybko zdrętwienie, a potem w przesywający ból, który zdawał się wypełniać całe jego ciało. Dotknął marynarki i poczuł sączącą się przez cienki materiał krew. Chryste Panie, więc to tak jest być postrzelonym. Zdawało mu się, że zaraz zwymiotuje, że zemdleje, potem poczuł jednak, jak ogarnia go oslepiająca swą mocą furia. Tej gry nie wolno mu przegrać. Zobaczył, że Reeve ociera sobie twarz i próbuje powstrzymać łzawienie oczu, a w jego dłoni wciąż jeszcze tkwi rewolwer. Rebus uniósł masywnie wyglądający tom i walnął nim w rękę Reeve'a. Rewolwer wypadł

z niej i pofrunął na stertę książek.

Chwilę później Reeve ruszył w głąb biblioteki, przeciskając się między półkami i zwalając za sobą sterty książek. Rebus podbiegł do biurka i zadzwonił po pomoc, rozglądając się, czy Reeve nie wraca. W sali panowała głucha cisza. Rebus usiadł na podłodze.

Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich ubrany cały na czarno William Anderson, wyglądem przypominając anioła zemsty z książki z obrazkami. Rebus uśmiechnął się.

– Skąd, u diabła, pan tutaj?

– Już od dłuższego czasu cię śledzę. – Anderson pochylił się i obejrzał ramię Rebusa. – Słyszałem strzał. Rozumiem z tego, że go znalazłeś?

– Gdzieś tu jeszcze jest, tylko już bez broni. Rewolwer leży tam.

Anderson obwiązał ramię Rebusa chusteczką.

– Trzeba wezwać karetkę, John.

Rebus gramolił się już jednak na nogi.

– Jeszcze nie. Najpierw trzeba to skończyć. Jak to się stało, że nie zauważyłem, że ktoś mnie śledzi?

Anderson pozwolił sobie na uśmiezek.

– Trzeba bardzo dobrego gliny, żeby zauważyć, że go śledzę, a ty jesteś tylko dobry, John, nie bardzo dobry.

Weszli za przepierzenie i zaczęli zagłębiać się w gąszcz półek. Rebus podniósł rewolwer i wepchnął go sobie głęboko do kieszeni. Nigdzie nie było widać śladu Reeve'a.

– Spójrz tam – powiedział Anderson, wskazując na wpół otwarte drzwi na samym końcu pomieszczenia.

Zachowując maksymalną ostrożność, podszli do drzwi i Rebus pchnął je, otwierając je na oścież. Za drzwiami znajdowały się słabo oświetlone strome metalowe schodki wiodące w dół. Zakolami zdawały się schodzić do samych fundamentów budynku biblioteki. Innej drogi nie było.

– Słyszałem coś o tym – powiedział cicho Anderson, a jego szept rozniósł się echem po ciasnej studni klatki schodowej. – Bibliotekę zbudowali w miejscu dawnego sądu i dawne cele dla aresztantów w podziemiach sądu wciąż tu jeszcze są. Przechowują w nich teraz stare księgozbiory. Podobno pod miastem ciągnie się cały labirynt pomieszczeń i korytarzy.

W miarę schodzenia w dół, gładkie otynkowane ściany ustępowały miejsca starym murem z gołych cegieł. Rebus czuł woń grzybów, typowy gorzkawy zapach minionych wieków.

– Może tu być gdziekolwiek.

Anderson wzruszył ramionami. Dotarli do końca schodków i znaleźli się na szerokim pustym korytarzu. Po jego obu stronach znajdowały się zagłębienia – zapewne niegdyś cele – wypełnione stertami książek. Nie wyglądało na to, by leżały w jakimś określonym porządku. Ot, po prostu składowisko starych książek.

– Boję się, że mógł się stąd wydostać – szepnął Anderson. – Myślę, że w takich pomieszczeniach są zawsze dodatkowe wyjścia, tak jak w obecnym sądzie albo w podziemiach katedry.

Rebus rozglądał się w osłupieniu. Miał przed sobą fragment starego autentycznego Edynburga w postaci nietkniętej i nie skalanej przez zwiedzających.

– To nie do wiary – powiedział w końcu. – Nie wiedziałem, że coś takiego istnieje.

– A to nie wszystko. Podobno pod budynkami rady miejskiej istnieje zachowany cały fragment starego miasta, który później nadbudowano. Uliczki ze sklepami, domami, jezdniami, a wszystko to sprzed kilkuset lat. [Chodzi o Mary King's Close, którą w 1750 roku zniszczył pożar.] – Jak trudno wierzyć w świadectwo własnych oczu, pomyślał Anderson potrząsając głową, możesz po czymś chodzić i nawet nie zdawać sobie sprawy, że to tam w ogóle jest.

Posuwali się ostrożnie wzdłuż korytarza oświetlonego gołymi żarówkami rzadko rozmieszczonymi pod sufitem i zaglądali po kolei do każdej mijanej wnęki, jednak bez rezultatu.

– To kto to w końcu jest? – zapytał Anderson.

– Mój stary znajomy – wyjaśnił Rebus, czując lekki zawrót w głowie. Pomyślał, że w tych podziemiach musi być bardzo mało tlenu. Był zlany potem. Wiedział, że to oznacza, iż stracił dużo krwi i że dla własnego dobra nie powinien tu w ogóle wchodzić. Jednak musiał. Wiedział też, że nie zrobił wielu innych rzeczy, które powinien zrobić. Na przykład powinien wydobyć od strażnika adres Reeve'a i na wszelki wypadek wysłać tam policyjny radiowóz. Teraz już za późno.

– Jest, widzę go!

Anderson dojrzał go daleko w przodzie w tak ciemnym kącie, że Rebus zobaczył jego sylwetkę dopiero

wówczas, kiedy Reeve ruszył się z miejsca i zaczął uciekać. Anderson ruszył za nim. Rebus, ciężko dysząc, próbował dotrzymać mu kroku.

– Uważaj na niego, jest niebezpieczny. – Rebus poczuł, że jego słowa ledwo się z niego sączą. Nie miał siły krzyknąć. I nagle wszystko zaczęło iść na opak. Widział, jak Anderson dogania Reeve’a i jak Reeve wymierza mu niemal perfekcyjny cios nogą, cios którego nauczył się wiele lat temu i którego nie zdążył zapomnieć. Anderson chwieje się na boki i wali na ścianę. Rebus padł na kolana, ciężko dysząc i czując, że wszystko mu się w oczach rozmywa. Spać, musi się przespać. Zimna, nierówna posadzka wydała mu się szczytem wygody, jak najwygodniejsze łóżko. Zachwiał się, gotów rozciągnąć się jak długi. Zdało mu się, że Anderson osunął się po ścianie, a Reeve zbliża się teraz w jego kierunku. Wciąż spowity cieniem wydawał się rosnąć mu w oczach, potężnieć z każdym krokiem, aż przesłonił mu wszystko. Rebus dostrzegł, że Reeve uśmiecha się od ucha do ucha.

– A teraz ty – zaryczał. – Teraz twoja kolej.

Rebus miał świadomość, że gdzieś nad nimi płyną strumieniem samochody po wiadukcie Jerzego IV, a ludzie przemierzają go różnym krokiem w drodze do domów, gdzie spędzą spokojny rodzinny wieczór przed telewizorami. A on klęczy na kolanach przed tym potworem jak biedne osaczone zwierzę. Na nic nie zda się żaden krzyk, walki też nie zdoła podjąć. Dostrzegł rozmazany zarys sylwetki Gordona Reeve’a, który pochyla się nad nim z twarzą dziwnie zdeformowaną. Przypomnił sobie, że udało mu się dość umiejętnie złamać mu nos.

Reeve też sobie o tym przypomniał. Zrobił krok do tyłu i wymierzył potężnego kopniaka w szczękę Rebusa. Rebusowi udało się zrobić niewielki unik – wciąż funkcjonowały w nim jakieś odruchy – i cios trafił go w policzek, odrzucając w bok. Leżąc w pozycji embrionalnej, usłyszał śmiech Reeve’a i poczuł, jak jego dłonie zaciskają się na jego szyi. Przypomnił sobie tamtą kobietę i swoje dłonie na jej gardle. Więc tak wygląda wymierzanie sprawiedliwości. Zatem niech się stanie. Jednak zaraz potem przypomniał sobie Sammy, Gill, Andersena i jego zamordowanego syna, i wszystkie te nieszczęsne dziewczynki. Nie, nie może pozwolić, by Gordon Reeve wygrał. To nie byłoby w porządku. To nie byłoby sprawiedliwe. Czuł, jak mu język i oczy wychodzą na wierzch. Wsunął dłoń do kieszeni i usłyszał głos Gordona Reeve, który mówił do niego szeptem:

– Chyba cieszysz się, że już po wszystkim, prawda John? Chyba naprawdę czujesz ulgę.

A potem usłyszał potężną eksplozję, która wypełniła korytarz i spowodowała, że mu zaczęło dzwonić w uszach. Szarpnięcie spowodowane odrzutem przebiegło boleśnie przez rękę do ramienia, a on poczuł słodkawą woń, znowu trochę jak jabłka w karmelu. Reeve zupełnie się tego nie spodziewał i zamarł na chwilę w bezruchu, a potem złożył się jak podcięty i runął na Rebusa, całkowicie go przygniatając. Rebus, nie mogąc nawet drgnąć, doszedł do wniosku, że teraz może się już spokojnie zdrzemnąć...

EPILOG

Na oczach zdumionych sąsiadów kopnięciem wywalili drzwi wejściowe do małego, parterowego domku Iana Knotta na spokojnym przedmieściu i wewnątrz znaleźli Samanthę Rebus. Była przywiązana do łóżka, usta miała zaklejone taśmą i obłożona była wokół fotografiami zamordowanych dziewczynek. Potem, kiedy wciąż przerażoną i płaczącą Samanthę wyprowadzono z domu, rozpoczęło się profesjonalne śledztwo. Wysoki żywopłot osłaniał podjazd od strony sąsiadów, tak więc nikt nie widział przyjazdów i odjazdów Reeve'a. Sąsiedzi zeznali, że był człowiekiem bardzo spokojnym. Wprowadził się siedem lat temu, kiedy rozpoczął pracę w bibliotece.

Jim Stevens czuł się w pełni usatysfakcjonowany takim zakończeniem sprawy. Dało mu ono materiał na całotygodniową serię artykułów. Tylko jak to się stało, że tak bardzo się pomylił co do Johna Rebusa? Zupełnie nie mógł tego zrozumieć. Dobrze, że chociaż jego prywatne śledztwo w sprawie narkotykowej dobiegło końca i w rezultacie Michael Rebus trafi za kratki. Co do tego nie było wątpliwości.

W poszukiwaniu własnych wersji historii Dusiciela, w mieście pojawili się też ludzie z prasy londyńskiej. W barze hotelu „Caledonian” Stevens spotkał się z jednym ze stołecznych dziennikarzy, który starał się kupić historię Samanthy Rebus. Reporter klepnął się po kieszeni i zapewnił Stevensa, że ma przy sobie książeczkę czekową wydawcy. Stevensowi wydało się to przejawem ogólniejszej choroby toczącej media. Media nie tylko były gotowe tworzyć rzeczywistość pod własne potrzeby, ale również zmieniać ją potem do woli. W podtekście tego wszystkiego było coś jeszcze, coś, co wykraczało poza ramy zwykłych brudów, nędzy i podłości wyciąganych przez media, coś znacznie bardziej wieloznacznego. I tym czymś wcale nie był zachwycony. Nie podobało mu się także, jaki to ma wpływ na niego. Podjął dyskusję z londyńczykiem o takich pryncypiach, jak sprawiedliwość, zaufanie i bezstronność. Rozmawiali przez kilka godzin, popijając przy tym whisky i piwo, ale wątpliwości nie ustępowały. Edynburg ukazał się Stevensowi takim, jakim go nigdy wcześniej nie znał, jakby Skała Zamkowa rzuciła cień na całe miasto, a ono kryło się w tym cieniu, przed czymś się chowając. Turyści odwiedzający Edynburg oglądali jedynie wspomnienia historii, jednak współczesne miasto wyglądało zupełnie inaczej. To też mu się wcale nie podobało, podobnie jak przestało mu się podobać jego zajęcie i związane z nim godziny pracy. Propozycje z Londynu wciąż były aktualne. Wybrał najbardziej obiecującą i ruszył na południe.

PODZIĘKOWANIA

Ogromnej pomocy w napisaniu tej powieści udzielili mi pracownicy Wydziału Kryminalno-Śledczego dzielnicy Leith w Edynburgu, którzy z cierpliwością podeszli do moich licznych pytań i mojej ignorancji w sprawach procedur policyjnych. Mimo, iż książka ta jest dziełem mojej wyobraźni i zatem obciążona wszelkimi jej niedomaganiem, moją wiedzę na temat Special Air Service znacznie wzbogaciła doskonała monografia *Who Dares Wins* autorstwa Tony'ego Geraghyt'ego (Fontana, 1983)